

MIECZYŚLAW GOGACZ

BŁĘDY BRATA RYSZARDA

Edycja internetowa wydania pierwszego

© Mieczysław Gogacz

SPIS TREŚCI

PRZEDMOWA	5
I. BŁĘDY BRATA RYSZARDA	8
POPOŁUDNIE.....	8
NAJPRAWDZIWSZE DZIAŁANIE	9
SALA REKREACYJNA	11
TĘSKNOTA	13
KAZANIE DO ZBÓJA MADEJA.....	14
ZAPROSZENIE DO BARU	15
KWIAT JABŁONI.....	16
ZMARTWIENIE BRACI	17
SPRZĄTANIE	19
LUDZKIE ŻYCIE.....	20
ODTWORZONY NASTRÓJ.....	21
NA ŚWIĘTO MŁODZIANKÓW	22
PŁACZ KAPRYSÓW.....	24
SPRZECIWY	25
ZŁA SAMOTNOŚĆ	27
POCHWAŁA WODY.....	28
NIE ROZUMIEM ŚWIATA	29
PRZY CHOINCE WSPOMNIENIA Z BETLEJEM.....	31
ASYŻ I ŚW. FRANCISZEK	33
PRZEMÓWIENIE NA POWITANIE GOŚCI.....	34
HOMILIA NA DZIEŃ MICHAŁA ARCHANIOLA	37
POWIEŚĆ PT. „DOM ZE ŚMIECHU”	40
PRZY ORCE.....	46
II. DZIENNIK NASTROJÓW I UCZUĆ	49
RADOŚĆ	49
LIST DO PANA BOGA	49
SŁOWO	49
SMUTEK	50
TĘSKNOTA	50
GRZECH.....	50
WYSIŁEK.....	51
GÓRY	51
WARTOŚĆ ODPOCZYNKU	51
BZY	52
ŻYCIORYS.....	52
WEWNĘTRZNY KONFLIKT	52

NIESPODZIEWANA POMOC	52
WIOSNA.....	53
LAS	53
WYSTAWA ZIEM ODZYSKANYCH.....	54
PROGRAM.....	54
LIST DO PANA BOGA	55
ZMARŁ CHOPIN.....	55
LIST DO PANA BOGA	55
MYŚLI O RÓŻAŃCU	56
PROŚBA DO MATKI BOSKIEJ	58
KOMENTARZ DO KOŁĘD	59
W OKRESIE TRZECH KRÓLI	60
MODLITWA NA DZIEŃ ZIMOWY	61
ŚMIECH PSZCZOŁY	61
DORASTAĆ DO POZIOMU TEKSTÓW	62
LOS LUDZKIEJ MIŁOŚCI.....	62
REFLEKSJA NAD KULTURĄ	64
MARTWIĘ SIĘ KANADĄ	66
CZŁOWIEK WEDŁUG LA BRUYERE'A	69
O WIĘKSZY WYMIAR CHRZEŚCIJAŃSTWA	73
III. O MIŁOŚCI I CIERPIENIU	87
1. MIŁOŚĆ JEST CIERPIENIEM.....	87
2. MIŁOŚĆ	89
3. WIERNOŚĆ.....	90
4. WYŁĄCZNOŚĆ.....	90
5. CIERPIENIE.....	92
6. SMUTEK	92
7. KONIECZNOŚĆ MIŁOŚCI	93
8. PRZYJAŹŃ.....	95
9. MAŁŻEŃSTWO.....	96
10. MODELE MIŁOŚCI.....	101
11. PORÓWNANIE MIŁOŚCI I PRZYJAŹNI	102
12. WARUNKI ROZWOJU MIŁOŚCI	105
13. MIŁOŚĆ I PROBLEM CZASU	107
14. ANALOGIA MIĘDZY MIŁOŚCIĄ I ISTNIENIEM.....	110
15. MIŁOŚĆ TRWA PO ŚMIERCI.....	111
16. MIŁOŚĆ JEST NAWRÓCENIEM.....	112
17. RELIGIJNA WARTOŚĆ CIERPIENIA.....	116
IV. LISTY DO PANA BOGA	121
1. DZIEJE TĘSKNOTY.....	121
2. DZIEJE PODRÓŻY	141
<i>Kraków.....</i>	141

<i>Toronto</i>	143
<i>Pałac w Wersalu</i>	144
<i>W Lublinie film „Wszystko na sprzedaż”</i>	146
<i>Na morzu w drodze do Ziemi Świętej</i>	147
<i>Ogród Oliwny w Jerozolimie</i>	153
<i>Ziemia Święta</i>	156
ZAKOŃCZENIE - DEDYKACJA	162

PRZEDMOWA

Dla przyjaciół i znajomych, z którymi często i długo rozmawiam, dyskutuję odpoczywam i marzę, tematy Naszych rozmów ująłem kiedyś - i nawet nie wiem dlaczego - w formę krótkich opowiadań. Chodziło tylko o zanotowanie wyników dyskusji. Notatki w formie opowiadań nie oburzyły uczestników spotkań. Stały się okazją do zobiektywizowania myśli, pozwoliły śledzić nasze tezy w życiu fikcyjnych postaci i z czasem utworzyły tomik „błędów brata Ryszarda”.

Tytuł tomiku „Błędy brata Ryszarda” stał się teraz tytułem całej książki. Tomik natomiast stanowi w niej pierwszy rozdział.

Ten rozdział, a kiedyś osobny tomik, przeczytał Jerzy Zawieyski i poświęcił „Błędom brata Ryszarda” kilka życzliwych słów w książce „Brzegiem ciernia”. Czytelnicy książki Jerzego Zawieyskiego i Czytelnicy moich prac filozoficznych, a głównie artykułów teologicznych ogłaszanych w „Przewodniku Katolickim”, zaczęli dopytywać się o „błędy brata Ryszarda” i razem z moimi przyjaciółmi zachęcać do opublikowania tomiku. Publikuję go dopiero teraz, w tej książce, jako właśnie rozdział pierwszy, który jest tylko innym niż moje dotychczasowe publikacje sposobem mówienia o Bogu. Nie jest zbiorem opowiadań literackich. Jest próbą ukazania Boga w codziennym życiu ludzkim. Ta próba, jak sądzą zawsze życzliwi przyjaciele, może ewentualnie komuś pokazać, jak właśnie na co dzień człowiek może kontaktować się z Bogiem.

Tłem i kontekstem, rozwinięciem i poszerzeniem, a zarazem inną formułą myśli pierwszego rozdziału jest to wszystko, co stanowi rozdział drugi, pt. „Dziennik nastrojów i uczuć”. Brat Ryszard bowiem notuje swoje myśli, rysuje stan duszy, mówi o poszukiwaniu Boga i o wprowadzaniu Go w codzienne życie. Ukazuje motywy postępowania, które było tematem pierwszego rozdziału.

Dominująca w pierwszym i drugim rozdziale książki trudna sprawa ukochania Boga i ukochania zarazem ludzi wymagała analizy bardziej zorganizowanej. Brat

Ryszard konstruuje więc traktat teologiczny, podejmujący problem miłości i cierpienia. Traktat ten stanowi trzeci rozdział, pt. „O miłości i cierpieniu”.

Brat Ryszard wraca wreszcie do swej już sygnalizowanej w „Dzienniku nastrojów i uczuć” formy listów do Pana Boga, aby w tym cyklu modlitw, stanowiących czwarty rozdział książki, wyrazić całą mękę duszy, przedzierającej się przez nastroje i uczucia, tęsknotę i cierpienie do nadziei utrwalenia miłości ludzkiej w radosnym spotkaniu z miłością Boga.

Cała książka jest właściwie próbą modlitwy. Jest ponadto próbą tej modlitwy, która wyraża ciemną noc duszy. W związku z tym książkę tę widzę jako czwarty etap przemyśleń, poprzedzonych trzema kolejnymi książkami: „On ma wzrastać”, „Cztery powołania”, „Jak traci się miłość”. Wiem już teraz, że mogą zawodzić przemyślenia, lecz że nie zawodzi nas i nigdy nie myli modlitwa, która jest sposobem wyrażania miłości obecnemu w nas Bogu. Nigdy też nie zawodzi nas i nigdy nie myli miłość. I modlitwa i miłość bronią człowieka przed błędami, których wciąż wiele popełniamy.

Tematy teologiczne, podjęte także w tej książce, mogą być niedokładnie rozwiązane. Niedokładnie i błędnie mogą być realizowane różne sprawy i nurty naszego życia. Możemy się mylić. Sygnalizuje to tytuł książki: „Błędy brata Ryszarda”. Popełniamy błędy w myśleniu i w postępowaniu. Nigdy błędem nie jest modlitwa i nigdy błędem nie jest miłość. Nigdy właśnie nie myli nas modlitwa i nigdy nie myli nas miłość. O modlitwie więc i o miłości do Boga piszę w tej książce.

Nie było łatwe podjęcie decyzji wydania książki w jej aktualnym kształcie. Znam błędy „błędów brata Ryszarda”. Jeżeli jednak w Urzędach Administracyjnych Nieba poprzez moją zgodę i zgodę Wydawnictwa podjęto decyzję przekazania tej książki Czytelnikom, to można przypuszczać, że książka jest komuś potrzebna. Nawet gdyby przeczytał ją tylko jeden człowiek, którego myśl dzięki tej lekturze choć na chwilę skieruje się do Boga, już książka spełni swoje zadanie. A może uratuje dla Boga czyjąś miłość lub może tylko wywoła uśmiech na smutnej, twarzy wyrrywając z pesymizmu ludzkie serce? Zawsze skłonny jestem twierdzić, że powołaniem człowieka może być niekiedy tylko to, aby się raz w życiu do kogoś życzliwie uśmiechnąć. Tym bardziej może to być powołaniem książki, w której chcę pokazać, że ogromnie łatwo nauczyć się przebywania z Bogiem na co dzień i że tak wiele w tym codziennym

kontakcie można popełnić błędów. Błędów uniknie się wtedy i zobaczy się je, gdy człowiek zacznie ujmować świat od strony Boga, od strony Jego życzeń.

Przypuszczam, że brat Ryszard patrzy na świat oczami Boga. Patrzy wobec tego najwłaściwiej. Należy więc z nim się zetknąć. I to stanowi powód oddania tej książki do rąk Czytelników.

29 IX 1973

W święto Michała Archanioła

I. BŁĘDY BRATA RYSZARDA

POPOŁUDNIE

Brat Ryszard nie zawsze miał całe buty, zawsze jednak miał wielką ochotę podreptać choćby do lasu, albo nad staw. Zatrzymywały go osty, gdy chciał dyskretną ścieżką wymknąć się z ogrodu. Brat Ryszard zapytywał: „Dlaczego wciąż trzymają mnie za habit?” I dodawał: „Założę kaptur na oczy, aby nie widzieć, że chcą ze mną gawędzić”. A potem się dziwił: „Osty? Przecież to rośliny i chcą słuchać, gdy mówię? A może to ja chcę do nich mówić i umyślnie wybieram tę ścieżkę, na której rosną, aby mnie zatrzymywały? Pójdę do lasu inną drogą!”

Brat Ryszard nie zawsze miał cały kaptur, zawsze jednak miał wielką ochotę pójść inną drogą właśnie, do lasu, albo nad staw. Gdy zakrył oczy kapturem, wtedy musiał zaufać pamięci. A pamięć mówiła zakrytym oczom: „Nie może być innych dróg do lasu poza tą drogą przy ostach, gdyż najpiękniejsza jest zawsze jedna droga”. I brat Ryszard dziwił się, że osty na każdej drodze chcą z nim gawędzić. „Czy może to ja chcę do nich mówić?”

A nad stawem ktoś splatał z sitowia bezsensowne czapy, nie miał w ogóle butów, ani kaptura, miał tylko sitowie i śpiewał:

„Nie mam przyjaciół, których sobie wybrałem, a zgodziłem się na tych, których postawiłeś na mej drodze.

Nie mam prac, do, których tęsknię, i którymi chciałbym wyrażać tyle swych umiłowań, a które oddałem, aby podjąć prace Twoje.

Nie mam swoich drzew, swoich melodii, ponieważ, od nich odszedłem idąc do Ciebie. Mam tylko to, czym jeszcze nie jestem i tęsknię. I tylko Ty wiesz, że w tym początek drogi”.

Brat Ryszard stwierdził: „Mogę właściwie nie pójść do lasu, ani nad staw. Słyszałem w tej chwili, o czym śpiewają. Powtórzę to wszystkim ostom”.

I zaczął pouczać osty. A potem odchylił kaptur, odszedł i zapytał: „Czy ostom, czy sobie udzielałem wskazówek? Czy pragnę pouczać, czy usłyszeć radę? Czy słyszałem, o czym śpiewał ktoś nad stawem, czy to śpiewały me pragnienia?”

A dzieci, które utworzyły koło podczas swej zabawy i otoczyły brata Ryszarda, teraz krzyknęły: „Dlaczego brat odchylił kaptur? Dlaczego brat odchodzi? Dlaczego brat przerwał zabawę w pouczanie?”

Brat Ryszard, który nie zawsze miał całe buty i nie zawsze cały kaptur, zawsze jednak miał wielką ochotę, aby pouczać, zapytywał siebie: „Dlaczego osty chcą mnie słuchać? A może to ja chcę do nich mówić? I dlaczego dzieci wciąż zapytują?”

O siódmej wieczorem zadzwonił klasztorny dzwonek. Brat Ryszard porzucił łopatę, nad którą stał przez popołudnie i wrócił na posiłek, po zapłatę za dzień pracy. A potem wyznał bratu przeorowi: „Pragnąłem iść do lasu nad staw, pouczałem osty i nie chciałem bawić się z dziećmi, których nie było. Słuchałem tego, co śpiewa las na stawem. A powinienem był kopać w ogrodzie”.

NAJPRAWDZIWSZE DZIAŁANIE

Bajkom Oscar Wilde'a, a szczególnie tej o „Szczęśliwym Księżu”

Bratu Ryszardowi nie wolno dziś patrzeć na osty, ani na niebo, ani na las. Ma obowiązek patrzeć na braci i rozmawiać. Brat przeor wyjaśnił: „To tylko dlatego, że brat najprawdziej widzi. I pragnę, aby bracia posłuchali słów, które dojrzały w sercu głęboko kochającym ludzi”.

Brat Ryszard wie, że wszystko jest inaczej, że to nie on najprawdziej widzi, i że to nie jego serce umie tak głęboko kochać. Chciałby mówić. Wstrzymuje go jednak ostry i dobrotliwy ruch dłoni brata przeora. Nie ma wyjścia.

A właściwie zaczęło się od tego, że wszystko zobaczył dzieciół i wystukał to zaraz drzewom. Drzewa zaszumiały nad stawem i dowiedział się wiatr. Wiatr zatargał dzwonekiem i brat Ryszard załamał rękę.

„Jak można! Szczęśliwy Książę kazał odnieść złotą klamrę swojego trzewiczka potrzebującemu człowiekowi, lecz teraz Książę zgubi trzewiczek, a potem się przeziębii”. I brat Ryszard już wiedział, że odda Księżu swoje buty. Powstrzymywał go jednak ostry i dobrotliwy ruch dłoni brata przeora, Brat Ryszard zrozumiał, że Księżu należałoby zanieść buty całe. Nie miał jednak odwagi prosić o to brata przeora.

A potem Szczęśliwy Książę oddał drugą klamrę i oddał oczy.

„Przecież Książę nie może zostać bez oczu! Moje oczy są całe i jeszcze dobre. Niech to mogą zanieść, tak bardzo proszę!”

Brat przeor zauważył: „Oczy brata są tu potrzebne. Zresztą jednak nie nasze są one, lecz Boże”.

Brat Ryszard pobiegł do źródła wśród topoli. W źródle odbiły się jego oczy.

„Wodo, zatrzymaj moje oczy, są u ciebie i daj słońce Niech je poda Szczęśliwemu Księżciu!” Woda zwróciła oczy, ponieważ są tu potrzebne. Zresztą jednak nie nasze, są one, lecz Boże.

Brat Ryszard pomyślał: „Mam jeszcze porcelanową: Figurkę na krzyżu, więc ją poproszę”. I prosił.

„Wiem, że moje oczy są tu potrzebne, ale gdybym miał Twoje! Przecież poradysz sobie bez porcelanowych oczu. A Szczęśliwy Książę zginie bez moich. Jeżeli się zgodzisz, wtedy i Książę będzie miał oczy i ja. To nie znaczy, że twoje lepsze chciałbym zatrzymać dla siebie. Boję się tylko, że Szczęśliwy Książę jest mały, więc grywa w piłkę i mógłby zbić oczy porcelanowe. Mnie łatwiej o nie się troszczyć. Dam Księżciu swoje oczy, a porcelanowe zatrzymam sobie, ponieważ muszę mieć oczy, skoro są tu potrzebne”.

„I ponieważ Książę jest dobry, dam mu także serce, skoro umarło mu jego kamienne. Ciebie już pokochałem, więc mi serce zbyt ciężkie, bo Ty, nosisz moją miłość. Gdybyś mi dał to porcelanowe serce, byłoby lżej Twym ręką na krzyżu. Oparłbyś swoją miłość o moje porcelanowe serce, wprowadzisz także Twoje, lecz dane mi, abym je nosił. I Książę miałby serce, i ja, gdyż brat przeor na pewno potrzebuje tu także mojego serca”.

A potem i bardzo potem brat przeor dziwił się często, że oczy brata Ryszarda widzą świat tak bardzo po Bożemu, a serce kocha w sposób tak pełny. Więc zarządził: „Brat Ryszard ma obowiązek patrzeć na braci i ma obowiązek rozmawiać. I wtedy nie wolno mu patrzeć na osty, ani na niebo, ani na las”. Pomyślał: „Niechby bracia patrzyli w jego oczy”. A bratu Ryszardowi wyjaśnił: „To tylko dlatego, że brat najprawdziwiej widzi i kocha”.

Brat Ryszard wiedział, że wszystko jest inaczej, że to nie on najprawdziwiej widzi, i że to nie jego serce umie tak głęboko kochać. Chciał mówić. Powstrzymał go jednak ostry i dobrotliwy ruch dłoni brata przeora. Nie było wyjścia.

SALA REKREACYJNA

Brat Ryszard zajmuje się gośćmi, którzy przyjechali do klasztornej biblioteki. Zna bowiem dzieje klasztoru i zna historię sal, w których narastały klasztorne dzieje. Brat Ryszard dlatego właśnie zgodził się służyć gościom i pokazał im salę rekreacyjną. Wyjaśnił: „Ciekawy jest tu fortepian i żywa akwarela”.

Goście się zdziwili: „Żywa, akwarela?”

„Ach, oczywiście! Proszę, niech państwo tylko patrzą i najpierw na fortepian! Wysypują się delikatne tony, a raczej pyłki z pręcików kwiatu. Proszę się zgodzić: tony - pyłki. Spadają na marmur posadzki. Rozsypują się po okręgu sali. A teraz płaczą. Płacz dzwoni srebrzyście i smutnie, gdyż tak zawsze dzwonią krople rosy. A rosa jest przecież z tonów i pyłku. O proszę, płacz obiega kolumny i wraca echem do strun otwartego instrumentu, a potem spływa ku palcom”.

„Niech brat nam gra jeszcze” – prosili goście.

Brat Ryszard odpowiedział: „Ach, nie gram. Chcę malować obraz. Przygotowywałem właśnie farby”.

I dodał: „Proszę już teraz patrzeć w okno. Prostokąt szyby, złoto i zieleń liści kasztanu, łuna czerwona gasnącego słońca, a wyżej niebo już szare, lecz lśniące. A całość jest harmonią, przez którą mówi dusza. Jej głos tym razem słyszą państwo w płaczu rosy, która jest z tonów i pyłku. I proszę dostrzec, że jest to dusza tej sali, z którą przyjaźni się piękno. Taką tu bowiem wyrazistość barw i dźwięku, taka proporcja kolumn i zgoda myśli”.

„I jeżeli państwo się zgodzą, opowiem także o obrazach, które zdobią ściany”.

A goście tylko prosili: „Niech brat nam gra jeszcze i pozwoli słuchać”.

Brat Ryszard odpowiedział, że umie tylko mówić, i że zna także obrazy na ścianach sali rekreacyjnej. A sobie pomyślał, że dlatego właśnie zgodził się służyć gościom, dlatego pokazał im fortepian i żywą akwarelę, ponieważ zna obrazy na ścianach sali.

„Żywa akwarela jest jednym z obrazów tej sali. Te jednak, które pokażę, mówią do nas nie z prostokątu szyby, lecz z bieli ścian. I nie musimy przygotowywać farb, aby je zobaczyć. Wystarczy tylko gawędzić z duszą tej sali, która przyjaźni się z pięknem”.

„Obraz pierwszy na pierwszej ścianie pt. Opatrzność. Przestrzeń błękitna bez chmur. Na polach pszenicznych rzędy snopów. Złote kłosy powiązane są zieloną winoroślą. Tu i tam winne grono. Gałązki zielonej winorośli mają kształt trójkąta, a winne jagody patrzą z trójkątów, jak oczy. Srebro i fiolet w gałązce.

Wśród snopów lilie. Patrzmy, rosną! Kwiat biały opiera główkę o liść trójkątny, chyli się, kloni. A tu pąk! Młode siły rozrywają splot zamkniętych płatków. Kwiat zakwita. Opiera główkę o liść trójkątny, uśmiecha się do słońca. Czy to słońce? To wyrastają, strzelają ogniem od ziemi ku niebu ogniste słupy. Są cztery. Splatają się szczytami w kopułę promienną. Ożywają. Jeden z nich rozpręża skrzydła. Ulatuje orzeł. Biegna za nim spojrzenia trzech pozostałych: człowieka, lwa i wołu, spojrzenia spośród lilii i pszenicznego pola, znad snopów i gałązek winorośli o kształcie trójkąta, z którego patrzy oko winnej jagody”.

„Obraz drugi na drugiej ścianie pt. Baranek. Przez pole idzie człowiek. Zbiera ziarno na chleb i zrywa jagody na wino. Posiła się chlebem i winem. Za człowiekiem wół i lew. Naprzeciw idzie baranek. Poi się wonią lilii. Człowiek zrywa lilię i przerabia ją na włócznię. Włócznia zabija baranka. Nad cierpiącym pochyla się gołębica. Chłodzi gorące czoło powiewem piór, utula na skrzydłach i oddala się w przestrzeń błękitną bez chmur”.

„Obraz trzeci na trzeciej ścianie pt. Ludzka dola. Drogą wśród pszenicznych snopów idzie matka - pelikan. Skarży się: Zrąbano pień przydrożnego krzyża, na którym opierał się krzak bzu. Pomiędzy zielenią jego liści, na ramionach bżowych, uwiłam gniazdo. Wyrąbano pień, załamał się krzak, gniazdo spadło. Nie mam domu. I dzieci są bez domu. Są głodne. Nie ma bowiem zapachu bzu, którym je karmiłam. Czym napoję dzieci? Otworzę własną pierś. Lecz na jak długo wystarczy krwi? Gdzie znajdę źródło większe niż moje serce, głębsze niż ono?”

„Obraz czwarty na czwartej ścianie pod tytułem: Ołtarz. Znad pola pszenicy i winorośli, znad pola lilii, wśród których chodził baranek, unoszą się trawy i wonne zioła. Z góry spadają kwiaty. Tysiące płatków uderza o przeźrocyste powietrze. Śpiew.

Otwiera się kopuła promienna i błękit. Widać dwanaście świetlnych duchów. Na czołach ich dwanaście gwiazd. I słowa: Tyś świecznik, Tyś arka, Syjon stu bram i blask przymierza. Upadły słowa w świetlisty krąg. Nad światem zagrały o nich anielskie skrzypce. Płótno z nich utkały anielskie ręce dla oczu splakanych. Zbolałe serca ułożyły z nich kamienny ołtarz. W cieniu kamienia uwiła gniazdo matka - pelikan. I zapaliła, czy lampę oliwną? Nie, to świeci płomień radosnych oczu bezpiecznych piskląt”.

Goście prosili: „Niech brat nam gra jeszcze i pozwoli słuchać. Dzieje klasztoru, które brat zna, i dzieje sali rekreacyjnej są bardzo piękne”.

Brat Ryszard stwierdził: „To zależy od oczu. A zawsze chodzi o to, aby patrzeć pajprawdziwiej, nie swoimi więc oczami, lecz Bożymi. Gdy bowiem patrzymy na świat swoimi oczami, wtedy nie służymy komuś, lecz sobie”.

I w tej chwili brat Ryszard zrozumiał, że nie zajmował się, gośćmi, o których troskę zlecił mu brat przeor. Patrząc bowiem na salę swoimi oczami służył nie gościom, lecz sobie.

TEŚKNOTA

Goście, którym brat Ryszard pokazał ogrodową ścieżkę, las nad stawem i osty, poprosili: „Bardzo chcielibyśmy obejrzeć celę, z której ogląda brat kwitnące wiśnie i wschód słońca”. Brat Ryszard zamierzał tak pochylić głowę i tak się uśmiechnąć, aby wszyscy łatwo wyczytali odmowę, za którą nie odpowiada. Lecz goście dodali: „Mamy na to zgodę brata przeora”.

Brat Ryszard podniósł dłoń: „Te schody doprowadzą”. I szedł pierwszy. A potem tłumaczył: „Temu kawałkowi drzewa nie umiałem nadać kształtów smutku. Nie biorę więc już do rąk dłuta. A rzeźbę zostawił mi brat przeor, abym pamiętał, że nie łatwo samemu zrobić cokolwiek”.

Goście jednak zachwycili się radością, którą roztaczał drewniany Chrystus, dwunastoletni. Mówiono nawet: „Z chmurą na czole, smutkiem, przecuciem trudu, który jest często cierpieniem, a zawsze okazją zamyśleń”. I nie mogli pójść za radą brata Ryszarda; który zachęcał, aby raczej oglądali kwitnący sad, tak radośnie barwny. Oczy bowiem wszystkich znowu zatrzymał wyrzeźbiony płomień, zupełnie mały u stóp zakonnego krzyża na stole, a czasem tak wielki, że zdawał się obejmować celę. I tylko

nie docierał w ten świat, który na małym płótnie był przestrzenią ze światła i z ludzkiej doli: przy samotnym płocie płaczące dziecko na pustynnej bieli.

Brat Ryszard martwił się tym, że tyle oczu zabiera z sobą obraz jego celi. Aby przyspieszyć koniec wizyty, chętnie oddawał drobne szkice i nawet umieszczał na nich podpisane zdanie: „Z życzeniem szczęścia”. I myślał: „Gdybym układał słowa dla przyjaciół, to także wybrałbym chyba te: z życzeniem szczęścia”. A przyjaciele odczytaliby tak: „Z serdeczną wdzięcznością za to, że lubisz brata Ryszarda”. Lub może inaczej: „Tobie, a specjalnie tej trosce, dzięki której brat Ryszard wchodzi na zawsze w obrazy”. I nie przeczytaliby nigdy takim zdaniem: Chcę powiedzieć, jak bardzo dziękuję Bogu, że pozwolił mi cię, spotkać.

Gdy już dawno nie było gości, brat Ryszard schodził ze schodów do ogrodowej ścieżki, do lasu i nad staw, i bardzo martwił się spotkaniem. I tym, że pisał życzenia. Szeptał zmartwienie kwitnącym wiśniom: „Nie było w tym wszystkim tęsknoty, a tylko wszędzie byłem ja”. I zapytał dal, zagasłą teraz, otwieraną tylko wschodem słońca: „Kiedy już nie ja będę tam wszędzie, gdzie jestem”.

KAZANIE DO ZBÓJA MADEJA

Tamtego dnia, podobnie jak dzisiaj - popatrz bracie! - słońce wisiało już nad zachodem. Tamtego dnia także płynęły od zachodu smugi ukośne do ziemi i opierały się o wierzchołki drzew lub padały na kartofliska.

I skądś, może aż z tych najdalszych błękitów i od słońca nad zachodem po smudze ukośnej zeszła na ziemię Matka Boska. Wszyscy wiedzieli, że mówi się do Niej: „Witaj Matko!”

A już u Jej stóp uszały się więdnące łodygi kartofla, drobne widłaki pochyliły swe igły i każda roślina, i wszystko na polu ku niej się kłoniło. Była cisza, zachwyty i pokój.

Matka Boska łagodnym ruchem głowy rozdawała spojrzenia serdeczne i nie pominęła nikogo. I szła. A w pewnej chwili stanęła. Dostrzegła bowiem pająka, jednego z tych, które ulatują na nici bielutkiej, aby podczas zimy zostawać w bezpiecznym miejscu. Tym miejscem jest niebo. Pan Bóg bowiem, kiedy piątego dnia stwarzania

dawał życie pająkom, zapragnął, aby wracały do Niego, gdy nadchodzą zawieje. Pająki bowiem są tak słabe. Dlatego w jesieni widzimy pajęczę wędrówki.

Lecz ten jeden pozostał na polu. Dlaczego nie przędzie nici bielutkiej?

Matka Boska wiedziała, że pająk nie pragnie powrotu do bezpiecznego miejsca. Zgubił zresztą nić, na której podążyłby za braćmi.

I wtedy Matka Boska wyjęła nić bielutką ze swego płaszcza. Podała ją małemu stworzeniu i zachęciła:

„Nadrobisz jeszcze stracony czas, tylko leć ku górze”. I poszła dalej przez kartofliska.

A pająk unosił się wzwyż, podobnie jak dzisiaj. Popatrz bracie!

ZAPROSZENIE DO BARU

Ulice są gwarne najbardziej o zmroku. I wtedy najłatwiej patrzeć na ludzi. Wydaje im się bowiem, że są dla innych jednym z cieniów, a tylko dla siebie pełnym osiągnięć, nasyconym bogactwem. Lecz wtedy najbardziej łka brat Ryszard. Suchymi oczami patrzy w najsmutniejszą samotność ludzkich twarzy i pragnie łez, aby odsunęły go od męki wykrywania prawdziwego losu spacerujących. Mówi bez szeptu: „Ukochany człowiek, który jest Boży, trwa myślą przy swych tęsknotach, zwycięstwach, planach, interesach. Trwa sercem przy marzeniach, pragnieniach, a nawet przy najmilszym, wybranym człowieku. Jak bardzo jednak jest samotny i jak to wyraźnie widać w jego twarzy o zmroku. Czy dlatego jest samotny, że jego osoby nie zdoła do dna wypełnić całość ludzkich spraw, a nawet miłość, towarzysząca mu na spacerze po gwarnej ulicy, wierna miłość rąk i troskliwie bijącego serca? A czy samotność jest brakiem ludzi? I czy jest losem najsmutniejszym wtedy, gdy można ją dostrzec w nieskrywanej o zmroku twarzy, która zatrzymując się przy planach i marzeniu nic nie wie o swej doli?”

Brat Ryszard wie, kiedy Bóg z troską pociesza człowieka i kiedy tym samym uchyla się los najsmutniejszej samotności. Jak jednak mówić o możliwościach tym, którzy nie słyszą? Jak ukazywać drogę tym, którzy nie widzą?

Wszędzie na ziemi są ślady, które mogą prowadzić do szczęścia. I wszystko mówi o drodze w tamtym kierunku, o drodze do Boga.

Brat Ryszard zagadnął przechodzące cienie: „Przepraszam. Zawsze o zmroku dobrze jest udać się na posiłek. Zapraszam do baru. Bar nasz czeka. Państwo dziękują, wolą własne potrawy? Bar nasz przygotował specjalne, zdrowe. Zapraszam. Spotkają państwo znajomych. Nie Będą państwo samotni przez wieczór. Państwo nie są samotni? Właśnie spacer w towarzystwie? Więc może po spacerze. Bar nasz zawsze ugości. Raczej nie?”

Brat Ryszard mówił jeszcze, lecz raczej siebie już zapytywał: Kto umie lub chce dosłyszeć zaproszenie wypowiediane przez najzwyczajniejsze sprawy, mogące prowadzić do wypełnienia człowieka, do uchylenia jego najsmutniejszej samotności? Kto umie lub chce przypomnieć sobie, że „bar nasz” jest także hebrajskim układem słów, które znaczą „Syn Człowieczy”? Kto umie lub chce dosłyszeć choćby w zaproszeniu do baru, że „Syn Człowieczy - Bar Nasz” czeka?

KWIAT JABŁONI

Kwitły jabłonie, była pierwsza tęcza i rozchylały się jaśminy. Brat Ryszard stanął w słońcu i otoczyli go bracia. „Patrzcie - mówił - na kwiaty. Zawsze płatki otaczają coś w kwiecie ważnego. Płatki są naszym działaniem, a tym czymś ważnym w kwiecie jest źródło czynów. Może to być kultura, człowiek. Trzeba jednak, aby tym źródłem działań była miłość Boża. Wtedy czyn jest naszym i Bożym czynem i można zabrać go poza ziemię”.

Brat Ryszard zerwał płatki kwiatów. A gdy bracia patrzyli z żalem na łądygi, stwierdził: „Gdy rozmyślamy, przychodzi do nas Bóg. Należy więc drogę wysypać jaśminem, a duszę ubrać w biel kwiatów jabłoni. Wschód tęczy rozgłosi, że budzi się radość. I stańmy na progu serca. Połóżmy na dłoni swoje serce i swoje łzy. Tym powitamy Boga. A potem ułożmy płatki kwiatów dokoła Gościa. A kiedy Bóg zapyta, dlaczego to zrobiłeś, odpowiedzmy: Chcę prosić, aby miłość była początkiem mych czynów”. I bracia zrozumieli, że trzeba zrywać płatki kwiatów jabłoni, że potrzebny jest jaśmin i tęcza.

ZMARTWIENIE BRACI

Bracia zapytali: „A kiedy brat przyszedł za furtę. I czy także dlatego, aby doskonalić siebie?” Brat Ryszard przestał patrzeć na osty i odchylił głowę w sposób, który bracia już znali i lubili, a który wyrażał nieśmiałą prośbę o to, aby pozwolono mu przeproszać. I dlatego bracia nie gniewali się, gdy brat Ryszard oświadczył: „Raczej nigdy tu nie przychodziłem. Zawsze byłem. A tylko co innego robię niż dawniej. I nie przyszło mi do głowy, aby zapytać, czy powinienem się doskonalić. Zawsze bowiem tylko tęskniłem, a potem już wiedziałem, co robić, ponieważ tęsknoty przecież się otrzymuje. Nigdy nie otrzymałem tęsknoty doskonałości”.

Bracia się zmartwili było im smutno, więc brat Ryszard zaraz tłumaczył: „Wiem, że zawiniły tu moje wycieczki. I powiem o tym bratu przeorowi. Nie mogłem ich jednak nie odbyć. Wyznaczyła mi je bowiem tęsknota. A była to pierwsza tęsknota, którą otrzymałem. Nie mogłem więc nie pójść, skoro tęskniłem do wycieczek. I tylko nie bardzo pamiętałem, że dano mi wycieczki na to, abym odniósł wszystko, co miałem wtedy w rękach. Nie bardzo pamiętałem właśnie dlatego, że stałem na łące. Łąka była zielona. Nad strumieniem kwitły kaczeńce. A w trawie pełno było innych, czerwonych kwiatów”.

Bracia wyrazili żal, że brat Ryszard nie pamiętał, aby odnieść to, co mu włożono do rąk. A brat Ryszard szybko wyjaśnił: „Tu jednak nie zawiniła łąka. O, nie! Sam zawiniłem. Także bowiem chciałem wypocząć. Paliło mi dłoń to, co niosłem. Była to moja miłość. Na chwilę więc oddałem ją łące, a dłoń zanurzyłem w strumieniu”.

Bracia nie umieli wyobrazić sobie tego, jak brat Ryszard niósł miłość w dłoniach. Brat Ryszard musiał więc dalej wyjaśniać: „Właśnie płonęła, ale nie paliła rąk. Wiedziałem tylko, że mam ją odnieść. Powiedziałem więc do łąki: przyniosłem ci miłość. I poszedłem ze strumieniem w kierunku biegu jego wody. W parku pod wierzbami spotkałem wiersze. Były podobne do naszych ostów i miały głos dzwonka. Musiałem wtedy im zostawić miłość, którą zwróciła mi łąka, gdy ją o to prosiłem. A potem dowiedziałem się od rzeźb z poprzednich wieków, że właśnie one czekają na moją miłość. Więc ją przyniosłem, ponieważ wiersze zgodziły się poczekać, aż będę wracał. I potem znowu dałem miłość uśmiechom ludzi, gdy rzeźby się przyznały, że nie

jest im smutno, gdy są bez miłości. A wśród tych uśmiechów jeden był najpiękniejszy i inny. Wiedziałem, że to jest uśmiech Boży”.

Bracia zapytali: „A jak uśmiecha się Pan Bóg? Czy brat dobrze widział?” Brat Ryszard nie widział, usłyszał tylko: „Przyniosłeś miłość? Ułóż ją na mych dłoniach. Właśnie na nią czekałem. Dziękuję. I ponieważ mam zajęte ręce, więc pomożesz mi podejmować moich przyjaciół, którzy przynieśli tu także swoją miłość. Oni wrócą na łąkę. Tak się bowiem ułożyliśmy, zanim przyszedłeś. I wrócą do wierszy, do ludzkich uśmiechów. Muszą się więc posilić. A ty będziesz podawał do stołu Chleb, którym jestem”.

Brat Ryszard tłumaczył braciom: „Długo szedłem ze strumieniem, zatrzymałem się na łące, przy wierszach i w poprzednich wiekach. Przyszedłem wtedy, gdy już rozdano łąki, wiersze i piękno dawnych rzeźb. Do nich wracali inni z przyjaciół. Ponieważ zwlekałem, zatrzymywałem się w drodze, więc otrzymałem taką pracę, przy której nie zgubię miłości gdziekolwiek. Dlatego podaję właśnie do stołu. I także wiem, że podaję na łące, przy wierszach, przy uśmiechach. Nie mam czasu nawet pomyśleć o sobie spełniając pracę, którą zleciła mi otrzymana tęsknota, gdy słuchałem zaproszenia, aby podawać do stołu. Nie przyszło mi więc do głowy, aby się doskonalić”.

Bracia stwierdzili: „Brat przedtem nosił miłość, a teraz brat podaje do stołu, ponieważ brat przecież opiekuje się refektarzem. To jest rzeczywiście coś innego niż to, co brat robił dawniej. I raczej za furta spełnia brat to drugie: podawanie do stołu. Nic więc dziwnego, że brat nie pragnie tego, czego pragną bracia. Powiemy bratu przeorowi, aby czuwał i zobowiązał brata do myślenia o ważnych sprawach”.

Brat Ryszard zgodził się, że tylko niósł miłość. I dodał, aby lepiej wyjaśnić, że od początku niósł ją do tamtych Bożych rąk, ponieważ One włożyły mu ją w jego ręce. A miejscem miłości są przecież Dłonie. I bardzo mu tylko szkoda, że tak się po drodze zatrzymywał, gdyż może, jak inni z przyjaciół, mógłby być przy wierszach i stąd patrzeć, jak płonie jego miłość w Dłoniach, którym ją przyniósł. A ponieważ się spóźnił, więc podaje właśnie do stołu. I jest mu dobrze. Może bowiem wciąż zachęcać się do tego, aby przenosić oczy w kierunku Dłoni; trzymających miłość. Widzi bowiem, jak chętniej niż jego oczy wybiegają tam oczy gości.

A potem brat Ryszard jeszcze tylko dodał, że właśnie tak jest rzeczywiście najlepiej. Gdyby bowiem nie podawał do stołu, pewnie zaczęłby myśleć o tym, kiedy przyszedł za furte, i że powinien się doskonalić. A to byłoby czymś, czego nie otrzymał w tęsknotach i czego nie polecił mu brat przeor. Polecił mu bowiem tylko oddać miłość Bogu.

SPRZĄTANIE

Brat Ryszard zamiata dziś długi korytarz, z którego bracia wchodzą do sali rekreacyjnej, do refektarza, i na piętro, gdzie są ich cele i kaplica. Korytarz jest czysty, biały, a jednak wprawne oko dostrzega pył na kamiennej podłodze i pajęczynę ukrytą pod oknem.

Brat Ryszard wie, że ta praca jest radosna, więc chciałby się cieszyć. Wygląda przez okno i śle uśmiechy kwitnącym jabłoniom, wybiega pamięcią nad staw i do lasu, a potem myśli: „Staw i jabłonie przynoszą mi radość. Nie raduje mnie usuwanie kurzu z kamiennej podłogi”. Mówi więc głośno: „Drogi pająku, mam obowiązek cię prosić, abys przeniósł się teraz do sadu. I sam zresztą sądzę, a nawet zapewniam, że ładniej jest wiosną wśród traw i na klombie”. I zaraz dostrzega, że rozmawiając z pajakiem nie myśli o nim, lecz prowadzi dialog właśnie z bratem przeorem.

Brat Ryszard przystaje i składa dłonie: „Jak wykonać dobrze te prace, które nie cieszą. Poradź!” I natychmiast dodaje: „Przecież swojej pracy nie podniosłem ku górze. Mogę właśnie mówić: Mój Boże, wszystko, co najlepsze, według Twych postanowień daj bratu przeorowi! I pozwól dziękować Ci za kurz na kamiennej podłodze, gdyż dzięki niemu dostrzegłem piękno trawy i klombu, a za oknem kwitnące jabłonie. I bądź przy wodach w stawie, aby każdy, kogo obmyją, mógł podnieść wzrok do Ciebie i zapragnąć lepszego. A las niech pomaga każdemu odejść od pragnień, które prowadzą w smutek. A moją pracę Ty zabierz, niech będzie prośbą o Twe spojrzenie na tego, kto jest w tej chwili najdalej od Ciebie”.

Brat Ryszard jednak pełny smutku wymiata dalej korytarz. „To prawda, że mogę wszystko, o czym myślę, podnieść w Niebo, jako prośbę i rozmowę. Lecz zawsze najpierw myślę o stawie, jabłoniach i słowach brata przeora. O Tobie myślę później. Czyżbym Twego obrazu nie miał w oczach, i Twojej myśli w swoich myślach, i Twych

pragnień w swym działaniu? Dlaczego najpierw jest we mnie las, trawa i klasztorny korytarz?”

A gdy brat przeor zapytał, czy bracia się cieszą, że korytarz jest teraz naprawdę ładny, brat Ryszard opuścił oczy: „Jeszcze nie umiem tak widzieć Boga, aby w Nim i poprzez Niego wyglądać ku wszystkiemu”.

LUDZKIE ŻYCIE

Brat Ryszard mówił nie lubianej wronie i polu, które rozwieszało na ostach jesienne mgły babiego lata:

„Czy wystarczą słowa, aby braciom ukazać tęsknotę i ogień, którym jest człowiek, gdy żyje?”

Czy wystarczą obrazy, zbudzone słowami, aby niepokoila tęsknota i aby grzał ogień, gdy człowiek chłodnie?

I czy wystarczy myśl, która jest głębiej niż obraz i głębiej niż słowa?

A czy wystarczy nastrój, który przywołał myśl, ujął ją w słowa, niby w klamry, i ułożył z nich obrazy, mówiące o tęsknocie i ogniu?

I wiem. Nie wystarczą słowa, ani obrazy, ani myśl i nastrój. Ale może droga, która jest kolejnością obrazów, patrzeniem na ich znikanie, może droga powie o tym, czym jest życie ludzkie?”

I brat Ryszard dodał: „Zanim zaproszę braci, sam przejdę drogę, która jest kolejnością i znikaniem obrazów z nastroju, myśli i słów. Chodźmy!”

Najpierw był tęczy świat. Nad strumieniem kwitły wierzby, a pośród łąk pachniały zdroje. Wybiegały tam tęsknoty, aby wznosić dobiekitne iglice, a nad przejrzystą wodą stawiać posągi z lśniących bazaltów. I chciały mocować się z wichrem, łamać miernotę leśnych drzew, i chciały znaleźć dąb trwaolistny.

Potem był świat pochmurny. Częste mgły. Niekiedy słońce ciepłym promykiem upadało na dłoń skostniałą. Dłoń przytulała ciepło do serca. Ciepło nie było jednak światłem. A gdy promyk ciepły zaświecił, myśl nie zdążyła zapamiętać jego kształtu. Była słaba.

A dalej stały domy i biły dzwony. Las drżał i odpowiadał echem, które układało się w pieśń pt. Dlaczego. Domy miały kształt serca, więc nawiązały do bicia dzwonów. A od lasu wracały nowe tony, które były molowe i śpiewały: Pragnę. Dlaczego pragnę?

I brat Ryszard zapytał: „Czym jest ludzkie życie? Czy jest tęsknotą, która pragnie, aby wystarczyły człowiekowi słowa i obrazy, myśl i nastroje, gdy trzeba przejść drogę znikania? Czy może jest ogniem, który winien ogrzewać?”

A potem wyjaśnił: „Życie jest rozwieszaniem mgły babiego lata w jesieni dla ostów i nie lubianej wrony; jest nadzieją, że ktoś o nas pamięta”.

ODTWORZONY NASTRÓJ

Bracia prosili: „Niech nam brat opowie o Konradzie. Brat widział Dziady w teatrze, a to jest dla nas także wydarzenie”.

Brat Ryszard zgodził się i zaproponował: „Usiądźmy więc w półkolu i niech się świeci tylko ta najmniejsza lampa”. I opowiadał.

Były drzewa, a potem rozrzucano gałązki świerku. Na ich zieleń upadły strącone liście. Oczywiście wiedzieliśmy, że Konrad przeżywa zadumę uwięzionego. Mówił zresztą: „Patrzę na pełny świat za bramę zadumy”.

Świat był barwny i daleki. Konrad wyjaśnił, że to dlatego, ponieważ nie dziwny jest w środku życia pagórek mogiły, ani męka tęsknoty, pragnienie lotu, pomyłki, czy gorzycz bezruchu.

Potem Konrad łkał. Można się było domyśleć, że płacz jest wtedy, gdy serce przeżywa ból, albo gdy grób nie niszczy nadziei. Czasem płacze się z radości. Ale o tym Konrad nie wspomniał. Mówił tylko: „Czy jeszcze za mało jestem zgięty, pochyła wierzba i połamany wichrem łąn?”

A potem stanął w pośrodku i krzyknął, że musi pokazać pobliskie ruiny, aby przekonać, że nie z jego winy nie można zakładać dachów. Konrad bowiem pragnął ustawić kolumny. Nie było jednak fundamentów i dlatego kolumny runęły. To nie jest więc jego wina. Konrad powinien był zastać fundamenty. Dodał zresztą:

„I nie chcę mówić, że Ty zawiniłeś. Sam nie uwierzę. Chcę tylko pytać, dlaczego nikt się nie dziwi, że jestem ruiną. Czy dlatego, że to są rzeczy znane od początku życia? Prawda. Zawsze ustawia się kolumny i często widzi się ruiny. Mój

żału! Człowiek już żył buntem, wiele nie rozumiał, przeżył mękę wątpliwości i winy. Swoim smutkiem nie poruszę serc. A jednak ich szukam, gdy pragnę zdziwienia, chociaż wiem, że nie więcej niż Hiob doznaję bólu i nie groźniej niż Jeremiasz wołam w górę skargą i buntem. Jego podszedłeś, jak wyznał, i zostawiłeś „o niestały prądzie wody”. Ty jednak byłeś z nim. A ja jestem ruiną. I mam żal, że wtedy, gdy powinny rosnać kwiaty, były burze i wichry, a nie było słońca. Bóg był przesłonięty. Zostałem sam, gdyż Ty nie jesteś tam, gdzie jest grzech. Nie chcę mówić, że Ty zawiniłeś. Sam nie uwierzę. Chcę zapytać, czy sądzisz, że dobrze jest z grzechem, że jest on miły? Jest wiecznością trudu, tęsknotą bez nadziei i spojrzeniem, które niczego nie dosięga.

Znasz człowieka. Człowiek zawsze chce dosięgać. Jesteś z człowiekiem, gdy prosi. Gdy jednak cienie Cię zakryją, gdy wola nie pozwala na schylenie głowy, ponieważ jest naiwna, zostajesz z daleka. A tu brak. I kolumn nie można ustawić.

Możesz tego nie nazywać tragedią, możesz nawet mnie pominąć. Nie chcę mówić, że Ty zawiniłeś. Sam nie uwierzę. I nie chcę mówić, że ja ponoszę winę, choć jestem światem ruin. Albo dobrze: moja wina. Lecz Ty jesteś, ha ... nie bratem!”

Bracia szepnęli: „Wyznaj Bogu nieprawość!”

Brat Ryszard dodał: „Czy jeszcze za mało jestem zgięty, pochyła wierzba, i połamany wichrem łan?”

A potem wyjaśnił: „Konrada bronili aniołowie”.

NA ŚWIĘTO MŁODZIANKÓW

Brat Ryszard usiadł przy ognisku, a gromadka chłopaków wpatrzyła się w jego oczy. Pochmurny dzień jesienny przeglądał się w wysokim płomieniu, a na pastwisku przystawała cisza. Brat Ryszard opowiadał: „Jeszcze wtedy nie miałem kaptura, ani nie było ścieżki nad staw. Był tylko mój najmłodszy brat w kołysce. Matka śpiewała:

Uśnij syneczku. Słońce ci barwi rzęsy brzegi i sen na nich zawiesza cudny, uśmiechnięty. Uśnij! Matka ci pocałunek układa na sercu. Rośnij mi i śnij słodko, mój mały.

A do mnie mówiła: Widzę na twych policzkach rumieńce, a w oczach błyski i zamyślenie. Czym się wzruszyłeś, synku? I wtedy wyjaśniłem: Kapłan Symeon oglądał

Dzieciątko. Odwiedzili Je uczeni ze wschodu. A jest przy Nim zawsze gwiazda. Pójdę i ja”.

A gdy przyszedł do mnie przyjaciel, układaliśmy plan podróży. Krzyknąłem: „Popatrz! Na wierzchołkach kasztanów zawisł złoty ogień! To zachodzi słońce”. Wtedy usłyszałem: „Chciałbym ci odczytać mój wiersz o Bogu, który woli być Dzieciątkiem”. Zgodziliśmy się, że to jest bardzo serdeczne i nasze, chociaż tak inne: Bóg, straszliwy Pan, i Bóg, o którego trzeba się lękać, gdy zasypia w kołysce. Który na pewno lubi, gdy uderza się w struny harfy i gdy nuci się pieśń: „Weseliłem się, gdy mi powiedziano, do domu Pańskiego pójdziemy”. Naprawdę weseliłem się, gdyśmy tę pieśń śpiewali. To był zachód i wieczór.

A potem było rano. Matka przyszła na werandę: „Miałam niedobre sny. Nie wychodź jeszcze dzisiaj do Dzieciątka”. I wtedy nagle, gdy staliśmy tak o wschodzie, wbiegli żołnierze. Dowódca zasalutował: „Proszę pani, spełniam rozkaz”. Był krzyk kogoś w najbliższym pokoju, kwilenie najmłodszego brata, zakrwawiony sztylet, rozpacz mojej matki. Żołnierze odbiegli. Wołałem do siebie: „Trzymali mnie, a tu matka płakała”.

I potem długo szeptałem: „Zamordowano dziecko. Dlaczego, o Emanuelu! Jaki powód? Gdy przyszedłeś jako Bóg-Dziecię, raczej przecież z Tobą powinna przyjść radość. Bóg Abrahama chciał ofiary z Izaaka. Ale na Twoje przyjście... Ufałem, że miłość... I pozwoliłeś odebrać nam dziecinę. Czy chciałeś zająć jego miejsce? Dlaczego cierpieniem? Jakże Cię kochać, chociaż tak pragnę? Twoje drogi i plany są trudne, a ja rozumiem tylko własne straty. Jakże Cię kochać, gdy jestem złamany i nie rozumiem? Dlaczego nie pozwalasz Cię kochać, chociaż do tego zachęcasz?”

I brat Ryszard zauważył: „Właściwie chodzi o to, że włożyłem do mszalika zasuszony kwiatek z grobu najmłodszego brata, ukochanego nad świat, siedmiomiesięcznego chłopca. Bóg go dał tęskniącym i zabrał. Kwiatek zaznaczał mszę na święto Młodzianków. Nic wspomnień oplotła obrazek inicjałowy i ułożyła się w rysunek, który opowiedziałem”.

A chłopcy przy ognisku krzyknęli: „Myśmy wszystko widzieli w brata oczach. A najpiękniejszy był dom o zachodzie, taki wysoki i ciepły, jak nasz płomień na pastwisku”.

PŁACZ KAPRYSÓW

Brat Ryszard przechodził koło lasu i usłyszał: „Drzewa są tu pachnące. Mchy tak miękko obejmują stopy. Paprocie zapraszają jakby do tańca. Szkoda, że nie mieszkam w najcudniejszych ogrodach, nie wkładam zawsze róż do wazonu, nie jestem wśród par, sunących po zwierciadlanej sali”.

A na gwarnej ulicy miasta mówiono: „Gdybym miał własny dom i choćby małą doniczkę na oknie... Na pewno ktoś dostrzegłby kwiaty. Zobaczyłbym wtedy radosną twarz i może miałbym żonę i dzieci”.

Potem brat Ryszard dziwił się wypowiedziom: „Uczciwy człowiek i specjalnie, gdy naucza, winien tak poznać myśl ludzką w jej osiągnięciach i tak usprawnić się w operowaniu tym dorobkiem, aby w miarę sił już bez pomyłek umiał najtrafniej znajdować rozwiązanie dla pytań, które niepokoją. I trzeba, aby człowiek umiał żyć czynem i do czynu dobrego pociągał”.

Z sali wykładowej droga prowadziła do cichej kawiarni: „To prawda, że wypoczywam, że tyle oczu kieruje się w moją stronę, gdy zasiądę pod oknem przy ulubionych oleandrach, albo gdy udam się do teatru. Zawsze mi tylko żal, że to nie są te jedyne oczy i że nie wypoczywamy razem”.

W hali sportowej czyjeś dłonie uchwyciły oszczep: „Najsprawniej skaczę. Muszę jeszcze najdalej rzucić. Dopiero wtedy bowiem będę szczęśliwy”.

A nad stawem ktoś się żalił: „Roberto pływa i biega. O, jak rozpryskuje wodę! Gdybym mógł pójść tam bez laski, ucieszyłaby się moja mama”.

I brat Ryszard zwierzył się ścieżce, wiodącej do ogrodu: „Wiem, o czym mówi las i gwar uliczny, a także sala wykładowa, kawiarnia i ktoś na hali, w której rzuca się oszczepem. I wiem, że można płakać lub cieszyć się nad stawem”.

Brat Ryszard zaczął sobie powtarzać: „Las jest pachnący. A tę woń, powiązaną z różami, dam zwierciadlanym parom, aby zaniósł ją Tobie. Nie dla nas to, a wszystko dla Ciebie. A do domu wprowadzę radosną twarz, ponieważ w niej dostrzegę Twoją. I oddam Ci synów, gdyż nie dla nas są oni. Dla Ciebie chciałbym się uczyć. I nauczę się, gdyż wtedy wiedziałbym, jak odpowiadać niepokojom, które też są Twoje. A gdy będę rzucał oszczepem i skakał do wody, gdy będę się martwił, że jestem sam przy

oleandrach, niech będzie to nie dla nas. Także chciałbym dla Ciebie się cieszyć, gdy uda mi się chodzić bez laski. Nie dla nas to bowiem, a wszystko dla Ciebie”.

Brat przeor stwierdził: „Brat Ryszard przekształcił w modlitwę usłyszaną mowę lasu i całej drogi, którą przebył, i stawu. A na ogrodowej ścieżce niczego nie zatrzymał dla siebie”.

Ale wtedy brat Ryszard wybuchnął: „Dlaczego las nie może pachnąć dla siebie? I dlaczego ktoś nie dla siebie winien pragnąć radosnej twarzy i oczu? Albo dlaczego trzeba dla Kogoś poznawać tyle napisanych dzieł? A gdy Roberto pływa w przejrzystej wodzie, dlaczego jest lepiej, gdy pływa nie dla siebie?

Właśnie najlepiej działałam i skutecznie, gdy całą duszą chcę dobrze ustawić kwiat w doniczce, który wprowadzi komuś żonę do domu. Właśnie najlepiej działałam, gdy pragnę tylko chodzić, aby ucieszyła się matka. I gdy prowadzę wykład lub stawiam dom, aby zamieszkał w nim i uczył się ktoś, kto nie może chodzić bez laski. I gdy ułatwię spotkanie w kawiarni z wybranymi oczami. I gdy cieszę się zwierciadlaną salą, różami i lasem”.

Brat przeor cicho odpowiedział: „Jednak ustawił brat kwiaty nie dla kwiatu, lecz dla lepszego celu, aby do czyjegoś domu właśnie weszła radość. I pragnie brat chodzić dla matki, nie dla chodzenia. A wykład i dom jest jednak dla kogoś. I celem spotkania jest nie spotkanie, lecz pragnienie szczęścia, które rozjaśnia oczy. O to właśnie chodzi, aby nasze dobro było etapem, a nie końcem pracy. I dlatego dobrze zwierzał się brat ścieżce. Trzeba najpierw oddać wszystko Bogu, a On zwróci to, co potrzebne tym, z którymi się spotkamy.

Może, proszę brata, może chodzi o to, aby brat nigdy nie cieszył się zwierciadlaną salą, różami i lasem, nie tylko dla siebie, ale nawet gdyby to było nie dla nas.

I może chodzi o to, aby się brat raz w życiu tylko uśmiechnął do ostów”.

SPRZECIWY

Obydwaj bracia zgodzili się, że pyłki śniegowe tańczą dzisiaj, z wiatrem beztrąsko wirują. Brat Ryszard, oczywiście, wirowałby z nimi także. Układałby nawet biel precudną na drogach, na drzewach, może na ramionach przechodniów. Potem

obiegłby beztróska wszystkie domy i ukryłby się w tym najbardziej ośnieżonym, z najpiękniejszymi kwiatami na szybach. I właśnie tam odnalazłby go brat przeor i na pewno chciałby wyłajać za maskaradę. Brat Ryszard powiedziałby wtedy dwa słowa: „Mój bracie”, i potem już by wiedział, że można rzucić się na szyję, uściskać, porwać śmiechem i chyba wirować z bratem przeorem, jak pyłki śniegowe, które tańczą dzisiaj, z wiatrem beztróska wirują.

Brat Ryszard jednak nie może dzisiaj tańczyć ze śniegiem. Musi bowiem natychmiast opowiedzieć bratu przeorowi, że płoty w białych czapach są, chyba piękniejsze niż pragnienia brata Ryszarda. A drzewa wyciągają korony na pewno serdeczniej niż on, gdy podnosi głowę ku niebu. A u wróbla podziwia ochotę zabawy, chociaż marzną, podczas gdy on tak łatwo jest smutny. O wiele lepsze jest wszystko poza nim. I bardzo się cieszy, że jest tak.

Chociaż się tym cieszy, jednak nie może tańczyć ze śniegiem. Chciałby bowiem raczej na przejrzystych szybach układać rysunki dla najmłodszych dzieci. Przecież dzieci nie zabiera się na wystawy obrazów, gdy zimno. Albo może rzeźbiłby dla pól i najchętniej domy, aby i pola miały co ofiarować nawet w zimie drżącym kuropatwom i nie lubianej wronie.

Brat Ryszard właśnie nie ułoży rysunku i nie wyrzeźbi domu, ponieważ przecież nie rysuje, ani nigdy nie budował. Mówił bratu przeorowi: „Tak wzruszająco dobrze tyłu ludzi panuje nad klawiaturą. A zestawień barwnych na płótnach umieją dokonać nasi bracia takich, jak samo słońce w jeziorze. I brat wie, że nawet nie umiem wirować ze śniegiem. A jednak chciałbym i dom postawić polu i rysować dla okien. Niech jednak już tak będzie, że wszystko jest lepsze poza mną: i ludzie, i praca”.

Lecz brat przeor zakrzyknął: „Co słyszę! Brat nie chce się cieszyć, ponieważ cieszyć się można właśnie teraz. I woli brat smutek, który jest troską tylko o siebie. A nawet pragnieniom daje brat ton podobny, chociaż są one wyjściem ku nowemu”.

I brat Ryszard zapragnął, się uśmiechnąć, ponieważ tego chciał brat przeor, i ponieważ nagle właśnie dopiero teraz dostrzegł, że zawsze jeszcze siebie stawia u celu tęsknot. I wiedział, że nie łatwo odejdzie od innych przyzwyczajień, ale jednak będzie już biel układał na drogach, może na ramionach brata przeora. I będzie zaglądał do

ośniezonych domów, a na pewno rzuci się na szyję, uściśnie, uśmiechem wyjaśni błędy i zawiruje jak pyłki śniegowe, które tańczą dzisiaj, z wiatrem beztrąsko wirują.

ZŁA SAMOTNOŚĆ

Poezji Geoffrey Chaucer'a.

Brat Ryszard zamknął trzynastowieczną książkę i stwierdził: „Angielskiego poetę orzeł uniósł w szponach ponad szczyty, do krańców wysokości, i tam prowadził z nim dialog. Oczywiście, trudno było nie uznać wyjaśnień orła, gdy pod stopami nie widziało się dna pustki, a nad głową łomotał tylko poszum skrzydeł”.

I brat Ryszard dodał: „Ja natomiast sam zatoczę koło sępa lotem nad szczytami. I rozważę fakt odchodzenia do krańców wysokości, tam więc, gdzie trzeba, abym był, a nie tam, gdzie chcę być. Sam wypracuję ocenę. Nie przyjmę jej nawet od orła. I jeśli będzie trzeba, oprę skrzydła o szczyty mgławic, a potem ostrzem szponów otworzę pierś. Wtedy moje słowa, które będą płakały, wyjmą serce i zawiążą je w węzeł gromu. Serce będzie bólem i kamieniem, więc zawiązane w grom, niby w pętlę sznura, serce spadnie błyskawicą, aby zwałać. Czy słyszysz trzask i łomot łamanych stuletnich pni, i szczęk żelastwa, i rozpad głuchy granitów łańcucha? A jęk czy słyszysz? Nie! Więc nie żałuj, że ginie to, od czego odszedłeś, i że roztrzaskał to ból mego serca. Tak. Staję bowiem zawsze jak Dawid przed Goliatem i muszę kamieniem procy łamać armie, swoim sercem, zawiązanym w grom, gdy zatoczę koło sępa lotem nad szczytami”.

I brat Ryszard podniósł oczy: „Przecież to, od czego odchodzę, jest może czymś wybranym przez innych, a przynajmniej środkiem, poprzez który z palca Stwórcy przenika żywa iskra do Adama na fresku Michała Anioła. A może jest radością, o której mówi francuska piosenka, że rodzi się wtedy, gdy zaproszę oko kawałkiem księżyca, nie większym od pieniążka. A może jest oczami z kołycki, zawieszonymi jak gwiazdy na niebie matki uśmiechu, lub pocałunkiem, który w kołyckę niesie dłoń miłości. Albo jest może bielą śniegu i troską, aby nie wypadł z sanek maleńki brat”.

A przy słowach o radości i bieli śniegu brat Ryszard ugiął kolana i dłonią zakrył oczy: „Gdzież wybiegły moje myśli? Odchodzę tam, gdzie trzeba, ale zostawionych umiłowań nie muszę przecież łamać. A może tylko nie chcę bólu odchodzenia i raczej chcę, aby nie istniały rzeczy, do których wybiegają tęsknoty?”

Brat Ryszard wiedział, że dlatego wybiegał źle od trzynastowiecznej książki, ponieważ chciał biec sam. Więc powiedział: „Duszę swoją ustroję w biel kwiatów jabłoni, drogę wysypię jaśminem i stanę przed progiem. Na dłoni ułożę serce i łzy. Zrozumiesz, mój Boże! Zechciej przyjść, gdy jestem sam i gdy zamierzam czytać”.

A potem jeszcze ze smutkiem dodał: „Nie tylko źle czytałem książkę i nie tylko pozwoliłem wybiegać tęsknotom nie tam, gdzie trzeba, aby biegły, lecz właśnie nie czekałem, aby z Tobą, który przychodzisz, zabrać się do czytania”.

„A właśnie dobrze mówi trzynastowieczna książka o angielskim poecie. Właśnie trzeba, abyś mnie, Orle, z sobą uniósł ponad szczyty, do krańców wysokości. Nie widziałbym dna pustki, ponieważ widziałbym Ciebie. I słyszałbym tylko szum skrzydeł, które są Tobą. I kochałbym Cię, Boże Ojczy, Synu, Duchu Święty”.

POCHWAŁA WODY

Brat Ryszard zbliżył się do stawu. Mówił: „Staw załamuje tęczę rozprysków, biegnących już w słońce i woła: Stójcie, nie mogę przecież stracić wody! W kierunku stawu pochyła się las, ukrywający cienie, które odbiegły od ludzi, gdy tylko przywarli zmęczeniem do traw i gdy zapragnęli wody. Las podśmiewa się ze stawu: Przecież już nie bądź tak surowy dla rozpryskującej się wody! Woda szepcze trawom: Gdybyście odjęły zmęczenie ramionom, dałabym ludziom czujność”.

Gromada połyskujących ramion podrywa się z traw i przypada do piasków, które staw ułożył przed Wodą. Staw wyjaśnia: „Piaski są sypkie. Wodo, mogą to być twoi paziowie!” Woda żartobliwie gładzi je falą i w rozpryskach wybiega z nimi ku brązowi ramion, mocujących się z barwami i światłem. A teraz śpiewa wysmukłym sylwetkom, które wiążą stopami ruch z chaosem rozprysków: „Roztańczyły się tęcze. Zanuciły dźwięki srebrem potraconych koron szuwarowych kwiatów. Przefrunęły sny. Czy w trawie teraz są ogniki świętojańskie? Nie, to zaśmiały się struny instrumentu. Gdzie instrument?” Na wodzie wyraźny jest rząd fal, tęczowa klawiatura, uderzana połyskiem ramion.

Las w tym czasie tłumaczy ceniom: „Gdyby podczas pływania na chwilę pozwolić nogom odpocząć i zwolnić z wysiłku ramiona, nie miałby już kto ułożyć na trawie uzbieranego w wodzie zmęczenia”.

Uderzenia ramion zbliżają się do brzegu. Mocne stopy toną w piasku i oddają trawom przejrzyste krople (trawy już nanizwały je na zieleń, niby perły, aby igrały w tęczęch ze swawolnym promykiem). Stopy zwały się w radosnym mocowaniu z piaskiem i trawą, które otoczyły siłę i piękno o kształcie życia. Rośnie radość, przybiega myśl.

I brat Ryszard podniósł dłoń: „Błogosławiona bądź wodo, w której mieszka radość, wydobywana wysiłkiem i czujnością. Ktokolwiek sięgnie po radość w przejrzystości wody, niech przy każdym z nią zetknięciu zapragnie tego, co najlepsze. A wszędzie, gdzie pojawi się radość, niech wywołą się pragnienia, które kierują do dobra. I błogosławione niech będzie ludzkie życie, pełne działań słusznych i prawych”.

A gdy brzmiały dalej pluski wody, gdy biegał nad stawem huragan kształtów, gdy w rozwichrzonych czuprynach splątało się słońce i gdy tęsknota stała się linią profilów, Roberto dostrzegł, że staw już nie jest tak surowy dla kropel wody i że las wymyśla zabawę dla figlarnych cieni. I dostrzegł, że brąz ramion i barwy lasu, rytm kształtów i muzyka szuwarów są rozrzuconym pięknem, które daje się odkryć zamyśleniami i błogosławieństwem. I wtedy zakrzyknął: „Tędy przez łąkę i nad wodą musiał przechodzić brat Ryszard. Któż inny poodślaniałby kruszyny piękna i niczego nie wziął dla siebie, któż zostawiłby to dla tych, którzy przyjdą?”

NIE ROZUMIEM ŚWIATA

Brat Ryszard wiedział, że w lesie nad stawem mieszka Dziwny Człowiek. Mieszka w ciemnej, zadymionej pieczarze, którą utworzyły kamienie i zwalone drzewa. Brat Ryszard nie wchodził tam nigdy, chyba że jesień była już złota. Patrzył wtedy na więdnące liście i dziwił się, dziwił, pełny wdzięczności za piękne barwy. Odczytywał harmonię, komponował układy i mówił: „Moje akwarele!” Najbardziej cieszył się takim obrazem: korona drzewa, pełna lśniących w słońcu złotych liści, widziana z dołu, na czystym błękitnie nieba. „To nie może nie być cudem” - stwierdzał najciszej, aby tylko poinformować siebie.

Lecz dzisiaj postanowił: „Pokażę to Dziwnemu Człowiekowi”.

Dziwny Człowiek wyznał: „Cuda powinny być bardziej atrakcyjne. Ten cud nie udał się bratu”. Brat Ryszard podniósł oczy, a Dziwny Człowiek przekonywał: „Niech

brat nie zaprzecza. Owszem, jest uroczy, ale nie ciekawy. Umiem to lepiej. O, niech brat spojrzysz”.

Brat Ryszard dostrzegł w ręku Dziwnego Człowieka kwiat głogu na suchym drewnie. Usłyszał słowa: „Wyfruń dla mnie”. I cała podziwiana przed chwilą złota korona z liści uleciała z drzewa w słońce świergotem ptaków. Drzewo stało się szkieletem, a obraz na czystym błękicie nieba przestał świecić. Powiał zimny wiatr i brat Ryszard odczuł smutek pieczary. Zapytał: „Czy wolisz samotność, że pozwoliłeś odlecieć ptakom?” Dziwny Człowiek zauważył: „Uczysz przecież, że odejście jest rozwojem”. Brat Ryszard podnosząc dłoń ku oczom tłumaczył: „Zawsze uczyłem, aby odchodzić od siebie. Nie chciałem jednak, aby odchodzili od nas inni, gdy szukają. Jesteśmy dla nich”. Dziwny Człowiek twierdził: „Zawsze zawołam: wyfruń dla mnie. Jeżeli brat umie inaczej, niech brat próbuje, lecz to się nie uda. Chodźmy do pieczary. Dam bratu kamień mocy, który zamienia liście drzew na złoto”. Brat Ryszard powtórzył: „Na złoto? Koronę drzewa złotą kiść? I będę ją widział na czystym błękicie nieba? Mój obraz, moją akwarelę? Przywrócę liście drzewu-szkieletowi”.

Brat Ryszard ustalił: „Nie wypada mi wprost zmieniać przyrody. Może nie wszyscy lubią, barwę złota. Nie powinienem zresztą czynić cudów. Nie będę. Zrobię tak: Mój cień, gdzie padnie, niech zmienia obrazy na jesień, na złoto. Nikt nie, pomyśli, że to ja sprawiam”.

Nadbiegł Roberto: „Niech brat patrzy! Są w lesie dziwne liście. Nie liście, lecz lśniące płytki ze złota”. Brat Ryszard przystanął, a jego cień, na pewno złośliwie wydłużony przez zachodzące słońce, padł na ścianę domu Roberta. Ktoś wybiegł z domu: „Ach, proszę brata. Jak mieszkać? Wysypała się część ściany. Ale... Niech brat się zbliży. Czyżby w tej ścianie były ukryte płytki złota. Skąd ich tyle? Jakże piękne! Kupimy za nie nowy dom i może las nad stawem”.

Brat Ryszard śpiesznie odszedł. „Zepsułem dom. Przeze mnie drzewo powtórnie straciło liście. Niszczę piękno lasu w jesieni. Powinienem jednak być za klauzurą i może tylko gawędzić ze stawem o czystej wodzie. Staw pod lasem. Cisza tu i wodne ptaki na błękitnej tafli. Płyną do mnie. Dobre i ufne. Powinienem być wodnym ptakiem. Nie czyniłbym źle i może mniej lubiłbym złote liście na błękicie nieba. Pochylę dłoń, pobawię małe. Matka wodnych ptaków raczej się ucieszy. Lecz, cóż to?”

I brat Ryszard patrzył na wszystko do końca. Wodne ptaki krzykliwe, trzepocące i szare zaczęły biec do matki. Po drodze stawały się cudnie złote, drętwiały, nieruchomiały i opadały w wodę. Brat Ryszard podtrzymał pisklę. Spokojna o nie matka biegła do innych, które odchodziły. A gdy uspokoiły się kręgi na wodzie podpłynęła do rąk brata Ryszarda i pieściła dziobem trzymaną przez niego martwą, złotą bryłę.

Gdy jeszcze nie przestały padać łzy, brat Ryszard powstał, odniósł Dziwnemu Człowiekowi kamień mocy i wyjaśnił: „Nie umiem, jak ty, czynić rzeczy cudownych. Raczej wyrządzam krzywdę. Dlaczego chcę robić to, czego nie potrafię? I dlaczego lubiłem barwę złota, które zabrało radość matce wodnych ptaków, choć nie smuciło bliskich Roberta? Nie rozumiem świata i chyba nie umiem już nawet się uśmiechać”.

PRZY CHOINCE WSPOMNIENIA Z BETLEJEM

Byłem w Betlejem 19 sierpnia 1957, i tylko przez jedno popołudnie. Wizyta bardzo krótka, a jednocześnie dużo czasu, aby przeżyć i przemyśleć tajemnicę Narodzenia. Tak sądziło kierownictwo pielgrzymki, z którą odbywałem podróż po Ziemi Świętej, tak sądziłem wtedy i ja, kilka lat temu. Dzisiaj jestem innego zdania.

Jechaliśmy do Betlejem z Jerozolimy, drogą więc na południe. Do samochodów wsiedliśmy przy bramie na Damaszek. Po Jerozolimie bowiem, zbudowanej na zboczach Golgoty, Syjonu i Mojrah, chodzi się pieszo. Ma to swój urok, a poza tym na wąskich i ruchliwych uliczkach Miasta zmieści się zaledwie osiołek. Od bramy Damaszku jedzie się w dół ku dolinie Cedronu. Przecina się dolinę w poprzek, obok ogrodu Getsemani i w pobliżu bazyliki grobu Matki Boskiej. Po lewej stronie pozostaje góra Oliwna, po prawej sadzawka Siloe, a wyżej Miasto Święte biało-szare, z kopułą meczetu Omara na miejscu świątyni Jerozolimskiej, z kopułami bazyliki Grobu, z prostymi dachami domów, miasto otoczone murem odbierającym dolinę Jerozolimę, chociaż właśnie ku tej dolinie Miasto zbiega. Głęboki symbol, ponieważ przecież i nasze życie tam biegnie.

Świetna, asfaltowa szosa prowadzi do Betlejem. Zjeżdża się długimi serpentynami w dół z całego pasma wzgórz - gór świętych, na których wznosi się Jerozolima. I natychmiast samochód wspina się na inne pasmo górskie, aby pielgrzym ze szczytów mógł dojrzeć Betlejem.

Betlejem widziane z daleka przypomina Asyż. Podobnie rozgrzane słońce, podobne ustawienie domów na górskim zboczu: dom nad domem. W Asyżu jednak są strome dachy, oparte na trójkącie i strome zbocza, Betlejem ma dachy płaskie i zbocza raczej łagodne. Asyż jest biało-brunatny, Betlejem jest biało-różowe. Tylko bazylika nad Grotą daje znać o sobie czerwonym dachem. Poza tym ten sam nastrój spokoju, spraw świętych i wzruszająco nieporadnej, smutnej biedy. Naprawdę jest tajemnicą, dlaczego tę ubogą, twardą, skalistą i urodzajną, suchą i piękną ziemię uczynił Bóg Ziemią Obietnicy i mieszkaniem Chrystusa.

Zatrzymujemy się na prostokątnym dziedzińcu przed Bazyliką. Obok klasztor franciszkanów, którzy od czasów Krzyżowych są oficjalnymi opiekunami miejsc świętych. Do Bazyliki wchodzi się małymi drzwiami. Trzeba się zupełnie pochylić. Wewnątrz duża świątynia. pod podłogą resztki mozaiki bizantyjskiej. Na środku złoty ołtarz prawosławny. Z dwu stron ołtarza wchodzi się do Groty.

Grota nie jest duża i jest jak gdyby dwuczęściowa miejsce urodzenia Chrystusa i miejsce żłóbka. Miejsce Bożego Narodzenia zaznaczone jest zwykłą marmurową płytą ze złotą gwiazdą i napisem: Tu narodził się Chrystus z Maryi Panny. Nad płytą stół małego ołtarza. Wygląda na to, że żłóbek był prostokątnym wgłębieniem w skale. Z tego wgłębienia jadły zwierzęta groty: wół i osioł. Tam więc chyba Matka Boska złożyła Syna. Obok żłobu zbudowany jest ołtarz. Przy tym ołtarzu odprawiają się codzienne msze i pasterki. Ściany Groty obwieszane są makatami, przetykanymi srebrem i złotem. Do sklepienia Groty przymocowane są lampy oliwne.

Podczas mszy o północy, odprawianej dla naszej pielgrzymki, stałem przy miejscu Narodzenia. Staliśmy, aby mogło wejść do Groty jak najwięcej osób, których mieści się w Grocie około 60. Rzesza pielgrzymów przeszła do sąsiednich grot, połączonych teraz korytarzami z Grotą Narodzenia. Śpiewaliśmy wspólnie. To było ostatnie spotkanie w Grocie. Przed tym zachodziliśmy tu co pewien czas zwiedzając bazylikę sąsiednie groty i dolinę pasterzy.

Jakieś trzy kilometry w dół od Betlejem i w kierunku na wschód znajduje się dolina, nad którą Aniołowie obwieścili pokój. Urok specjalny. Ogromna kotlina łagodnie podbiegająca horyzontem do chmur, błękitne niebo, przestrzeń, owoce

granatów, figi, fioletowe i żółte kwiaty w trawach. Cisza. Prawie oczekuje się zjawienia Anioła. Nastrój wypoczynku, jakichś melodii na flecie.

A za plecami, na łagodnym zboczu bazylika Groty. Idziemy tam, napełnieni nowiną, oddać pokłon. Na wirydarzu klasztornym recytujemy śliczną wigilijną jutrznię, a potem msza o północy.

Patrzyłem na dzieci arabskie, na ich matki, grupy rozbieganych uczniów, czarnych, oliwnych, roześmianych. Gimnazjalni chłopcy grali w siatkówkę. Rodacy Chrystusa. A katolików tak niewielu.

I droga powrotna. Tędy Józef i Maryja jechali do Betlejem z Nazaretu. Tędy szli do Jerozolimy, aby ofiarować Dziecię, uroczą drogą o biało-różowym kolorze, przez zieleń dolin, obok góry Oliwnej i Getsemani, przez dolinę Cedronu ku Świątyni, dzisiaj symbolu Nieba i dobrego życia.

Bracia płakali, wzruszeni łaską, którą Bóg w swej dobroci wyróżnił brata Ryszarda, jednego z nich. I zauważyli: „Pokutujmy gorliwiej. Nawet brat Ryszard jeszcze nie zasłużył, aby na jego rękach, jak niegdyś na rękach św. Antoniego i św. Stanisława, spoczęło Boże Dziecię. Pokutujmy”.

ASYŻ I ŚW. FRANCISZEK

Podczas rekreacji brat Ryszard zauważył: Najbardziej zdumiewa w Asyżu to, że święty Franciszek jest tam wciąż swoiście obecny. Wciąż się tam o nim mówi. Dla niego przyjeżdża się do Asyżu i zwiedza się miejsca, w których przebywał. Franciszek organizuje życie miasta, wzrusza turystów i uczy, że dla człowieka Bóg może być wszystkim.

Dalej zdumiewa właśnie to, że Asyż, zupełnie przypomina Ziemię Świętą.

Ten sam kolor skały i to samo upalne słońce. Człowiek jednak czuje się lekko, rześko i biega po górach prawie bez zmęczenia. I ta sama obecność nastroju, spraw oraz nauki Osoby, dla której przyjeżdża się do Ziemi Świętej czy do Asyżu.

Na zboczu górskim domy z kamienia jedne nad drugimi. Domy czerwone z cegły i białe z kamienia. Najwyżej ruiny zamku Scifich. Niżej bazylika z grobem Franciszka i freskami Giotta. Gdzieś dalej katedra i grób św. Klary z jej zwłokami, zachowanymi jeszcze. Twarz Klary ściemniała, ale rysy wciąż czytelne. I myśl przenosi

się zaraz do klasztoru św. Damiana. Klara mieszkała tam wiele lat. Na pierwszym piętrze klasztoru znajduje się cementowa weranda. Jest zasłonięta trzema ścianami. Jedna strona werandy jest otwarta na szeroką, piękną dolinę. Nad doliną wisi słońce. Na krawędzi werandy stoją skrzynki z kwiatami. Kiedyś Klara hodowała tu także kwiaty. Jest to ów sławny ogródek św. Klary. Na ścianie werandy wmurowana płyta z hymnem do słońca. Św. Franciszek chwalił tu słońce i wszystkie stworzenia Boskie. Klara, zamknięta za klauzurą i chora przez wiele lat, wychodziła do swego ogródka odpocząć i mówić Bogu słowa miłości z powodu także piękna doliny, na którą patrzyła. A gdy rozmawiała o Bogu z Franciszkiem zapominała o dolinie i o sobie. Aniołowie wtedy w trosce o ich siły nakrywali do stołu i przygotowywali posiłek.

Franciszek najczęściej przebywał w Carceri, w swej pustelni. Mija się miasto, mija się zamek rodziny Klary. Celem jest szczyt sąsiedniego wzgórza. Pełno tu drzew. Poniżej szczytu dwie groty, teraz nakryte kościołem. W grocie wyżej położonej Franciszek tylko się modlił. Do drugiej groty schodził, aby modlić się i odpoczywać. Skoro zawsze był z Osobą ukochaną, zawsze z nią rozmawiał, zawsze więc się modlił. W drugiej grocie jest nisza wykuta w skale i kawałek drewna. Na drewnie Franciszek układał głowę podczas snu. Nie można przejść bez refleksji obok łóżka św. Franciszka: nisza w skale i kawałek drewna pod głowę. Franciszek wybrał Boga i nic więcej. Wszystko inne zostawił.

U św. Damiana, w Carceri, na wzgórzach Asyżu, u Najświętszej Panny Anielskiej, wszędzie Franciszek mówił Bogu, że Bóg jest wszystkim dla jego miłości: „Bóg mój, moje wszystko”.

Bracia spacerując po ogrodzie powtarzali: „Bóg mój, moje wszystko”.

PRZEMÓWIENIE NA POWITANIE GOŚCI

Wszystkich państwa, obecnych w sali rekreacyjnej, w innych salach, na dziedzińcu i korytarzach klasztoru, proszę o odszukanie w duszy tych wzruszeń, którymi zdobi się otwarcie uroczystego spotkania ku czci patrona klasztoru, świętego Michała Archanioła. To spotkanie w tej chwili się zaczyna. Znaczy to, że otwieramy serca, aby już wreszcie poprzez miły uśmiech i wymieniane serdeczne słowa ujawniać po prostu całą zyczliwość i dobroć, które wszyscy wzajemnie dla siebie przynieśliśmy

na dzisiejsze spotkanie. Znakiem najpełniejszym tej życzliwości jest nasza tu obecność, podkreślona świątecznym wyrazem oczu, pięknymi toaletami pań, elegancją panów. Uroda tego spotkania zachwyca, podobnie jak zachwyca uroda wszystkich tu obecnych pań. Po prostu piękna, rodzinna uczta na Olimpie. Widzę już rozrzucane uśmiechy, dobroć słów. A za chwilę najmłodsze dzieci naszej klasztornej rodziny, bracia nowicjusze, rozniosą potrawy przygotowane dosłownie z olimpijskiej ambrozji, którą jest umiejętność zobaczenia ludzkiej dobroci. Niech państwo się rozejrzą, popatrzą na najbliższe osoby obok siebie! Przecież wzrusza to oczekiwanie, gotowość, aby podjąć gest życzliwości, darowany uśmiech, aby na stałe zostać w pamięci i w sercu. A gdy zaśpiewa chór klasztorny, aby posilić też nasze intelekty, to już będę pewny, że bogowie Olimpu nie mogli mieć przyjemniejszych spotkań. Rzeczywiście bowiem jest to jedyne spotkanie na ziemi, po prostu w kosmosie. W całym kosmosie jest przecież jeden klasztor Michała Archaniola położony nad stawem i przy ścieżce do lasu. Jedno jest tak uroczyste spotkanie zakonników i gości, i jest jeden teraz przemawiający konferansjer.

Po łacinie „confero” znaczy - „zbierać, złączyć”, „se conferre” - „w coś przemieniać”. Mocą więc swego konferansjerskiego urzędu przemieniam to spotkanie w festiwal dobroci. Ta manifestacja dobroci niech zostanie przeniesiona na teren całej Polski, do domów państwa i niech stamtąd promieniuje swym pięknem.

Piękno dobroci, stanowiące na naszym spotkaniu zasadę, wyznaczającą nastrój i wszystkie towarzyskie relacje, uzyska teraz akceptację i jakiś swój odpowiednik w pięknie śpiewu.

Chór klasztorny wykona poloneza.

Bracia i goście zachwycili się śpiewem, a brat Ryszard powiedział: Gdy byliśmy dziećmi ojciec brał nas na kolana, uczył, wyjaśniał. Czuliśmy się wtedy, jak w niebie. Jesteśmy w dalszym ciągu dziećmi rodziny ludzkiej, która spotkała się w klasztorze. Dobrze się tu czujemy, może nie całkiem jak w niebie, lecz ojcowskie słowo brata przeora pomoże nam cieszyć się tym, że i na ziemi można znaleźć prawdę, piękno i dobroć.

Brat przeor tłumaczył: Nasza praca nad sobą, na tej ziemi, ma na celu uzyskanie duchowego podobieństwa do Chrystusa. Gdy to podobieństwo uzyskamy, wtedy Ojciec

Niebieski, rozpoznając w nas rysy Chrystusa, powie o każdym z nas: „Ten jest syn mój miły”.

Podobieństwo do Chrystusa wyraża się w naszej miłości do Boga. Chrystus kocha Ojca nade wszystko. Gdy ukochamy Boga nade wszystko, uzyskamy podobieństwo do Chrystusa.

Ukochanie nade wszystko wymaga głównie porzucenia siebie, a zwrócenia się całkowicie do Boga. Taki jest sens kochania nade wszystko Boga: Jestem poza sobą w Chrystusie. Kocham, a więc Bóg jest pierwszym celem mojej miłości.

Porzucenie siebie jest jednak męką, jest drogą krzyżową, która kończy się utratą i zmartwychwstaniem. Zmartwychwstanie polega na pojawieniu się w nas miłości wraz z łaską. Dzięki temu mamy wspólne życie i wspólne sprawy z Bogiem, którego życie wewnętrzne wyraża się Trójcą Osób.

Kiedyś twarzą w twarz będziemy uczestnikami życia Osób Boskich. Przebywając w Bogu, w samej Trójcy Świętej, będziemy składali chwałę Ojcu, Synowi i Duchowi Świętemu.

Brat Ryszard wszedł na mównicę. Zapowiedział, że znowu zaśpiewa chór. I dodał: Śpiewa dla nas, dla wszystkich tu obecnych. Odbierajmy tę melodię jako śpiewaną dla każdego z nas z osobna. Bo tak jest. Każdy tu obecny jest gościem jedynym, niepowtarzalnym, najważniejszym. Wszystkich klasztor obejmuje całą swą serdecznością. I gdy państwo pojedą do domów, proszę pamiętać, że wciąż stanowimy jedną rodzinę. I pragnę przekazać państwu upominek na pamiątkę naszego spotkania. Niech tym upominkiem będzie myśl dekorująca dziedziniec: „Prawdę czyńcie w miłości”. I proszę, byśmy ukochali Boga nade wszystko.

Proszę chór o najpiękniejsze wykonanie, gdyż słuchamy swymi najpiękniejszymi wzruszeniami.

Chór śpiewał. A potem brat Ryszard już tylko dorzucił: Widzą państwo, że śpiew chóru pomógł naszej pamięci przywołać smak śpiewu chórów anielskich. Jestem przekonany, że po zmartwychwstaniu usłyszymy śpiew chórów anielskich. Urządzimy wtedy konkurs, w którym, gdy zaśpiewają nasze ziemskie chóry, to nie jestem pewny, czy nagrodę zdobędą aniołowie. A gdy się rozejdziemy, to proszę, aby państwo wnieśli do domów wraz z uroczymi toaletami i elegancją także piękno dobroci.

A bracia potem się martwili: tak mało wiemy o Michale Archaniele.

HOMILIA NA DZIEŃ MICHAŁA ARCHANIOŁA

Człowiek w jakimś okresie życia staje przed kwestią istotnych dla siebie rozstrzygnięć. Ma już za sobą cały trud szukania tej pierwszej pewności, jaką jest intelektualne ujęcie Boga. Musi Go teraz przyjąć, uznać aktem woli.

Ale człowiek wobec faktu tak poważnego, istotnego w swym życiu, zajmuje postawę, która świadczy o naiwności. Rozumowa pewność z jednej strony, a z drugiej brak decyzji. Sprawa poważna. Od rozstrzygnięcia jej zależy życie.

Jak dobrze, jeżeli się ma religijne, katolickie wychowanie. Wtedy akt świadomej woli przychodzi łatwiej i tę duchową formę przekształca w otwarcie się duszy przed Bogiem. Ale nie zawsze.

Przeszkadza często brak wewnętrznej gotowości na przyjęcie nawet tego, co prawdziwe. Czasem bowiem tak trudno zrezygnować ze swoich umiłowań. Człowiek może nie zrezygnować. I to już wtedy jest moment pychy. I wtedy razi człowieka okrzyk: Któż jak Bóg! Mi-cha-el!

Św. Michał Archanioł jest znakiem najwłaściwszego usunięcia kłopotów, związanych z powzięciem tej istotnej decyzji. Uczy jak przyjąć Boga. Sam bowiem przed wiekami przeżywał podobny fakt.

O istnieniu aniołów mówi nam Bóg w Piśmie św. „Tysiące tysięcy służą Mu, a dziesiątki tysięcy, setek tysięcy usługują” (Dn 7). Wśród tych duchów jest Archanioł Michał. Mówi o nim Archanioł Gabriel do proroka Daniela: „Michał, jeden z książąt przedniejszych”.

Nasze rozumowanie, właściwe ludzkiemu poznaniu, cechuje się błędami i nawrotami. Intelkt aniołów na ich miarę ma pełnię wiedzy. Widzą umysłowo całą prawdę. Nie wahają się, nie wnioskujeją. Jako byty wolne mogą jednak wybierać. I jest to w ich wypadku natychmiastowe, pełne przyjęcie lub odrzucenie prawdy. Mogą chcieć lub nie chcieć. I trzeba w nich, podobnie jak w ludziach, rozróżnić naturę i łaskę.

Bóg stwarzając naturę aniołów i ludzi udzielił im jednocześnie łaski, aby mogli uczestniczyć w życiu samego Boga. Łaska miała podnieść i uzdolnić naturę do życia nadprzyrodzonego. Wola, która jest przyczyną naturalnych czynów, zwracała naturalne

światło umysłu aniołów do Boga. Poznali siebie i poznali Boga, a św. Tomasz wyjaśnia, że „zasługą anioła nie było naturalne zwrócenie się do Boga, lecz to zwrócenie się przez miłość nadprzyrodzoną, która jest z łaski”. Łaskę posiadał Michał i Lucyfer.

Lucyfer zachwyił się sobą jako wolnym bytem, a nie jako tworem Boga. I nie chciał uznać swej wewnętrznej zależności od Boga. Pominął Stwórcę. Ale Michał Archanioł nie został przy naturalnym zachwycie sobą. Zapragnął drogą łaski iść ku Bogu. Kim Ty jesteś, Boże, skoro ja jestem piękny? I odpowiedział Lucyferowi: „Któż jak Bóg! Mi-cha-el!”

„Stosunek aniołów do łaski Bożej rozstrzygnął o ich zbawieniu i potępieniu”. A ten stosunek wyłonił się z pychy i pokory.

W życiu człowieka istotne są tylko dzieje jego wnętrza. A rozpoczynają się w znaczeniu współpracy z łaską od pierwszego, świadomego aktu woli człowieka, aktu dokonanego z większym, czy mniejszym trudem, od aktu spotkania się z Bogiem. To spotkanie jest rozcięciem węzła problemów.

Św. Michał Archanioł poznawszy Stwórcę zdobył się na akt pokory, na właściwą ocenę siebie.

Człowiekowi przychodzi to trudniej. Jeżeli jednak intelekt niewątpliwie ukazuje mu Boga, a mimo to jest wahanie, to znaczy, że jest i pycha, czyli naiwność, małoduszność, zacieśnienie widnokręgów poznania. Jeżeli jest wahanie, to jest i walka. A walka jest dowodem życia ścierającego się ze śmiercią. I jeszcze możliwe jest zwycięstwo na drodze miłości.

W tej walce wzorem jest św. Michał Archanioł. Chociaż fizycznie nie jest z ziemi, jest jednak nam bliski. Bóg mu powierzył czuwanie nad człowiekiem w rozstrzygającym, pierwszym boju, gdyż pierwszy taki bój staczał on, Michael. Kościół go prosi: „Św. Michale Archaniele broń nas w walce, a przeciwko złu i zasadzkom czarta, bądź nam ochroną”. Kościół się mu spowiadał: „Spowiadam się... świętemu Michałowi Archaniołowi”.

A cześć św. Michała Archanioła sięga czasów najwcześniejszych w chrześcijaństwie. Cesarz Konstantyn Wielki buduje mu kościół, Rzym bazylikę w V wieku. Mauzoleum Hadriana otrzymuje nazwę zamku świętego Anioła. Francja oddaje

się w opiekę Michałowi Archaniołowi. Ludwik XI zakłada zakon rycerski pod jego imieniem. Dawne Cesarstwo Niemieckie i Ruś Halicka mają go za patrona.

W walce z sobą o Boga osiąga się zwycięstwo na drodze miłości. Otwarcie bowiem duszy Bogu, to kwestia pokory, która wynika z miłości.

Św. Michał Archanioł był pokorny, i to mu pozwoliło widzieć Boga. I to mu pozwoliło wznosić się wysoko.

Pokora daje jasne spojrzenie, pozwala unosić czoło radośnie w poczuciu zrozumienia swej pozycji i zrozumienia możliwości osiągnięć przez Boga. Jaka to ciasnota zamknąć się w sobie i widzieć tylko siebie! To upór śmieszny, niepoważny. To pozbawienie się znaczenia, wielkości. To złuda, że się czymś jest w znaczeniu pozytywnym.

Jeżeli rozumie się, kim Jest Bóg, to któż, jak Bóg, może być celem naszych pragnień, naszej wysoko sięgającej woli!

Św. Juda Tadeusz opowiada, że Michał Archanioł staczał walkę z szatanem o zwłoki Mojżesza, aby zapobiec wyzyskaniu ich w celu doprowadzenia Izraelitów do bałwochwalstwa. Zwraca się Archanioł Michał do szatana nie słowem potępienia lub przekleństwa, i nie od siebie, lecz mówi: „Niech ci rozkaże Pan”.

Taka tu pociągająca delikatność i pokora, rezygnacja z pochwał, szacunek dla innych i rozumienie siebie jako stworzenia, które Bóg obdarza miłością. A stworzenie? Św. Michał Archanioł kocha Boga. Z ukochania wypływa pokora. Wszystko spełnia się chętnie dla kochanej osoby. Gdybyśmy kochali!

Pamiętam z dawnych dni obrazek: Pan Jezus, twarz i część ramion. I oczy tak przedziwnie wnikliwe, wszystkowidzące. A u dołu napis: Przynajmniej ty mnie kochaj.

Bóg tak szanuje człowieka, że go prosi o miłość, a przez to i o pokorę, i o to, aby Boga poznać.

I pamiętajmy, że stopień chwały (mówi o. Jacek Woroniecki), jaki zbawionym przypadnie w udziale, ściśle będzie uzależniony od stopnia doskonałości, do jakiej się wzniosą w miłości na tej ziemi. Miłość ta będzie tam w niebie różniła nasze dusze i będzie im nadawała swoistą pojemność. W miarę, jak ta pojemność tu wzrośnie i utrwali się przez miłość, dusza stanie się potem zdolna chłonąć przez wieki mniej lub więcej to szczęście, jakie odkrywać przed nią będzie widzenie Boga. Wieczne przebywanie z

Bogiem będzie nieustanną radością przeżywania miłości, łączącej nas z Bogiem i z ludźmi. I będzie poznawaniem nieskończonej wiedzy Boga, udziałem w życiu Trójcy Osób Boskich.

A przynajmniej nie pozwólmy, aby nas o miłość prosił Bóg. Bracia płakali wzruszeni: „Bóg prosi nas o miłość!” A brat przeor prosił brata Ryszarda: „Niech brat nie przemawia. Nie chcę, aby bracia płakali. Niech brat raczej pisze. Niech brat na przykład napisze powieść”.

POWIEŚĆ PT. „DOM ZE ŚMIECHU”

Motyl

Był wieczór. Ktoś zastukał do drzwi. Odpowiedziałem: „Proszę!” I znowu ktoś zastukał. Cisza. Nikt nie wchodzi. Podeszedłem więc do drzwi, otworzyłem. Przed progiem na sznurowej wycieracze siedział motyl. Poruszał skrzydłami. Skrzydła były brązowo-białe: na brązowym tle białe koła. Motyl zatrzepotał i wfrunął do środka. Powiedziałem bowiem „proszę, wejdź!”

Motyła zawsze trzeba zaprosić. Inaczej nie wejdzie, nawet gdy ma ochotę.

Wyjąłem zaraz z szafy pachnący cukierek, umoczyłem go w kawie i położyłem na klonowym liściu. Motyl w tym czasie zwiedzał pokój. Fruwał pod sufitem, wreszcie przysiadł na brzegu stołu. Zapytał:

„Dlaczego twój pokój jest inny niż wszystkie pokoje? Ma takie same jak wszędzie chropowate ściany, nieszczelne okno, a jednak jest inny”.

„Dlatego, motylku, że ma ściany ze śmiechu” odpowiedziałem. „Ale proszę, zjedz ze mną śniadanie”.

Motyl się zdziwił. „Jak można mieć ściany ze śmiechu?”

„Ściany domu zawsze są ze śmiechu. Przecież uśmiecham się do ciebie. Wszędzie tam, gdzie ktoś się uśmiecha, dom ma ściany ze śmiechu. Mój pokój także ma ściany ze śmiechu. Taki pokój można poznać i po tym, że każdy kto wejdzie, zaraz także się uśmiecha. Nie myślę się przecież, że i ty jesteś roześmiany”.

Motyl dodał: „Wobec tego na każdej ulicy przynajmniej jest jeden taki dom. A jeżeli dzieci łapią motyle, gdy motyl zastuka do drzwi ich domu, to czy ten dom jest ze śmiechu?”

Musiałem pocieszyć motyla. Był smutny. Nie fruwał. Nie poruszał skrzydłami w taki sposób, by pokazywać białe plamy, a potem je chować. Przekonywałem, że jest dużo domów ze śmiechu. Może nawet wszystkie. Motyl siedział na brzegu stołu. A potem odpowiedział: „Dobrze, zjem z tobą śniadanie. A kto tu mieszka oprócz ciebie?”

I w ten sposób motyl zamieszkał w pokoiku ze śmiechu. Poznał jego mieszkańców i zaprzyjaźnił się ze wszystkimi.

Flakon

Któregoś dnia flakon oświadczył: „Jestem domem ze śmiechu. I mieszkam w domu ze śmiechu. Pod moimi kwiatami mieszka bowiem Madonna. Właściwie odpoczywa, a może czeka. Codziennie rano zastaję ją w innym obrazku. Widzę codziennie jej twarz i szaty. A przez noc, gdy nie mogę spać, myślę, czy przyjdzie jutro i w jakim pokaże się obrazku. Szkoda tylko, że jeszcze z Nią nie rozmawiałem. Czy Ona w ogóle rozmawia?”

„Ależ tak”, wykrzyknął ktoś od pieca. Flakon spojrział zdziwiony, a motyl przefrunął z krzesła na ścianę. „Ależ tak - powtórzył ten sam głos - właściwie raczej słucha. Opowiadam jej codziennie, że mi tu ciężko przy piecu, że chciałabym biegać, a mam chore nogi. Muszę cały dzień siedzieć w jednym miejscu. Więc opowiadam jej to. Ona słucha. A gdy mi smutno, przychodzi w obrazku, który ma twarz uśmiechniętą. Wtedy śpiewam jej Synkowi: usnij Syneczku, rośnij mi i śnij słodko, mój miły.”

„Ktoś ty?”

„Przypadkiem zostawiono mnie na ścianie przy piecu. Jestem plama. Mówią na mnie „dziura w ścianie”, ponieważ w tym miejscu odpadł biały tynk. Wolę, by mnie nazywano plamą. Będziesz mnie tak nazywał, motylku?”

„Dzień dobry, plamo”, odpowiedział motyl. „Jesteś bardzo piękna. Masz kolorową suknię i łatwo poznaję cię na ścianie. Czy pozwolisz mi odwiedzić cię czasem?”

Plama ucieszyła się bardzo. Szepnęła: „Dziękuję. A czy zanieziesz ode mnie pozdrowienia flakonowi? Zanieziesz, motylku?”

Motyl także szepnął: „Mam już dwoje przyjaciół”.

Koń i kot

Gumowy kot stał na półce biblioteczki od dawna. Koń z porcelany stał tam także. Ponieważ kot wciąż stał przy tej samej książce, koń zapytał: „Czy ty w ogóle umiesz czytać? Nie przewracasz kartek?”. Kot odrzekł cicho: „Trochę umiem”. Ponieważ mówił to bardzo cicho i z żalem koń przyrzekł sobie, że także nauczy się czytać. „Cóż mi z tego - myślał - że umiem biegać, że mam mocne, porcelanowe nogi, że na szyi zawiązano mi żółtą kokardę. Nie umiem czytać. Poznam więc litery. Przeczytam wtedy na głos bajkę o złym kocie”.

Kot także był zmartwiony. „Jestem z gumy. Mam śliczny czerwony krawat, złoty pasek, dwie kieszenie w spodniach. Mogę nawet nosić ręce w kieszeniach. Umieję skoczyć z półki na podłogę. Nie umiem czytać. To wstyd. Poproszę motyla, aby mnie nauczył”.

Motyl odpowiedział krótko: „Muszę dużo fruwać, ponieważ staję do zawodów. Anioł urządził bieg pod sufitem. Poproś Zuzannę”.

Zuzanna i goście

Przynieśli ją goście. Goście odwiedzają pokój ze śmiechu w każdą sobotę. Przychodzą w wielkich butach. Szurają nogami. Zdejmują buty. Zakładają miękkie pantofle, aby nie zabrudzić podłogi. Zdejmują palta, potem zakładają palta. Poprawiają włosy. Zakładają czapki, zdejmują czapki. I znowu poprawiają włosy. Potem nalewają sobie herbatę. Wypijają herbatę. Znowu nalewają ją do szklanek. Przesuwają krzesła. Siadają. Wstają. A gdy się uspokoją, wtedy motyl głośno mówi: „Dzień dobry”. Wszyscy mówią „dzień dobry”, ściskają dłonie, pokrzykują, śmieją się i znowu siadają. Motyl wtedy dodaje: „Rzeczywiście to jest dom ze śmiechu. Goście uśmiechają się ciągle”. Goście jednak nie chcą się zgodzić: „To nie jest dom ze śmiechu, to nie jest też pokój ze śmiechu. To jest zwykły pokój, który ma tylko ściany ze śmiechu. Czy motyle tego nie rozróżniają?”

A Zuzanna wtedy powiedziała: „Kocham motyla”.

Zuzannę właśnie przynieśli goście. Była zawinięta w kolorowy papier. Mówiono, że to z powodu zimna. I słusznie, ponieważ Zuzanna jest ubrana bardzo lekko. Owinięta jest trochę w białe płótno. Ma wprawdzie długie włosy, ale one nie dają

ciepła. A nogi zupełnie bose. Zuzanna odpowiada: „Jest mi ciepło. Jestem przecież z porcelany. Dzień dobry, kocie!”

A motyl uczył się imion gości: „Tecia, Isia, Maryla, Hanka, Grażyna, Jadwiga. Uf, to dopiero dziewczęta. Jeszcze chłopcy: Zenek, Jurek, Wojtek, Andrzej, Tosiek, Adam, Stefan. I jeszcze jeden Andrzej. I ojciec Krescenty. Nigdy tego nie zapamiętam”.

„A ja zapamiętam - powiedziała plama. I mogę cię potem nauczyć. Ojciec Krescenty ma właśnie długą brodę i brązowy habit. Zupełnie kolor twoich skrzydeł. Tylko jeszcze nie ma takich plam, jak twoje na skrzydłach. Dlaczego wypisałeś na skrzydłach moje imię?”

Motyl wyjaśnił: „Chcę o tobie opowiadać ścianom ze śmiechu i gościom”.

I motyl sfrunął na suknię Grażyny. Najbardziej ją lubił i Isię. Usiadł na sukni Grażyny zaraz pod kołnierzem i udawał broszkę. Przechylał komicznie skrzydła, żartował. Z Isią pił kawę z jednej szklanki. Krył się w jej włosach. Siadał na niebieskiej firanie i trzeba było go szukać. Wreszcie powiedział: „Dobranoc, jutro staję do zawodów”.

Goście bardzo czuli się osamotnieni. Zaczęli jednak dużo rozmawiać z kotem i plamą, z flakonem i koniem, aby nie było im przykro. A Zuzanna i tak wiedziała, że ją lubią, ponieważ przecież zabrali ją ze sklepu, aby być z nią razem.

Zuzanna oświadczyła: „Posprzątam pokój. Uścielę łóżko motylowi. Gdzie mieszkasz? Czy w kielichu alpejskiego fiołka? Czy na niebieskiej firanie? A kotu upiorę krawat. Po prostu zostanę w domu o ścianach ze śmiechu”. Koń rzekł: „Wstrętna. Lubi tylko koty”.

Zuzanna odpowiedziała: „Upiorę ci kokardę”.

Kubuś

Przezowano go Kubusiem Puchatkiem. Ale to nie jest Kubuś Puchatek. Jest bowiem bardzo malutki. Siedzi na różowej, okrągłej skrzynce. Gdy się pokręci korbką, wtedy otwiera mordkę. Zamyka ją i znowu otwiera. Zupełnie tak jak goście. Kot więc nazwał Kubusia Niby-Gościem. Niby-Gość mrużył zielone oczka i poprosił plamę: „Mów do mnie Kubuś”. Zuzanna podeszła i pogładziła Kubusia po futerku: „Uczeszę ci głowę, umyję łapki i dopiero pójdziesz spać”.

Zawody

„Należy przefrunąć od drzwi do okna. A fruwanie powinno być kolorowe”. Takie warunki ogłosił motyl i stanął do startu.

Anioł w białej szacie stał na półce biblioteczki i masował swoje złote skrzydła.

Goście wiedzieli, że Anioł fruwa bardzo szybko. Wiedzieli też jednak, że motyl umie fruwać bardziej kolorowo. Ma brązowe skrzydła, a gdy nimi porusza, można oglądać taniec bieli i brązu. Plama zawsze wtedy żartuje: „Dlaczego wypisałeś moje imię na skrzydłach?”

Wszyscy doskonale widzieli, że Anioł jest zdenerwowany. Ociąga się, nasłuchuje, na coś czeka.

Radio, ponieważ umie mówić najgłośniej, podało wiadomość: „Start za minutę”. Motyl poruszył skrzydłami. Anioł pofrunął. Na starcie jednak wciąż tylko jeden zawodnik.

Okazało się potem, że Anioł jest Aniołem Stróżem i prawie w chwili startu musiał rozpocząć dyżur. A właściwie został wezwany na pomoc. Musiał przeprowadzić przez ulicę kulawego psa, za którego modliła się maleńka, chora dziewczynka.

Motyl więc odbył lot paradowy. Przepłynął pokój niezwykle elegancko i usiadł na niebieskiej firanie. Z żółtym motywem firanki skomponował uroczą parę, dwie zachwycające plamy. A plama przy piecu w tym czasie cichutko płakała.

Pies

To nie był pies, któremu pomagał Anioł Stróż z pokoju o ścianach ze śmiechu. Tego psa przyniosła Isia. Taki mały pies, zrobiony z białego pluszu. Czarne oczy, czarny nos, niebieska kokarda. Powiedział zaraz: „Będę pilnował domu ze śmiechu”. Wszyscy się ucieszyli, tym bardziej, że trzeba było iść na wielki bal karnawałowy. Ogromne przygotowania. Goście ubrali się na biało i na czarno. Zuzanna tłumaczyła Kubusiowi: „Goście w białych sukniach, to są panie. A goście ubrani na czarno, to są panowie. Zawsze tacy. Robią wszystko na odwrót”.

Kubuś zapytał: „A dlaczego Aniołowie mają utrefione włosy?”

Zuzanna wyjaśniła głosem karcącym: „Ależ Kubusiu, Niby-Gościu, przecież Aniołowie idą na bal. I tańczą stojąc obok człowieka. I pomagają mu wybrać naj-

piękniejszy uśmiech na powitanie wybranej do tańca pani. Nawet więc muszą być na balu”.

Kubuś wzdychał: „Muszą bywać na balu. Zawsze muszą być tam, gdzie jest człowiek. Wciąż strzec. A czy nie mają ochoty odpocząć i zasnąć? Straszne”.

Kolory

Gdy goście odeszli, gdy zasnął flakon i plama, koń i kot, Kubuś i pies, gdy motyl ułożył skrzydła na alpejskim fiołku, zaczęły rozmowę kolory. Właściwie zaczęły tańczyć. Kolory najchętniej tańczą. Nie lubią rozmów. Jasnożółty kolor ścian tańczył z niebieską firaną o żółtych i czarnych motywach. Biały sufit tańczył z czerwoną podłogą. Porcelanowy piec z porcelanową umywalnią. Piec zresztą często prosił do tańca także porcelanową Zuzannę, która była szczęśliwa. Brąz biblioteczki tańczył z jasnym brązem szafy, a fotel niebiesko-złoty z niebiesko-złotym tapczanem. Urocze tańce, tak lekkie i zwinne, i falujące, że nawet mógł być dla nich muzyką oddech motyla, który otwierał i zamykał różnej wielkości oddechowe torebki. Opadające klapy torebek, to perkusja. Wpadające do torebek powietrze i wydechane, to śliczne trąbki. Zaczepiające o skrzydła melodie wywoływały nowe, fortepianowe harmonie, które spadając na motylowe nóżki, niby na struny harfy, czy miękkich wiolin, śpiewały melodię najpiękniejszą na świecie. Wirował pokój ze śmiechu. Igrał najcudniej. I odbywał swój conocny bal kolorów, konieczną baśń odpoczynku.

Smok

W piecu mieszkał smok. Nikt o tym nie wiedział. Któregoś dnia Tecia wyjmowała z pieca szufelkę popiołu. I wtedy wszyscy go zobaczyli. Na szufelce był smok. Duży, szary z ogromną głową krokodyla, z jednym czarnym okiem, z jedną okrągłą łapą. Tułów ułożył leniwie na prawym boku, podparł się jedną lewą nogą i czekał. Zuzanna powiedziała: „Dzień dobry raczku. Dlaczego nie jesteś czerwony?” Smok odpowiedział: „Mieszkam w ogniu”.

I wtedy wszedł do pokoju mały chłopczyk. Niósł w rękach maleńkie pudełko. Powiedziałem uprzejmie: „Dzień dobry, Mały Książę. Jak się czuje baranek?” Mały Książę odpowiedział swym ślicznym głosem, który przypomina wiosnę, słońce i trawę.

„Baranek chce zobaczyć smoka. Czy tu jest smok?” Pokazałem smoka, który wyszedł z pieca. Zuzanna się zdziwiła. „To nie jest rak, lecz smok?” Mały Książę potwierdził: „Tak, to jest smok”. Wtedy Zuzanna krzyknęła i zemdląła.

Gdy potem Zuzanna z kompresem na głowie odpoczywała w fotelu, Mały Książę zapytał: „Czy mogę przyjść jeszcze kiedyś pokazać smoka barankowi?”

„Proszę, przyjdź koniecznie! Może po prostu przyjdź na następne sobótki”.

„Co to są sobótki” - zapytał Mały Książę.

„To są dni, w których spotykają się goście domu ze śmiechu. Przychodzą, odchodzą, rozmawiają, piją herbatę, siadają, wstają, zdejmują palta, zakładają palta, są nieśmiali, są mili, kochają poezję, gniewają się na poezję, recytują wiersze, sprzeczą się z wierszami, śpiewają, patrzą, są, zawsze są i zawsze wierni przyjaźni z domem ze śmiechu”.

Mały Książę przyjął zaproszenie: „Przyjdę w którąś sobotę porozmawiać z gośćmi”.

Śmierć motyla

Zasnął. Motyl zasnął. A któregoś dnia zniknął. Siedział długo obok płamy przy piecu. Zniknęła także plama. Flakon twierdzi, że motyla i plamę porwał smok. Smoka także nie ma.

Nie ma motyla. Nie ma więc i domu ze śmiechu, który był jego domem. I nigdy już nie odbędą się sobótki. Biedny Mały Książę. Gdy przyjdzie w którąś sobotę porozmawiać z gośćmi, nie zastanie ich. Nie ma już domu ze śmiechu.

PRZY ORCE

Książkom, z których nastroju i stylu powstał ten obraz.

Liść młodej trawy wystrzelił ku słońcu. Zazieleniła się miedza. Nad stawem wierzby krzywe uśmiechnęły się bielą pąków. W sadzie kwiat jabłoni wychylił swe delikatne płatki.

„Czas w pole” - zarządził brat Ryszard pod naciskiem tylu spostrzeżeń.

Franek założył konie do wozu, ściągnął lejce. Wyjechali krajać pługiem skibę po skibie, roztrącać bronami, a przedtem rzucać roli pokarm nawozów. Wyjechali w pole.

Franek stał na wozie. Batem śmigał. Konie szły. Wiatr mu rozwiewał płócienną bluzę, dał za koszulę, szeroko rozpiętą na piersiach. Czapkę mu zsunął z czoła ku tyłowi głowy. Włos łopotał na wietrze. Usta rozchyłał uśmiech. Nozdrza rozdymał oddech pełny, całą młodzieńczą piersią, oddech powietrzem świeżym, które pachnie drzewami i ziemią.

„Gdybym chciał, proszę brata, to bym popędził w szalonym galopie przez zagony, drogi, strugi, w świat bym popędził, aż tam, gdzie się w dali ziemia kończy, a zaczyna niebo”.

I zaśmiał się: „Człowiek myśli czasem tak, jak dzieciak. Wiem przecież, że świat to kula, wiem. Ale gdybym chciał, to dosiadłbym konia, obleciałbym wszystkie miedze i krzyczałbym co sił: danaż, dana!”

Franek zatrzymał konie. Wóz zostawił na drodze. Rozrzucił ziemi garść pokarmu. Zabrał się do orki, pierwszej, wiosennej. „Niech brat odpocznie, dam sobie radę”.

Słońce grzało plecy. Wiatr chłodził pierś odsłoniętą. „Wio, kasztany!” Krają się skiby ziemi równo, bez pośpiechu. Odkłada się pas spulchnionej gleby. Konie parskają. Młode ręce prowadzą wprawnie uchwycony pług. Młode nogi przemierzają czarną ziemię. Młoda twarz zapala się rumieńcem. „Wypocznijcie” - powiedziały usta do koni. Stanęły. „Ja obejdę pole. Proszę brata, obejdźmy pole!”

Franek szedł poważnie, majestatycznie, jak gospodarz. Nie patrzył jednak na rolę życiodajną. Rzucił wzrokiem przed siebie. Biegł ku chmurom. Wyciągnął ramiona i zamachnął ręką. Napotkał kamień. Duży był, jak bochen chleba. „Nie poradzę cię, a poradzę”. Franek porwał kamień. Niósł go w rękach nad głowę i ku wozowi. „Nawet zaśpiewam: Z młodej piersi się wyrwało” ... Huknęła melodia po polu. Aż konie nastawiły uszu. Franek rzucił kamień przy wozie. Porwał siekierę. Zapragnął walić w kamień, rozbić tę zbitą masę, potłuc. Uderzenia silne, równe, męskie. Walił w kamień, chciał go rozbić.

„Gdybym chciał, to bym go rozbił, albo wykułbym z niego figurkę. Ale nie chcę, nie chcę, proszę brata”.

Otarł rękawem spocone czoło, Zroszony mech wąsów przyglądził dłonią. Śmiechem wybuchnął młodym, beztróskim śmiechem, który się wyrwa z duszy jasnej i

czystej, i wybucha niby nadmiar zdrowia, niesie z sobą beztroskę, zdradza dziecięcą szczerłość i potrzebę pracy, czynu.

„Z młodej piersi się wyrwało” – przypomniał sobie. „Jak to się ono wyrwało, to serce? Czy tak, jak śmiech i poleciało? Czy moje by poleciało, czy miałoby do kogo?” Zatęsknił.

„Chciałbym kuć, chciałbym rozbić ten twardy kamień. Może wykułbym figurkę, ale nie chcę. Krzyczałbym, proszę brata, w cały świat, aby się śmiał i cieszył, że wiosna. Ale nie chcę. Śpiewałbym w kościele, ale... niech tam piszczy Roberto. Gdybym chciał, to bym ten pług ciągnął, niby koń, to bym... , ale co mi tam... Wio, kasztany!”

A brat Ryszard popędzając konie mówił przez łąki swym tęsknotom i niebu: „Tyle młodzieńczych pragnień gubi się na polu. Tyle młodzieńczej siły przekuwa się w czyn bez wartości. Cóż ja robię, aby uratować pragnienia i Frankowe siły? Cóż robię!”

II. DZIENNIK NASTROJÓW I UCZUĆ

RADOŚĆ

Gdy spotykamy anioła, stajemy się poezją. Spotkałem ciebie: doskonała radości Franciszka z Asyżu. Rysują mi cię w duszy Madonny i muzyka, a na spacerze z pięknem myślę o tobie obrazem góry Alverno. Jednak spotkałem cię, doskonała radości Franciszka z Asyżu. Gdy spotykamy radość, stajemy się cierpieniem.

LIST DO PANA BOGA

Nie mam żalu, że do wielu z mych braci przyszedłeś, Boże mój, jak ktoś najbliższy. Tęsknię tylko do tych chwil, które przyjdą, gdy także we mnie „uczynisz mieszkanie”, gdy będziesz wciąż ze mną, gdy nie będziesz gościem lub kimś obcym, lecz najbliższym z przyjaciół.

Stałem się cierpieniem, gdyż zraniła mnie tęsknota, ta radość, że przyjdiesz. I wiem, że w swej tęsknocie spotkałem Cię, Boże, już na zawsze.

SŁOWO

Czasem zasłyszane gdzieś słowo lub zdanie wyczytane w książce, mogą otworzyć człowieka ku nowym światom. Mogą wyznaczyć rytm wewnętrznych przemyśleń i wzrostu. Człowiek zależy od słów, tęskni do słów. Tęskni zwłaszcza do mówienia pięknem.

Określa nas słowo. Człowiek chciałby, aby określało go piękne słowo. Idzie się ku słowom. Czy idąc ku słowom, człowiek idzie wtedy także ku Bogu?

Człowiek pragnie komuś kochającemu opowiadać o sobie, dzielić się poprzez słowa radością, marzeniem i smutkiem. Idzie się ku człowiekowi.

A naprawdę człowiek wzrasta w osamotnieniu, lecz nie w tym osamotnieniu zupełnym. Wzrasta, gdy jest sam na sam z Bogiem. Gdy swoje słowa kieruje do Boga.

Człowiekowi jest potrzebne Słowo, to ostatecznie wybrane, znalezione i ukochane, Słowo, które jest Bogiem.

SMUTEK

Świadomość braków może budzić w człowieku chęć pracy. Pragnienie usuwania braków może dać duszy wiosnę, wzrastanie. Jeżeli praca nie pociąga, a dostrzeżenie bezruchu wnętrza nie powoduje decyzji działania, to znak, że koniec wewnętrznej młodości. Ale nie koniec jeszcze życia. Smutek, widoczny nawet na zewnątrz, rzeczywisty w naszym wnętrzu, jest także znakiem, że człowiek duchowo żyje. Smutek bowiem często wyrasta z przeżycia i zrozumienia jakiejś ludzkiej męki. A zrozumienie świadczy o tym, że bezruch nie przeszedł w martwość, że życie walczy ze śmiercią.

Ta walka, której znakiem jest smutek, sprawia cierpienie. Smutek więc jest cierpieniem. A w cierpieniu jest zawsze przynajmniej trochę nadziei.

Smutkiem ludzkiego życia są braki i straty. Są one często tak wielkie, że mówi się o nich już tylko Bogu.

TEŃSKNOTA

Nadrobić stracony czas, dźwignąć się, pójść dalej, wiele umieć, wiele zrozumieć!

W każdym smutku i w każdym cierpieniu rodzi się tęsknota, tęsknota za dźwiganiami się, za podnoszeniem oczu ku górze.

„Podnoszę oczy moje ku Bogu”. Nie zawsze jednak człowiek umie to, aby mu tylko wystarczał Bóg. Waha się, potyka, coś traci.

Droga wahań, potykań się i strat jest ciężka, jest cierpieniem. Jeżeli w cierpieniu jest zawsze przynajmniej trochę nadziei, to jest w nim także tęsknota.

Smutek więc jest cierpieniem, nadzieją, tęsknotą.

Człowiek tęskni do zrozumień, zgłębień, spotkań, do tworzenia.

Gdybyż człowiek chciał stworzyć w sobie pełnego człowieka!

GRZECH

Zgasła przejrzystość oczu. Nie widzimy już spraw prostych i tak bardzo oczywistych. Jest grzech.

Boże, Boże, czemuś nas opuścił!

I idzie za nami ciężar przyzwyczajęń, wspomnienie tamtych złych dni, lecz i obawa, aby nie zatonać.

W głębi resztek życia duszy tli się smutna tęsknota za tym, co minęło, za spokojem piękna Bożej obecności w duszy. Lecz tęskniąc niepokoiimy się. Męczy nas potrzeba działania. Chcemy coś robić. Wyjeżdżamy, szukamy ludzi. Szukamy kogoś, komu będzie można zwierzyć swój ból. I nie zawsze szukamy wtedy Boga, który zawsze nas szuka, oczekuje i kocha.

WYSIŁEK

Tak trudno pojąć, że człowiek nie może iść przez życie drogą najmniejszych oporów. Tak trudno zrezygnować z pochylni, prowadzącej do świata niepodejmowanych czynów, mimo że młodość w takim świecie widzi bezświat.

To ostrzeżenie zmusza budzącą się myśl do pierwszego wysiłku: do aktu wyboru. Gdy pociągnie czyn, człowiek rozpoczął w życiu okres, który jest przedzieraniem się przez chmury do rzeczywistości pełnej słońca, tam, gdzie już się wie, że spokój wynika z decyzji cierpliwego i uporczywego wykuwania siebie według życzeń Bożych.

GÓRY

Jeżeli chcesz dosięgnąć błękitów, zarzuć linę woli na stromy granit obowiązków, i w górę! Nie stój w miejscu! Jeżeli wcześniej chcesz być na szczycie, ubierz trud swój w uśmiechy. Idź z radością! Nie chciej stać na dole i nie mieć pragnień górnych. Jeżeli znajdziesz własną drogę po zboczach, idź tą drogą. Aby tylko wejść na granitowe wyże, na szczyt!

WARTOŚĆ ODPOCZYNKU

Usiadłem wśród skał i kamieni ponad koronami smreków, ponad wodospadami. Aby nabrać siły, posłałem myśl ponad szczyty. Widzę pola pełne zbóż, domy i drzewa, słońce, znajome twarze, kwiaty na łąkach. Myśl wraca. Trud czeka jak dawniej. Przede mną szczyt góry, cel wędrówki. Więc w drogę! Sił więcej, skąd one? Z krainy

wspomnień i pragnień. Muzyko wspomnień, podnoś mnie, odmieniaj, ilekroć zagościsz w mej duszy!

BZY

Biegnę szkolnym korytarzem i mijam białą niszę, pełną kwiatów. Wstrzymałem myśli, słucham hejnału bzów.

Moja myśl biegła krętą drogą przez smutek, walkę, radość, ciszę domu. I zagrał hejnał: mały kwiatek bzu w białej niszy.

Dlaczego nie oddałem serca kwiatom? Dlaczego nie oddałem serca Tobie Boże, Najczystszy Kwiecie!

ŻYCIORYS

Za sobą widzę łyzy tęsknot, myśl o niebie i to, że byłem sam. W sercu widzę brak uśmiechu. Przed sobą chciałbym zobaczyć słońce. Niebu oddam łyzy i mękę, świat obdaruję uśmiechem.

A moja miłość jest już w Tobie, Boże. W Twojej dobroci i w Twym sercu niech wzrasta i staje się bliska Twojej miłości, którą obdarowałeś ludzi.

WEWNĘTRZNY KONFLIKT

Myśli jasne i nowe, zrodzone w sercu, w duszy, zwracają moją głowę do słońca. W jego jasność pcha mnie śmiech, radość. Przebijam chmury nocy siłą pokochania. Pędzę. Dosięły mnie zatrute strzały. Jakże wcześniej trzeba męczyć się złem!

NIESPODZIEWANA POMOC

Roześmiany promień światła, rozwiesił kolory na srebrnych baziach. Wbiegł potem w szeregi ulic, powyciągał z drzew liście, porozrzucał głogom pąki. Gdy przyszedł do mojego domu, wypędził smutek i rozbudził radość.

WIOSNA

Kiedy spod śniegu wychyli główkę pierwszy kwiat i białe płatki wykąpie w słońcu, kiedy popęka w kry lód na stawie, a staw zacznie oddychać zapachem łąk, kiedy skowronek zanuci nad polem, a wiatr zagra mu ciepły akompaniament i złoży na pąkach wierzby muśnięcie pocałunku, wtedy jest wiosna.

Kiedy pierwszy raz dom napełni się kwileniem dziecka, słabym kwileniem, które z czasem może stać się głosem wieszczka, wtedy w takim domu jest radość, jest wiosna.

Kiedy zadrży ci serce, gdy widzisz łzę matki lub troskę człowieka, kiedy uśmiech wyłoci ci oczy, gdy chcesz gamę radosnych tonów i muzykę spokoju zagrać w duszy, wtedy przesyłasz tchnienie wiosny.

Kiedy łańcuchy niewoli ciągnęły ku dołowi, gdy zły brat-człowiek chciał nas złamać, byśmy zginęli, wtedy była zima.

Gdy jednak buchnął protest, gdy rozbudzona cierpieniem siła tęsknoty człowieka za wolnością rozerwała druty okupacji, gdy rodzice chcieli swym synom zbudować drogę do życia, gdy chcieli wydzwignąć się do poziomu człowieka, wtedy była wiosna.

Wiosna wzrostu duszy, wiosna pędu ku lepszemu winna trwać nieprzerwanie.

LAS

Las kwietniowy, wiosenny las zaszumiał, gdy stanąłem u jego progu. Przywitał mnie kiścią zeschniętych liści, zielenią igliwia, rdzawą barwą pni.

Las kwietniowy, wiosenny las zaszeleścił mchem, jakby opowiadał, że już zabiera się do pracy, że przystroi głowę garścią świeżych gałęzi, że na nich uwije gniazda śpiewnej gromadzie leśnej, że jarzębiny ubierze w korale, rozrzuci kalinom biel kwiatów.

Szmer lasu niósł się od stóp, znad mchów wyżółkłych i płynął od koron sosen. Las mówił. Chylił się do kolan rękami jeżyn i krzaków jałowca, niby mnie brał w ramiona, niby prosił, aby patrzeć. Obraz barw i cieni był prześliczny. Szedłem. Gama przeróżnych tonów! Szedłem ktoś obcy, gość lasu. O stopy obute uderzały lekko główki zawilców. Pod stopami łamały się kwiaty, miażdżyłem młody pęd dębu, deptałem trawy.

Czasem wdrze się do duszy myśl, która przyjdzie jako ktoś życzliwy, a zniszczy chęć wlotu ku górze. Czasem nada przyziemny bieg życiu.

Lesie, tracisz niekiedy pędy, z których wyrósłby ci dąb i dosięgnął konarami nieba! Myśli, niekiedy stłumi cię złe słowo, gdy zamierzałaś wybiec daleko! A lot twój może zadziwiłby świat.

Las rośnie, szumi, zieleni się, zakwita. Myśl przychodzi nagle. Las nie dba o życie jednego pędu. Myśl ludzką straconą, która zrealizowałaby się w czynie, winniśmy opłakać.

WYSTAWA ZIEM ODZYSKANYCH

Gwar tłumów, szmery maszyn, pluskanie Odry, mozaika barw i barw harmonia. Wystawa Ziem Odzyskanych.

Zwycięstwo nad ciężkim okresem walk zakłete, w kształty posągu, zwycięstwo życia nad destruktywną mocą ruin, ruin w duszy. Niby gotycki wlot, niby myśl biegnie ku górze szczyt iglicy.

Słońce maluje witraże, tańczy wśród kolumn i fontann, słucha dziejów, które z muzyką wrażeń splatają się w pieśń o Polsce.

Rozmaitość, wspaniała asymetria, zaułki, niespodzianki, chłodząca woda, Wrocław.

Czemu tu aż tak pięknie, że muszę zostawić część serca?

PROGRAM

Jestem sam. Czerń nocy. I jest ze mną moja myśl, która przenika noc i niebo, która obiega świat. Wicherze goń ją! Jestem sam, lecz pełny twoich sił, myśli moja! Dźwięk z baśni rozpoczął lot, wzbił się w górę.

Wiem, jak ciężko, gdy zabłądzi się w lesie, gdy pragnie się chleba, gdy człowiek jest sam w swej nocy, gdy płacze. Wiem też, jak dobrze, gdy twarz rozjaśnia się uśmiechem, gdy oczy oglądają kwiaty, gdy marzy się o śmiałym locie do prawdy, gdy pragnienia zamieniają się w czyny.

Chciałbym pocieszać ludzi w smutku, a gdy są weseli, strzec ich radości.

LIST DO PANA BOGA

Ty chyba czujesz to, Boże mój, że mi wtedy tak dobrze, gdy napiszę do Ciebie list. Czasem to męka, gdy chce ulecieć z duszy woń myśli, a nie mam dla niej formy, ułożonej z pachnących wyrazów. Gdy jednak zarysuje się w duszy obraz, który obiecuje przejąć myśli i przekazać ją Tobie, to wtedy właśnie jest tak dobrze. I wtedy w mych słowach słyszysz ton uśmiechu szmer serca, które mówi radością. I wtedy już wiesz, że mi właśnie tak dobrze, gdy napiszę list.

ZMARŁ CHOPIN

Chopin umiera. Otwarte okno. Tam daleko błękit i morze, tu cichy jęk i żal. Ku niebu płyną modlitwy: Boże, nie zsyłaj jeszcze rozstania! Chory chciałby coś powiedzieć. Nie trudź się, oszczędzaj siły! Czy wody? Podnieść cię? „Nie. Delfino, zaśpiewaj!” Cisza. Na białej pościeli spoczywa szczupła dłoń. Twarz blada. Oczy płoną. „Gdzie mój fortepian? Graj, Delfino! Graj o wiosennych kolorach, o zapachu kwiatów z naszych pól i łąk. Graj melodię kłosów, które uderzają o ziemię, ścinane kosą podczas żniwa. Ujmij w melodię polskie rumianki, domy, pola, chabry, wierzby, Mazowsze, modrą Wisłę, motyle, ciepło matczyńskich spojrzeń. Nie chciałbym tu umierać, lecz w polskim słońcu, pośród malw, w maju. Słyszę muzykę. Czy to ty grasz, Delfino?”

Słońce już zgasło. Zgasły też oczy. W ogrodzie półmrok. W duszy smutek i płacz. Zmarł Chopin.

LIST DO PANA BOGA

Wciąż pada deszcz. Boże, wciąż pada deszcz. To padają łzy na moje serce.

A uśmiech jest orłem, który mija chmurę smutku i wynosi w górę ludzkie serce. Łagodzi tęsknotę i zwątpienie. Jest wiosną, bukietem bzów.

Piszę list nie wtedy, gdy pragnę i chcę. Czasem nie czuję nic, ukryta tęsknota nie wywołuje wspomnień. I właśnie wtedy wpada w duszę, jak łąka, swoisty rozkaz, który łamie opory. Piszę list, swą męką.

Moje myślenie i wola kształtują się dzięki temu, że kontaktuję się z ludźmi i dziełami kultury. Dlaczego, mój Boże, nie spotkałem tych ludzi, których znam z daleka jako rozumnych, roztropnych, o bogatym życiu wewnętrznym? I tak sam się trudzę, sam rozstrzygam problemy. Byłoby mi łatwiej, gdybym z kimś siebie porównał. Owszem, spotykam ludzi, lecz często tych, do których nie tęsknię. Czytam piękne teksty, lecz wciąż zapracowany nie umiem z nich skorzystać. Tyle we mnie nieporadności! I nawet nie umiem spotkawszy Ciebie, tylko Ciebie słuchać.

Boże mój, uśmiechu, wiosno, ogniu słońca! Tu wciąż pada deszcz. Padają łzy na moje serce.

MYŚLI O RÓŻAŃCU

Gdy ukochamy Chrystusa, Bóg zawsze pojawia się w wewnętrznej rzeczywistości człowieka. I zawsze w związku z tym powstaje kwestia nawiązania z Nim kontaktu. Jakiś fakt tęsknoty zadecyduje wreszcie o pozytywnym stosunku do Boga i następuje modlitwa. Wystarczy Bogu, że człowiek zwróci się do Niego umysłowym aktem woli. Bóg sam dokona reszty. Przyjdzie, aby pomóc człowiekowi w pracy nad wewnętrznym przekształceniem się i osiągnięciem doskonałości Wzoru.

Człowiekowi nie wystarcza jednak modlitwa w formie aktu woli, wybierającej Boga. Jest mu potrzebne wyraźne sformułowanie swego stanowiska, są mu potrzebne słowa, jako konkret, z którym wiąże swe myśli, uczucia, siebie i wyraźnie odda je Bogu.

Nic więc dziwnego, że wielu ludzi wybiera różaniec, aby z nim i przez niego mówić o sobie Bogu. Jest to fakt dość powszechny. Dlaczego?

Jest wiele form modlitewnego kontaktu z Bogiem. Wszystkie mają ton piękna i wiele z nich opracował sam człowiek. Wytworzył je dzięki swemu dążeniu do ulepszania. To dążenie ma u swych podstaw wynikające z natury człowieka pragnienie sztuki.

Sztuka bowiem jest podjęciem pracy o charakterze uzupełniającym przyrodę na miarę ujęć myślowych i estetycznych pragnień. Jest także skonkretyzowaniem ludzkiej tendencji twórczej, danej przez Boga, który chce, aby człowiek uczestniczył w najwyższej, możliwej na ziemi, wprost boskiej radości.

Zdolność twórcza w znaczeniu możliwości dostrzeżenia piękna i opowiadania go, jest właściwa wszystkim ludziom. Różnicę stanowi tylko stopień ujawnienia umiejętności dostrzeżeń i wyrażenia piękna. Piękno jest już na płaszczyźnie, która prowadzi do Boga.

Przeżywaliśmy taką radość, gdy się udało zamknąć w jakąś formę odrobinę tego, co wzrusza. I zawsze było to radością w momencie dokonywania, stwarzania obrazu, muzycznego zdania, czy wiersza.

Gdy człowiek odmawia różaniec, to uświadamia sobie swą możliwość stwarzania, zdolność miłą Bogu, wyróżniającą człowieka, zbliżającą ku Stwórcy piękna.

Różaniec jest modlitwą aktualnie stwarzaną, własną, swoją. Jest nawiązaniem kontaktu z Bogiem w fakcie artystycznego tworzenia. Trzeba przecież przy każdym „Zdrowaś” ożywić wydarzenia, dawne Boże dokonania. To jest naszym wkładem, naszym stwarzaniem, naszym nadaniem życia dawnym faktom, naszym ich przetworzeniem na miarę pragnień serca i zrozumień Bożego w nas głosu. Z tego względu różaniec dosięga aż natury człowieka, aż mu porusza serce. Staje się słowem człowieka, nazwą najwłaściwszą jego wewnętrznego życia, które przedstawia swemu Stwórcy.

I różaniec jest dla wielu ludzi okazją jedynej, być może, artystycznego przeżycia Prawdy, artystycznego przybliżenia jej sobie w realnym kształcie słów różańcowego pacierza.

Nie chodzi o to, że modląc się człowiek tworzy sztukę w znaczeniu nadawania swoistego piękna rzeczom, lecz że swą kontemplacją dociera w różańcu do istoty sztuki. Dociera do absolutnego piękna, do Boga. Słowom „Zdrowaś” nadaje formę nie zanotowanego obrazu literackiego, pozostającego na zawsze dorobkiem wnętrza, przetwarzanego przez piękno na chwałę Bożego Piękna.

Modlitwa różańcowa łączy się ze sztuką. Sztuka jest darem człowieka za dar Boży zdolności tworzenia. Modlitwa słów objawionych, słów Pańskich, słów Anioła, słów Matki Boskiej, jest głosem Boga do duszy. Słowa te wprowadzają w tajemnicę wiary. A człowiek ożywia wydarzenia Boskie swą twórczą refleksją. Następuje więc w różańcu kontakt z Bogiem przekształcającym duszę i stwarzającym Nowe w wewnętrznej rzeczywistości człowieka.

Chodzi o modlitwę chwili przeżywanej, o modlitwę stwarzaną. Taka bowiem modlitwa ożywia, budzi siłę dobrych pragnień, zbliża do Boga.

To, co minęło, co ma swój kształt historyczny, co skończone, co poza nami, może przynieść znużenie. Nie znaczy to, że liturgii, psalmom, wyznacza się drugie miejsce. Nie. Chodzi o to, że człowiek wśród swoich bliskich czuje się najlepiej.

Chodzi o to, że w różańcu człowiek rozumie siebie i rozumie Boga w jakimś bezpośrednim odczuciu Jego bliskości przez radość tworzenia, które nie musi przybrać kształtów sztuki w całym tego słowa, znaczeniu, a które zostanie tylko przeżyciem najtajniejszym duszy spotykającej Boga.

Człowiek w modlitwie różańcowej trwając przez jakiś czas w terażniejszości stwarzania, uczy się odbierać terażniejszość Bożą.

A ciągle teraz nie nuży. Ma siłę wydzwignięcia przeżywanych chwil ponad czas, w sferę trwania, które ma coś z charakteru wieczności. I człowiek zaczyna cenić wartość tej rzeczywistości.

Różaniec uczy mądrości wybrania Boga, który jest stwórcą radosnych chwil ludzkiego stwarzania. Człowiek stwarza obrazy odmawiając różańcowe „Zdrowaś Maryjo, łaski pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus”.

PROŚBA DO MATKI BOSKIEJ

Przyszłaś na ziemię tak piękna, gdyż w pięknie pełni łask. Przyjdź do mojej duszy, Matko Boga!

Gdy przychodzisz, rzeka jest dla ludzi najczystsza wodą, dziecko sprawia rodzicom radość, młodość wybucha chęcią ofiary, na głowie chorego ktoś zmienia chłodzący kompres, staruszka uśmiecha się do słońca, człowiek wybaczając człowiekowi, miłość kieruje ludzi do nieba. Gdy przychodzisz tak piękna pięknem pełni łask.

Od wieków na niebie zarys Twojej postaci. Najpierw kontur: pomysł Boga. Wnętrze zarysu ta łaska, a z nią Słowo. Całość: jesteś Matką Życia, rosą wszystkich wzrostów, tęczą wzorów. Skupiasz w sobie wszystkie blaski, świecisz Bogiem. Pomyślana przed wiekami najlepsza, niepokalana. Otaczasz troską wszystkie serca.

Znasz duszę ziemi, dni jej wiosny, suszę lata, jesień, twarz chwil krzyżowych. Jesteś Panią nieba, obłokiem rosy, chroniącym w skwarze południa. Pomóż nam wziąć z Twych dłoni kłosy łaski! Ulecz cierpienie i naucz nas kochać Chrystusa!

Bądź pochwalona, gdy przychodzisz tak piękna w pięknie pełni łask. Przyjdź do mojej duszy, Matko Boga!

KOMENTARZ DO KOŁĘD

(na opłatku uniwersyteckim)

1. Z punktu widzenia historycznego Boże Narodzenie jest pamiątką Wcielenia Boga. Z punktu widzenia liturgicznego i sakramentalnego. Boże Narodzenie w duszy ludzkiej jest faktem, który powtarza się przy każdym naszym akcie miłości do Boga. Myślmy o tym śpiewając: „Gdy się Chrystus rodzi”.

2. W wyborze prawdy obowiązuje nas głos własnego sumienia. Bardziej jednak obowiązuje nas głos Boży. Nie należy się go domyślać w jakichś niesprecyzowanych doznaniach. Głos Boży jest zapisany w słowach ewangelistów przez Ducha Świętego. Czytając Ewangelię wsłuchujmy się w myśl Ducha Świętego, informującego ludzi o Wcieleniu Boga.

3. Cały człowiek jest mieszkaniem Boga. W całym człowieku przebywa Bóg w Trójcy Osób. Jest w naszej myśli, słowach, głosie. Jest w artystycznym śpiewie. Słuchajmy głosu Bożego, obecnego w artystycznie opracowanych kolędach. To, co Bóg chce nam powiedzieć przez piękno kolęd, sami musimy ustalić.

4. Ojciec rodziny kształtuje atmosferę domu, ukazuje synom cele działania. Ojciec Pana naszego Jezusa Chrystusa określił swemu Synowi cel życia. Ojciec naszej rodziny uniwersyteckiej niech znowu, jak zawsze, ukazuje nam drogę ku prawdzie naukowej i dobremu życiu. Proszę Księdza Rektora o zabranie głosu.

5. „Dziś się Jezus rodzi”, „My tu pastuszkowie”, „Triumfy Króla Niebieskiego” - to tytuły kolęd. Dziś się Jezus rodzi, my tu pastuszkowie właśnie spotkaliśmy Chrystusa. Niech będzie wśród nas. Wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za jego wśród nas obecność.

6. Gdy syn przemawia przy rodzinnym stole wigilijnym, jaśniej twarz ojca, twarz matki, rodzeństwa. Wkracza siła, młodość, nadzieja, że będzie realizowane dobro. Przywołujemy tę nadzieję i optymizm głosem przedstawiciela młodzieży.

7. „Przybieżeli do Betlejem”. Biegnijmy i my, przeskakując góry naszych oporów, niechęci, doliny załamania i zniechęcenia. Biegnijmy! Spotkamy Dzieciątka. Czyż ojciec może nie ulec urokowi swego małego synka, czyż możemy nie ulec urokowi dziecka? Bóg i ten środek stosuje. Staje się maleńkim synkiem Maryi, abyśmy jak każde dziecko i Jego pokochali. Czyż może nas nie poruszyć ta wersja prośby Boga? Biegnijmy, abyśmy „przybieżeli do Betlejem”.

8. Boże Narodzenie jest świętem specjalnym także kapłanów. Oni w swoisty sposób nabywają praw ojcowskich w odniesieniu do ciała Chrystusa. Na ich konsekracyjne słowo Chrystus rodzi się na ołtarzu. Boże Narodzenie jest w szczególności także świętem biskupów, którzy mają moc udzielania zdolności konsekracji. Im Bóg powierzył powodowanie w duszach ludzkich Bożego narodzenia, Biskup Kościoła Bożego, który jest w Warszawie i w tej sali, niech nas przybliży do serca Trójcy Świętej zachętą słów Waszej Eminencji.

9. Przy każdym z nas stoi Anioł Stróż. Każda głowa na tej sali jest otoczona czułą troską anielskich skrzydeł. Gdy mówimy rzeczy dobre, zawsze w tych słowach jest echo anielskich szeptów. Aniołowie w Betlejem naszym przedstawicielom-pasterzom ogłosili narodzenie Boże. Niech i teraz czuwają, abyśmy łamiąc się opłatkiem ogłaszali dobre życzenia, godne katolickiej rodziny uniwersyteckiej.

W OKRESIE TRZECH KRÓLI

W lekcji na święto Objawienia prorok Izajasz mówi: „Jeruzalem... chwała Pańska.., weszła nad Tobą”. Kojarzą się z tym dwie myśli:

a) Zdanie z komplety: „Jesteś w nas Panie i wzywaliśmy świętego imienia Twego”. Jesteś w nas Panie i przebywamy w Tobie. Otaczasz nas swymi ramionami i jesteśmy w Tobie. Otaczasz nas Swym imieniem. Jest ono przywołane i trwa nad nami.

b) La Pira uważa, że każde miasto jest symbolem Jeruzalem, które jest symbolem nieba. „Powstań Jeruzalem!” Każde miasto, to obraz także duszy. Jeruzalem: miasto święte, to dusza ludzka. Powstań, duszo moja, gdyż otoczył cię Pan, Jego chwała

pojawiła się nad Tobą, imię Jego trwa nad nami! Codziennie obejmuje nas Bóg swym bytem i swoją świętością.

List chorej p. Stefanii przyniósł mi swoistą epifanię, objawienie się jej cierpienia. Od wielu lat z powodu choroby stawów unieruchomiona w fotelu, traci teraz słuch i z trudem włada rękami. Chrystus coraz boleśniej przybija jej ręce do krzyża i kieruje jej uwagę na siebie odbierając jej możliwość kontaktu ze światem.

MODLITWA NA DZIEŃ ZIMOWY

Bieli przecudna, Duchu Święty! Upadasz śniegiem na szarą ziemię, na grudę dróg. W dziecięcych oczach jesteś rozradowaniem i troską, aby nie wypadł z sanek małeńki brat. Jesteś ciepłem dla pól, które zasnęły po pracy. Biela daj okryć smutek, który z tęsknoty za Pięknem układa się na sercach cieniem i wprowadza mrok! Biela uczyni dusze, dla których jesteś uciszeniem! I wskaż umysłom drogi! Który jesteś w nas i w śniegu. Amen.

Bieli przecudna, Duchu Święty! Osłoń mnie przed zimnem zwątpień w mój ciężki grudzień. Będę wciąż uśmiechnięty, aby Twych oczu nie okrywał smutek, gdy za mnie płaczesz. Amen.

ŚMIECH PSZCZOŁY

Synek ma niebieskie oczy, takie jak kolory kuchni, w której matka panuje nad żywiołami, nad wodą i ogniem, nad produktami w spiżarni, nad powietrzem i atmosferą domu. Synek też opanował żywioły: niebieskie oczy, uśmiech, swoje rączki, wodę na kąpiel, ogień miłości, matkę i ojca, słońce i atmosferę domu. Matka panuje nad żywiołami, synek nad matką i ojcem. Kto jest tu zwycięzcą, kto szybciej opanował żywioły?

Oczy z kołyski zawisły jak gwiazdy na niebie uśmiechu matki. I rozwidnił się świat dwu serc tak dalece, że dojrzysz kształt pocałunku, który w kołyskę niesie dłoń miłości.

Syneczku, a przestańże kręcić figlarną czupryną i rozrzucać wróbelkom zaczepne śmiechy! Nie mogę ci kokardki zawiązać na szyi i bućków na nóżkach, ptaszynach skrzydlatych. Popatrz na drogę: motyl nad chabrem w śmiech zaplątany! Czyż

mogę narzucić tornister krzykom twoich rąk? I oczu nie mogę znaleźć, dwu gwiazd błękitu. Popatrz, sarna je tulipany! Mamo, gdzie jest ten motyl? To ty nim jesteś: mój synek, mój motyl, mój chaber, śmiech pszczoły.

DORASTAĆ DO POZIOMU TEKSTÓW

Zakonnice modlą się o piękno wydawanych tekstów, o ich głębię i mądrość:

„Panie Boże, ukryj pod słowami kawałki radosnego nieba lub pióra ze skrzydeł aniołów! Niech ludzkie tęsknoty ustawią się parami i pofruną do ciepłego kraju, aby człowiek odpoczął”.

Nie wiem, czy zakonnice zostały wysłuchane. Wiem tylko, że człowiek wciąż tęskni.

Wiem także, że publikowane teksty powinny być eleganckie. Powinny nosić frak, wiązać jedwabne motyle i składać ukłony zwierciadlanym salom. Wtedy królowa z pąków róży poda tym ukłonom swoje dłonie, w pałacu zagrają flety, a złota łódź powiezie zakochane uśmiechy w poślubną podróż.

Teksty jednak nie powstają wtedy, gdy się ich pragnie i chce. To raczej one chcą w nas rozkwitnąć, a potem odejść. Tworzymy więc kształt słowom, naszym własnym słowom. One odchodzą i zostajemy sami. Słowa i teksty żyją swoim światem, kształtem sztuki. Gdy chcemy je spotkać, uściskać, jak ojciec, który wita swoje dzieci, musimy dorastać do poziomu sztuki. Musimy stawać się pięknem o kształcie człowieka.

LOS LUDZKIEJ MIŁOŚCI

Nasze życie religijne tu na ziemi jest zapoczątkowaniem tego, co trwa na zawsze.

W pewnej chwili naszego życia, naszego prawdziwego życia wewnętrznego, przychodzi taki moment, że drobne czynniki naszej struktury, te mierzalne, widzialne, przestrzenne, jakościowe, pod wpływem bakterii, zniekształceń, odrywają się od nas, odchodzą. Tracimy ciało. Nazywamy to tak zwaną śmiercią, która jest tylko okaleczeniem człowieka. To okaleczenie sprawia, że możemy teraz człowieka nazywać tylko duszą. Trwa bowiem dalej nasze istnienie i cała rozumność wbudowana w to

istnienie. Utrwała się nasz stan, gdy odeszły zmienne czynniki strukturalne. Utrwała się miłość.

Jesteśmy teraz „twarzą w twarz” z Bogiem. I czasem jakoś nie umiemy się znaleźć w tej nowej sytuacji, to znaczy dostrzegamy, że nasza miłość nie jest całkiem skierowana do Boga. Trzeba to poprawić. A wiemy wszyscy, tak trudno kształtować miłość, ile to wymaga trudu i męki. Wiemy już, gdy widzimy Boga, że nasza miłość myliła się, nie kierując się do Boga. I poprawianie tych zaniedbań nazywa się czyścieniem.

Widzimy też, że ten czyściciel mogliśmy byli odbyć na ziemi, czyli uzyskać pełne skierowanie wewnętrzne naszej osoby na Boga. Efektem tych przekształceń byłoby to, co nazywamy doskonałym aktem miłości, czyli takim, którego przedmiotem jest wyłącznie sam Bóg. Nie jakieś płynące stąd korzyści, np. pokój, zadowolenie, niebo, lecz sam Bóg. Wszystko bowiem jest mniej ważne. Mniej ważny jest nasz nastrój, spokój, udana czy nieudana modlitwa, nasze osiągnięcia, nawet nasze umartwienia. Ważny jest Bóg. I ważny jest taki kształt miłości, który jest zrealizowaniem życzeń Boga, objawionych w Ewangelii. Miłość bowiem jest ostatecznie uzgodnieniem naszego życia i naszej miłości z życiem i miłością osoby kochanej. Gdy to uzgodnienie jest pełne, mijamy czyściciel. Gdy nie jest pełne, trzeba to uzyskać. I to nazywamy czyścieniem.

Będąc w sytuacji po utracie ciała, jesteśmy poza czasem. Jesteśmy w swoistej terażniejszości. Stąd ci, którzy są bez ciał, nie ujmują wydarzeń wcześniej i później. W ich odbiorze jest terażniejszość. Dla nich, w ich przeżywaniu następuje zaraz zmartwychwstanie. Stają się pełnymi ludźmi, uzyskują swoje ciała w stanie ulepszonym, udoskonalonym. I przychodzi Chrystus, aby wszystkim powiedzieć, że był cały czas obecny, że gdy my psuliśmy Mu robotę naszym złem, On uratował jednak dobro. I powie: Przecież, gdy byłem chory, odwiedziliście mnie, gdy byłem głodny, daliście mi jeść, gdy byłem samotny, obdarzyliście mnie obecnością, gdy wahałem się, poradziliście mi, gdy wątpiłem, przekonaliście mnie dobrą wiedzą filozoficzną i teologiczną. Wtedy powiemy: Panie, kiedy daliśmy ci pić, jeść, kiedy rozmawialiśmy z Tobą? Chrystus odpowie: Gdy cokolwiek dobrego czyniliście ludziom, czyniliście mnie, gdyż byłem w nich, w ich duszy. I to jest sąd ostateczny: ujawnienie się Chrystusa teraz zakrytego, ujawnienie dobra, które uratował Chrystus, gdy my to wciąż niszczyliśmy.

Sąd ostateczny nie będzie plotkarskim spotkaniem ludzi. To nie będzie wypominanie nam, że to lub tamto zrobiliśmy. Grzechy odpuszczone przecież nie istnieją. To, co nie istnieje, nie może być przedmiotem rozważań. Tylko dobro będzie przedmiotem sądu ostatecznego.

A ta grupa ludzi, która tak usilnie pracowała w tym kierunku, aby nie skierować swej miłości do Boga, będzie poza tą miłością. Nie chcąc tego kontaktu, znajdzie się zgodnie ze swą wolną decyzją w grupie osób poza Bogiem. I Chrystus musi powiedzieć: No cóż, nie chcecie być ze mną. Bądźcie więc poza mną, tak jak sobie życycie. I to będzie męka: zobaczenie, że się wybrało bezsens, życie bez miłości, bezsensowną samotność bez miłości, którą Bóg chciał nas obdarzyć.

Pomyślmy, czy jest sens, aby odrzucić tę wartość, którą jest proponowana nam miłość Boga? Czy jest sens w tym, aby odrzucić to, co uszczęśliwia, aby odrzucić właśnie miłość, która jest darem, i w tym wypadku jest darem ze strony nieutralnego bytu, ze strony Boga?

I proszę teraz Boga, aby to pytanie niepokoiło ludzi; aby nie pozwoliło spać, pracować, aby je Duch Święty uczynił narzędziem osobowego spotkania każdej osoby ludzkiej z miłością Trójcy Świętej. I modłę się, aby każdy z nas ukochał miłość, którą Bóg nas obdarowuje.

REFLEKSJA NAD KULTURĄ

W okresie panowania prawnuków Krzywoustego, gdy właściwie tylko Wrocław miał szersze idee polityczne i kulturalne, gdy upadek państwowości i uczciwości zrodził w rodzinie piastowskiej ciasne spory małych ambicji lub może odwrotnie, wtedy mimo wszystko był urodzaj świętych. Kultura osobista nie zawsze więc idzie w parze z kulturą narodową, czy nawet ogólnościową. Znamy to zresztą dobrze z dzieł Bernanosa. Łaska owocuje w warunkach nieprzewidzianych, lecz zawsze w warunkach wielkiej prawości moralnej człowieka. Łaska wzmacnia tę prawość w człowieku, który oprócz Boga może nie znaleźć w ludziach pomocy.

Znowu myślę o kulturze. Przywykliśmy do naszego, europejskiego jej typu, do podkreślenia w wychowaniu roli sztuki i filozofii. Tymczasem Ameryka, ściślej Kanada i Stany Zjednoczone, żyją w dużym stopniu głównie problemami technicznymi,

produkcją i handlem. W wykształceniu stawia się na nauki ścisłe. I dusza ludzka się żywi. I jest tam uczciwość, jest radość, jest niekłamana, wzajemna życzliwość ludzi. A warunki moralne jednak trudne. Wszystkie prace w medycynie, w ulepszeniach społecznych, nad jakością towarów, są wynikiem raczej konkurencji. Człowiek jest zapracowany. Ma mało czasu na refleksję. Z tego powodu panoszy się reklama. I mimo to rozwija się dobrze rodzina. Ludzie pobierają się, radują dziećmi i domem. I cały, widoczny kult samochodu gdzieś tu się załamuje. W kościołach rozdaje się codzienną komunię, a przy kratkach konfesjonałów klęczy ilość osób wzruszająco pokaźna.

Nie ma więc chyba recepty na kulturę. Jeżeli kultura jest zespołem środków rozwijających człowieka i przez niego rozwijanych, to nie można stwierdzić ostatecznie, przy wielu zastrzeżeniach, że dany zespół środków jest najlepszy. Wychowują się bowiem ludzie i w Indiach, i w Japonii, i w Afryce, w Kanadzie i w Polsce. Inne są motywy naczelne i akcenty w atmosferze kulturalnej środowisk libańskich, Jerozolimy, Jerycho, czy Hebronu, i inne w Rzymie, Paryżu czy w Kanadzie. A człowiek wszędzie dojrzewa. I właśnie dobrze. W prawości moralnej. I nawet w świetnym kształcie umysłowym, chociaż innym.

Uczę się względności świata, względności rzeczy i spraw ludzkich z analizy kultury i najwyższych osiągnięć człowieka. I właśnie są one tak różne. I tak to świetnie widać, ponieważ zawsze są wyniesione wysoko. Tak. Dojrzewa się nie tylko studiując łacinę. Myśl ludzka osiąga swój lot nawet w stepach, nawet wśród skał nad morzem Martwym, nawet tylko w warsztatach kanadyjskich.

I nigdy nie wiadomo, kiedy jest upadek kultury i człowieka. Są często upadki typów kultury, pewnego zespołu ideałów, wychowawczych wzorów, czy typów. Człowiek zawsze się dźwiga i posila się każdą sprawą. Nawet trudnymi problemami okupacji podczas drugiej wojny światowej.

Uderzało boleśnie to, że gdy nie było innych środków wychowawczych, nawet drobny, chłopięcy, antyniemiecki sabotaż kształtował charakter i ratował prawością ludzką, bronił przed upodleniem i innych ludzi, których łamał oportunizm.

Jedno tylko martwi, a mianowicie to, że niewielu jest świętych dzisiaj, to znaczy ludzi nade wszystko kochających Boga. Dlaczego czasy tylu cierpień, obozów, walk

ideowych, upadku kultur, form myślenia, rządzenia, rozumienia, wychowywania, dlaczego nie kształtują świętych?

Tak, gdyż łaski nie otrzymują sytuacje, lecz człowiek. A może też być tak, że człowiek zatrzyma się w drodze do Boga, że nie sięga wyżej, ku temu właśnie poziomowi, na który los go przeznaczył.

Widać jednak, że jedynym, twórczym, najmocniejszym działaniem przekształcającym jest łaska, zdobywana modlitwą. Narody, które modlą się, mają świętych.

MARTWIĘ SIĘ KANADĄ

Biskup Sheen zwraca uwagę na współczesne niebezpieczeństwo standaryzacji intelektualnej. I uważa, że zatracą się kultura, która jest kwestią celów, a zyskuje przewagę cywilizacja, kwestia środków.

Nie boję się powiedzieć, że po prostu środki stały się celami także w Kanadzie. A to jest już sprawa, która musi obchodzić i Polaków, odpowiadających przecież w dużej części za życie i przyszłość Kanady. Dokonuje się bowiem na naszych oczach zasadnicza przemiana, która ma znaczenie także dla losu człowieka, jego wewnętrznej wolności i prawości.

Właśnie przemiana celów. Wykrywa się ją dość prosto. Nawet w wyniku analizy pierwszych wrażeń w Kanadzie.

Przyjeżdżających do Kanady uderzają najmocniej dwie sprawy: krajobraz i konieczność zmiany pojęć o Kanadzie. W Polsce bowiem Kanada jest symbolem przede wszystkim komfortu. Tu na miejscu pierwszym wrażeniem jest nie komfort, lecz praca. Komfort niewątpliwie istnieje, lecz nie znaczy on zwolnienia z pracy. W Kanadzie pracuje się dużo, może w pewnym sensie zbyt dużo.

Miarą komfortu dla opinii nawet statystycznych u nas jest między innymi ilość samochodów i możliwość posiadania samochodu przez robotnika. Tymczasem w Kanadzie samochód jest artykułem pierwszej potrzeby, jest prawie narzędziem pracy. Inna tu jest jego „ranga społeczna”. To jest jakiś start, początek efektywnego udziału w życiu.

Samochód jest w każdym razie narzędziem, które kształtuje życie Kanady. Zwyciężył choćby w planach podboju krajobrazu. Kanada, która dla przeciętnego Polaka w Polsce jest krajem przeogromnych miast, pól pszenicznych, koni i lasów „pachnących żywicą”, dzikich, z tropami zwierząt i Indian, w rzeczywistości jest przede wszystkim estetycznym układem dróg i jednorodzinnych domków. Wiadomo, że drogi i domy zawdzięczają swój byt samochodom. Urok przebycia wielkich autostrad da się przeżyć jedynie dzięki samochodowi i dzięki niemu jest aktualny urok mieszkania we własnym, osobnym, nawet poza miastem, wygodnym domu. Przestrzeń nie jest problemem, przebywa się ją szybko.

Wrażenie domów jednorodzinnych jest tak silne, że aż dziwią wielkie gmachy choćby na Bay Street w Toronto. Ale i te gmachy nie niszczą wrażenia jakiejś ciszy, która tu chyba towarzyszy pracy. Nie poznałem jeszcze rodzajów pracy w Kanadzie, spodziewam się jednak, że są tak dobre, jak życzliwość ludzi, z którymi się spotkałem.

Spotkanie w ogóle ma ciężar spotkania się ze światem innym, lecz zupełnie bliskim poprzez prawdziwą chyba serdeczność ludzi. I to jest wrażenie najsilniejsze.

Do tych wrażeń dołączam teraz sprawę reklamy. I właśnie rodzi się niepokój.

Wydaje się, że bardzo słuszne, codzienne ideały życiowe, wyrażające oczywiście ludzką potrzebę dostatku i wygody, koniecznych do normalnego rozwoju człowieka, uzyskały fałszywy, ponieważ wygórowany ponad możliwości zarobkowania poziom zbytecznych potrzeb. I dalej, wygórowane potrzeby uzyskały rangę potrzeb koniecznych. Tak bowiem przedstawia je reklama, która służy sprawie zbytu produktów, a nie osobistej gospodarce człowieka.

Słuszne jest mieć wygodny i dobry samochód, najnowszą lodówkę. Reklama jednak sugeruje nabycie rzeczy droższych niż możliwość nie męczącego zarobku. Stąd konieczność ogromnej, przemęczającej pracy, a przynajmniej zabierającej zupełnie cały czas człowieka. Reklama nie oszczędza sił ludzkich. Człowiek jest zmęczony, poddaje się modzie i opinii, nie ocenia, jest w niewoli reklamy. W wyniku tego środki, które zdobywa dla ułatwienia życia, traktuje teraz jako cel.

Zmęczony człowiek, nauczony celów konwencjonalnych, reklamowanych, oddający wszystek czas pracy dla zarobku, nie dla swego rozwoju, pracy zautomatyzowanej i czyniącej z człowieka automat, oddający bez refleksji trudno zapracowane

dochody za reklamowany produkt, człowiek taki nie ma czasu na teatr, książkę, rozmowę, na rozwój osobisty i naukę, z której nigdy nie zwalnia nas żadna sytuacja. W konsekwencji wytwarza się atmosfera, w której zwycięża wartość zapłaty. Człowiek wszystko waży, za wszystko płaci i za wszystko żąda zapłaty. Niczego nie czyni bezinteresownie, dla kogoś drugiego, dla jego dobra z pominięciem siebie i swego dochodu. A to nie są czyny z miłości.

Obliczmy. Człowiek gubi gdzieś miłość, zaniedbuje siebie, troskę o własny rozwój, rezygnuje z własnego zdania nie umiejąc go bronić na skutek braku sił i oddaje się w niewolę reklamie, słucha jej zdania, zaczyna pragnąć w wielu wypadkach tych celów, które są zawsze tylko środkami, zaczyna np. całą swą ambicję, dążenia, sympatie skupiać na samochodzie. Poddaje się kultowi samochodu. Samochód już nie tylko ułatwia mu życie, lecz także je wypełnia.

Teolog widziałby tu grzech przeciw pierwszemu przykazaniu. Można jednak nazwać to tylko krzywdą, wyrządzoną człowiekowi, kradzieżą należnego mu rozwoju, zwycięstwem takiego nurtu w kulturze, który środek stawia za cel. W sumie jest to swoisty materializm wspaniałej i jakże krzywdzącej człowieka cywilizacji współczesnej.

Człowiek dzisiejszy nie całkiem jest temu winien. Zbyt wcześnie pochwyciła go reklama, wtedy gdy jeszcze w dziecięcym i młodzieńczym zachwycie upajał się motorem i pędem. Reklama jednak trzyma człowieka na poziomie tych nastrojów i gustów. Nie pozwala iść dalej. Rozwój człowieka jest zatrzymany dla celów sprzedania towaru.

Poza tym reklama sugeruje produkty, podobające się dzieciom wiedząc, że ich chęciom ulegają rodzice. Obniża się przez to estetyka rzeczy nabywanych, dostosowana do niewybrednego gustu nastolatków.

Przeciwstawić się wyrządzonej krzywdzie może tylko samodzielnie myślący i oceniający człowiek. Takiego trzeba wychowywać. Lecz w jaki sposób w tych właśnie warunkach?

Najbardziej szkoda prawości ludzkiej. Nauczony fałszywych celów człowiek czyniąc źle sądzi, że czyni dobrze. To jednak można jeszcze naprawić. Na razie

człowiek zrezygnował z samodzielnego myślenia. Lecz jest w dalszym ciągu serdeczny. Od tego można zacząć odbudowę.

CZŁOWIEK WEDŁUG LA BRUYERE'A

(na podstawie książki pt.: „Charaktery”)

Uwagi La Bruyere'a o człowieku rozpoczyna zdanie na temat szczęścia. I zdanie to, że szukamy szczęścia poza sobą, w opiniach ludzi, o których wiemy, że są „pochlebcy, obłudni, niesprawiedliwi, zawiści, niestatku i uprzedzeń pełni”, zdanie to wiąże się z zakończeniem rozdziału. Tu znajdujemy stwierdzenie, że poważna analiza człowieka ujawnia fałsz jego myśli, uczuć i skłonności.

To stanowi jak gdyby ramę obrazu. I charakteryzuje człowieka, jego najdalsze tęsknoty i moment najbliższy początku: nicość osiągnięć.

Nie chodzi w tej chwili o pesymizm ujęć La Bruyere'a, ani o zaznaczenie, że chcemy, aby ktoś rzeczywiście potwierdził posiadane przez nas szczęście, ale o fakt, że te dwa zdania mówią nam chyba wszystko o metodzie obserwacji, stosowanej przez autora.

Jego metoda: ja i ktoś obok, na kogo patrzę. Takie zestawienie. A wniosek wyciąga czytelnik.

I rzeczywiście, gdyby się nawet nie znało przedmowy do „Charakterów”, kontakt z dziełem powiedziałby, że mamy znaleźć przygotowany wniosek, który zresztą sam się narzuca. A często jest wśród zdań ciekawym aforyzmem.

Można więc obraz człowieka, według La Bruyere'a, szkicować tak trichotomicznie, zebrać uwagi w kolumnie: ja, on, aforyzm. Wyglądałoby to w ten sposób: Kolumna - ja: szukamy szczęścia poza sobą w opiniach ludzi. Kolumna - oni: są niepoważni, a jednak chodzi nam o ich zdanie. Niepoważni, gdyż wyśmiewają nie tylko śmieszne, ale i mądre rzeczy. Kolumna - aforyzmy: szczęścia nie dają opinie ludzi. Wypada śmiać się, lecz tylko z rzeczy śmiesznych.

La Bruyere każe nam patrzeć i docierać do istoty typów ludzkich. Inaczej mówiąc, każe nam odnajdywać człowieka w sobie, w bliźnim, poprzez odwagę spojrzenia na siebie, odwagę poinformowania brata-człowieka, że jest w nim zło. Wyrzuca nam

przecież, że boimy się mówić prawdy. Więc żyją głupi nie wiedząc o tym, a czasem takie popełnią błędy, że naprawić je, to ciężki trud rozumnych.

Dobrze, że temat „Człowiek według La Bruyere'a” pozwala na ujęcie go pod kątem przedmiotu lub podmiotu. Zwykle żąda się obiektywizmu. Owszem. Patrząc jednak na siebie-człowieka przez pryzmat obrazu, który nakazuje wyciąganie wniosków i spojrzenie prawdzie w oczy, to też jest obiektywizm w sensie nawiązania kontaktu przedmiotu z podmiotem.

O co chodzi? O wyjaśnienie, że zetknięcie się z La, Bruyere'owskim obrazem daje przeżycie tak silne, iż w opracowaniu trudno nie dodać własnej myśli, komentarza, zinterpretowania. Właściwie już od początku szkicuję myśli autora „Charakterów”. I chcę tylko to usprawiedliwić. Natłok myśli, wzruszeń, jakieś zaistnienia refleksji domagają się wyrazu, a umiar La Bruyere'a, logika jego malowideł, koloryt dostrzeżeń, mądrość wyrozumiała i pobłażliwy uśmiech zmuszają do podziwu. Winien więc La Bruyere.

Jego uwagi o człowieku luźno rzucone, powiązane jednak wewnętrznie ideą badania dla celów praktycznych, dla łatwiejszego ich zakomunikowania, trzeba zgrupować według jakiegoś schematu. Najwygodniej będzie iść jednak trichotomicznie za La Bruyere'm i wydobywać zagadnienia. Jest ich wiele, gdyż jest tu omówiony cały, pełny człowiek. A uwagi o nim tworzą zaplatający się wieniec myśli, sięgający aż w głębie duszy człowieka lub przenikają jednocześnie wiele dziedzin życia. Niekiedy całe życie ujmują w jakimś fakcie istotnym. La Bruyere wymienia np. trzy doniosłe wydarzenia: narodziny człowieka, jego życie i śmierć. I oto jakiś fakt przeoczenia, pominięcia. Człowiek nie wie, że się rodzi, cierpi gdy umiera, z życia nie korzysta. Człowiek przeszedł obok siebie. I odszedł z pustką.

A inne całościowe ujęcie. Wytrwałość winna cechować całe nasze ludzkie działanie. Wtedy tylko są osiągnięcia i są pewniejsze niż przy zastosowaniu nawet wielkiego, ale jeden raz wysiłku. Wytrwałością inni nas wyprzedzają. Wytrwałość! Do niej, jako podłoża, sprowadza się postęp wewnętrzny człowieka. „Wielkie przywiązania i poważne zajęcia przywracają naturalność”, którą się traci często w próżniactwie.

Różni ludzie mają różne wady, choć wyrastają one ze wspólnego dla wszystkich braku charakteru.

Sylwetkę człowieka szkicuje La Bruyere na tle społeczeństwa. I społeczność często przeciwstawia jednostce. Zestawia. To już wiemy. Lecz warto wykryć, że czasem buduje zestawienia nieproporcjonalne. Na przykład „równie trudno znaleźć zupełnie szczęśliwego pyszałka, jak człowieka skromnego, który by się czuł całkiem nieszczęśliwy”. Może tłumaczenie nie wyraża myśli, którą chciał wypowiedzieć La Bruyere: „Szczęśliwy pyszałek”. Jak uzasadnić to zestawienie?

Pomaga w tym jednak głęboki i mimo wszystko mądry La Bruyere. To prawda, że są w ciągu dnia małe radości i małe zmartwienia, ale to wszystko jest tak zmienne, że najwłaściwiej jest oceniać „rzeczy tego świata podług ich istotnej wartości”. Wiemy, że w tym zdaniu mieści się i ocena wpływu tych spraw na kształtowanie się indywidualności ludzkiej, małego wpływu. I mogę opanować zmartwienie przypomnieniem, że są ode mnie bardziej nieszczęśliwi ludzie, np. skąpcy, którzy z własnej winy idą do nędzy fizycznej i duchowej, dalej ci nieprzyjemni ludzie, którzy wolą poniżyć się schlebaniem niż utracić towarzystwo niechętnych im możliwych, powiedzmy takich, którzy są mali choć stoją wysoko. I mniej szczęśliwi niż my są ci, którzy potępiają niepowodzenia walczących o charakter młodych, a zapominają o swym niegdyś trudzie - i ci, którzy wypełniając nawet sprawiedliwość ujawniają swój nieopanowany pęd do niszczenia innych - i ci, którzy za swą pracę otrzymują tylko nieco chleba, wypielegnowanego dla innych. Zaniedbani. La Bruyere wyraża żal, że nie umiemy jak dzieci żyć aktualną chwilą, a tylko umiemy sięgać pamięcią w przeszłość, a marzeniem biec w przyszłość, rysującą się nie zawsze zadowolająco. I jednocześnie tym zdaniem wyrzuca nam brak wyczucia realności, konkretnej chwili. Nie widzimy, ile w nas zła, brudu, jak jesteśmy mali. Schlebiamy lub szkodzimy innym albo - wpadając w drugą krańcowość - bronimy tylko siebie pomijając to, że istnieje drugi człowiek.

A właśnie to winniśmy uważać za nieszczęście, że sobie mamy coś do zarzucenia, że brak nam osobistej kultury logicznej, uczuć, kultury postępowania. Zdobyć trzeba to, czego nam brakuje, usunąć zakorzenioną w wadach niegrzeczność i przyznać się do win. Szczere wyznanie choć nas odślania, zmniejsza jednak siłę złego przykładu i zakrywa smutną o nas prawdę. Czasem przyczyną naszej mierności jest niewłaściwe wychowanie, ukształtowane już przyzwyczajenie, które nam utrudnia postęp w cnocie.

A jeżeli osiągniemy jakąś doskonałość, wypada nam starać się chociaż o tyle roztropności, aby na danym poziomie zostać. Wypada np. wyczuwać granicę pragnień, czyli liczyć się z realnością możliwości. Wypada wypracować w sobie poważne spojrzenie na rzeczywistość i - jak mówi La Bruyere - „w sporą dozę filozofii zaopatrywać się na życie”. To pozwala zachować równowagę wobec sytuacji życiowych i właściwy do nich stosunek. Nie zajmować się więc np. wieloma zbytecznymi sprawami, gdyż te niszczą obowiązkowość, chyba że, powtórzmy jeszcze raz, jesteśmy miernotą, która jest o tyle wygodna, że pozwala nienagannie postępować, gdy nie widzę, gdzie jest wielkość i robię to, co odpowiada przeciętnym. Jest to pesymizm, który przez szukanie życzliwej duszy rozumie tylko schlebienie. A przecież jest tyle pięknej przyjaźni. Pesymizm, który w młodości widzi tylko pęd do uciech, a żadnej myśli ciekawej, i tylko samotność nawet młodych dusz, zaabsorbowanych własnym światem, który nie pozwala dostrzec uśmiechu brata.

To nie jest prawda. I w epoce La Bruyere'a były złote serca, jasne oczy, geniusze ofiarnej miłości. I byli starcy, którzy nie tylko żyli pustką, ale mieli wiele roześmianych wspomnień.

Wiem o tym od La Bruyere'a. Sam stwierdza, że rozsądny starzec jest „skarbem nieoszacowanym”, nauczy „najpewniejszych obyczajów i postępowania, bo na doświadczeniu ugruntowanych”.

Owszem, starzec jest przykry, gdy „nie ma równego starości rozumu”. Poznać to można po przesadnej staranności lub przesadnym zaniedbaniu, po wyraźnym skąpstwie, które jest skutkiem nie oszczędności, lecz bezsily. Wydatki małe, więc skarby leżą i budzą namiętność ich gromadzenia.

I kwestia wiecznie aktualna sporu młodych ze starymi. Starzy są związani z przeszłością. Wtedy przeżyli wszystko, co według nich piękne. Nie mają kontaktu z nowym nurtem życia.

Nie nawiązują, jeżeli nie są rozumni, poprzez swe doświadczenie kontaktu z młodym człowiekiem. Wycofują się i mają niesłuszny żal.

Możemy jednak powiedzieć - i jest to też myśl La Bruyere'a - że i niesprawiedliwych można jeszcze ukochać. Kochamy ich - starców. Trudniej tylko o

uczucie względem tych ludzi, którzy nas ośmieszają. I zdaje się, że wtedy powstaje nienawiść za to, że ktoś przez ośmieszenie demaskuje nas wobec nas samych.

Tu jest głębokie u La Bruyere'a uzasadnienie. Rzeczywiście tak nas rani ośmieszenie, które jest rodzajem pogardy, gdyż odbiera wiarę w siebie, niszczy możliwość spełnienia obowiązku miłości. Zamyka drogę do znajdowania prawdy, nawet okruszyn piękna. Boli nas ogromnie i oddziela od ludzi.

Nie wiem, jak by tu sobie poradziła mała św. Teresa z Lisieux, która na każdego człowieka patrzyła poprzez wyszukaną w nim nawet ostatnią odrobinę dobra.

La Bruyere uważa, że głupiec zawsze jest maszyną, wciąż się obraca i pokazuje nieudaną duszę. A może jego bieda jest dla niego dobrem?

I to dodaje autor „Charakterów”, że rozsądny człowiek w chwilach odpływu sił nie pisze.

O WIĘKSZY WYMIAR CHRZEŚCIJAŃSTWA

(Zaniedbane dziedziny duszpasterstwa)

Przez większy wymiar chrześcijaństwa można rozumieć pełniejsze i głębsze powiązanie miłości człowieka z miłością Boga. Drogą do takiego powiązania jest przekroczenie etapu katechumenatu, tylko charakterologicznych i psychologicznych zabiegów wychowawczych w ascezie chrześcijańskiej, wciąż początkowych form modlitwy. To przekroczenie powoduje w nas Bóg. Człowiek jednak swoim oporem lub złym wychowaniem religijnym może utrudniać Bogu utrwalanie się w nas Jego obecności.

Przez zaniedbane dziedziny duszpasterstwa można rozumieć te zagadnienia, te trudności i te stany osobowości, których nie poddaje się uważniejszej refleksji, których się nie zmienia, aby ukształtować i osiągnąć w człowieku większy wymiar chrześcijaństwa.

Pragnę zwrócić uwagę na szczególnie dziś pilne i zaniedbane trudności, do których zaliczam rozumienie wspólnego kapłaństwa chrześcijan, sprawę modlitwy, wołanie o mistyczne doświadczenie Boga, sens pokuty.

1. Jak znaleźć zaniedbane dziedziny duszpasterstwa

Rozpocznijmy od przypomnienia nakazu Chrystusa; abyśmy nauczali o Bogu. Mamy nauczać człowieka, gdyż jest on podmiotem życia, które polega na naszym przebywaniu z Chrystusem w Bogu. Mamy nauczać człowieka nie osobno, lecz przebywającego we wspólnocie Kościoła, rodziny, w danym środowisku społecznym.

Precyzując już te myśli możemy dodać, że powinniśmy uczyć nie tyle człowieka przebywającego we wspólnocie, ile uczyć stanowienia wspólnoty kościelnej, rodzinnej i wyznaczonej środowiskiem społecznym. Powinniśmy uczyć może najpilniej stanowienia wspólnoty z Trójcą Świętą, przebywania człowieka z Chrystusem w Bogu.

Powinniśmy więc podjąć dziedzinę trudności, często uniemożliwiających człowiekowi stanowienie wspólnoty z Trójcą Świętą i wspólnoty z ludźmi. Chodzi więc o prawidłowe, zgodne z Objawieniem chrześcijańskim pojmowanie życia religijnego, czyli naszego udziału w wewnętrznym życiu Trójcy Osób Boskich. I chodzi o zrozumienie naszych istotnych powiązań z ludźmi.

Trudności z tym związane możemy wyrazić w pytaniach: Jak uwolnić człowieka od oporów wobec prośby Boga o nawiązanie z Nim przyjaźni? Jak doprowadzić do takiego spotkania i powiązania, które będą stanowiły wzajemną miłość człowieka i Boga? W jaki sposób swoją przyjaźnią służyć człowiekowi?

Trudności te możemy rozwiązać od strony dwu ważnych pytań:

Pierwsze: Co ja sam, właśnie ja, każdy z nas, co mogę zrobić, aby zmniejszyły się trudności w spotkaniu się człowieka z Bogiem?

Drugie: Co chciałbym wywołać w osobach, na które oddziałuję? Jakie konkretne skutki chciałbym uzyskać, to znaczy, jakie trudności chciałbym usunąć, te trudności, które uniemożliwiają i spotkanie, i zaistnienie wzajemnej miłości między człowiekiem i Bogiem?

Aby na obydwie te pytania odpowiedzieć, muszę ustalić, które trudności są najdokuczliwsze, które najbardziej uniemożliwiają wspólnotę człowieka z Bogiem i człowieka z ludźmi? Mówiąc krótko, które trudności są najpilniejsze, którym właśnie natychmiast muszę zaradzić, aby człowiek ukochał Boga.

Ta prosta sprawa: podjąć najpilniejsze trudności i natychmiast im zaradzić, rodzi nowe problemy, z których najważniejsze - być może - są dwa:

Pierwszy: Jak rozpoznać te najpilniejsze trudności? Czy wystarczy informacja danego człowieka lub wspólnoty? A może trudność ma źródło w faktach, których dany człowiek nie jest w stanie odkryć, sformułować? Czy może raczej brak skutku, którego Bóg oczekuje, wskazuje na przeszkodę i trudność?

Drugi: Czy potrafię we właściwy sposób zaradzić trudności? Kto więc powinien ją usunąć? Czy może ją usunąć każdy człowiek, czy tylko ktoś z nas, czy też wyłącznie Bóg?

Zostańmy jednak przy nas, przy zadaniach i możliwościach człowieka? I rozwińmy te dwa nowe, wymienione tu problemy.

Pierwszy problem: Jak rozpoznać najpilniejsze trudności człowieka, uniemożliwiające zaistnienie i rozwój wzajemnej miłości między człowiekiem i Bogiem?

Wszystkich nas obowiązuje wobec każdego człowieka obdarowanie go dobrocią i przyjaźnią.

Znaczy to, że najpierw obowiązuje nas i czeka ogromny trud ustawienia siebie na drugim miejscu. Pierwsze dla nas są czyjeś sprawy i sam drugi człowiek. Moimi sprawami zajmuję się później, drugi człowiek jest ważniejszy niż ja. Taka postawa jest rezygnacją z egoizmu. „Jestem ja, już nie ja”, pierwszy jest Chrystus, inna niż ja osoba, także więc drugi człowiek. I dopiero wtedy dobroć nie jest dodatkiem do spraw, różni się od uprzejmości, jest naprawdę dobrocią, czyli darem nas samych darowanych drugiemu człowiekowi w tym sensie, że na serio liczą się jego sprawy, jego zmartwienia i troski. Wzajemność takiej postawy, ktoś drugi tak samo nas traktujący poważnie jako dla siebie najważniejszą sprawę, jest dopiero przyjaźnią. Taką właśnie dobrocią i taką przyjaźnią winniśmy się obdarować. Wtedy sprawy drugiego człowieka widzimy tak, jak on je widzi, wtedy jego trudności faktycznie są w nas, wtedy jego cierpienie będąc naszym cierpieniem realnie nas boli.

Obdarowanie każdego człowieka dobrocią i przyjaźnią znaczy więc ponadto umiejętność wzięcia na siebie czyjegoś cierpienia.

Nie jest to łatwe. Bóg wie o tym i osobiście nam w tym pomaga.

Przyjaźń, która jest wzięciem na siebie czyjegoś cierpienia w sensie natychmiastowego zareagowania na to cierpienie, ulżenia komuś, ochrony go, nazywa się w Ewangelii miłosierdziem. Nie jest cnotą naturalną, wypracowaną w nas

poprzez powtarzanie. Nie można bowiem wyćwiczyć się w przyjaźni. Przyjaźń nie jest cnotą, jest darem nas samych. Przyjaźń jako wzajemna miłość, owszem, jest innego rodzaju cnotą, jest cnotą wlaną, czyli wniesioną w nas przez Boga. Ale przyjaźń, jako wzięcie na siebie czyjegoś cierpienia, nie jest cnotą naturalną. i nie jest cnotą wlaną. Jest w nas owocem darów Ducha Świętego. I wśród tych owoców, wśród skutków obecności w nas Ducha Świętego, jest najwznioślejszym owocem, który Ewangelia nazywa błogosławieństwem. Miłosierdzie należy do grupy błogosławieństw, bez których nie możemy się zbawić, to znaczy nie jest możliwe nasze na zawsze zjednoczenie z Bogiem.

Musimy tak rozwijać swoje życie religijne, to znaczy musimy pozwolić Bogu tak rozwijać w nas nasze życie religijne, że aż zaczną funkcjonować w nas skutki darów Ducha Świętego. Wtedy staniemy się miłosierni, wtedy dopiero pochylimy się nad czymś cierpieniem z autentyczną dobrocią która nie onieśmiela i oddala, lecz właśnie jest faktyczną wspólnotą spraw.

Lecz jeszcze na tym poziomie możemy zachować się w dwojaki sposób:

a) Możemy podjąć czyjeś cierpienie ze względu na kogoś, ze względu na jakąś kochaną osobę lub nawet ze względu na Boga. Wtedy obdarowujemy przyjaźnią i dobrocią właściwie nie tego człowieka, lecz osobę, która jest motywem. Wtedy działamy na sposób instytucji. Wtedy ten dany człowiek nie jest dla nas ważny. Spełniamy wobec niego zlecone zadanie. Wtedy jeszcze ranimy i zadajemy ból przewijając rany i zmniejszając ból. Tak łatwo wystąpić jako instytucja miłosierdzia, instytucja dobroci, instytucja przyjaźni. Nawet przy pięknym motywie względu na Boga.

b) Nie obdarowujemy dobrocią jako instytucja, lecz jako ten oto współczujący człowiek wtedy, gdy motywem miłosierdzia jest to konkretne czyjeś cierpienie i ten cierpiący człowiek. On sam jako motyw, powód, ze względu na niego samego obdarowany naszą dobrocią, przyjaźnią, miłosierdziem. Wtedy dopiero myślimy w dobrej teologii, wtedy kieruje nami Duch Święty, gdy wyłącznie dany człowiek jest racją budzenia się w nas dobroci, przyjaźni i miłosierdzia. Człowiek, którego Bóg stworzył, Chrystus odkupił, którego uświęca sam Duch Święty.

Rozpoznamy najpilniejsze ludzkie sprawy, najdotkliwsze cierpienia człowieka, jego najpoważniejsze trudności, gdy zbliżymy się do niego całą dobrocią ofiarowaną mu dla niego samego.

I tylko wtedy odczytamy człowieka nie w instytucji zbawienia, lecz w dobroci i poświęceniu Chrystusa. Powtórzmy Chrystusa w Jego motywach. Chrystus cierpiał i zbawia człowieka z miłości do człowieka. Między wzajemną miłością Chrystusa i miłością człowieka nie ma celów pośrednich i ważniejszych. Chrystus, posłany przez Ojca, jest jednak jako Bóg zarazem Ojcem, Synem i Duchem Świętym. Kierując człowieka do Boga Ojca, kieruje go także jako Bóg do siebie.

Najkrócej mówiąc, rozpoznanie najpilniejszych trudności człowieka, odczytanie tego, co oddziela człowieka od Boga, wymaga zajęcia postawy Chrystusa, to znaczy takiej postawy, która jest dobrocią darowaną komuś ze względu na niego samego. Wymaga to więc takiego poziomu naszego życia religijnego, który jest realizowaniem życzeń Boga. A życzenie Boga jest jasne: „Bądźcie doskonali, gdyż Ojciec wasz niebieski jest doskonały”. Miarą naszej doskonałości religijnej jest doskonałość Boga.

Drugi problem: Czy potrafię we właściwy sposób zaradzić trudnościom, uniemożliwiającym spotkanie Boga i człowieka, gdyż - czy potrafię przełamać egoizm i sprawy Boga uczynić swoimi sprawami? Czy potrafię uzyskać życie religijne na miarę życzeń Boga? A jeżeli będzie mnie stać na dar dobroci ofiarowany człowiekowi ze względu na niego samego, czy nie popełnię błędu wdzierając się w bezpośrednią przyjaźń, łączącą danego człowieka z Bogiem? Gdy będę umiał obdarować przyjaźnią osobiście, nie w postaci instytucji, czy będę umiał zatrzymać się przed tajemnicą wyłączności powiązań człowieka z Bogiem?

Tu właśnie dotykamy jednego z najtrudniejszych problemów, podstawowej trudności, którą jest brak umiejętności w pełnieniu przez nas naszych funkcji kapłańskich.

I wykrywamy pierwszą zaniedbaną dziś dziedzinę duszpasterstwa: nie umiemy pełnić wobec ludzi naszych funkcji kapłańskich.

2. Na czym polega wspólne kapłaństwo chrześcijan

Wyjaśnijmy najpierw, że spotkanie człowieka z Bogiem dokonuje się przez Chrystusa, z Chrystusem i w Chrystusie. Chrystus-Bóg stając się człowiekiem przystosował w sobie, w Bogu-człowieku, nieskończone życie wewnętrzne Boga do naszej pojemności. Uczynił czymś możliwym obecność w człowieku miłości, którą obdarowuje Bóg, miłości realnej, mieszkającej w nas jako Trójca Osób Boskich. Chrystus więc wiąże ludzi z Bogiem, jest jedynym pośrednikiem, jedynym wobec tego kapłanem. Ponieważ jednak stanowimy z Chrystusem jedno Ciało mistyczne, jeden nadprzyrodzony organizm, będący Ludem Bożym, Kościołem, którym jesteśmy razem z Chrystusem, mamy udział na mocy wybrania także w kapłaństwie Chrystusa.

Mocą chrztu i bierzmowania, a szczególnie dzięki Eucharystii podtrzymującej miłość do Boga i ludzi, wszyscy uczestniczymy w kapłaństwie Chrystusa. Znaczy to, że pośredniczymy w spotkaniu człowieka z Bogiem w ten sposób, aby przez nasze oddanie Chrystusowi rodziły się w nas dary Ducha Świętego i abyśmy w naśladowaniu ofiary krzyżowej wszystko oddali Bogu. Abyśmy więc nie zatrzymali sobie przyjaźni z ludźmi, abyśmy nie skierowali tej przyjaźni do siebie, abyśmy ją odbierali jako podjęcie czyichś spraw i usunęli siebie z pierwszego miejsca, aby właśnie ktoś był ważniejszy, gdyż taka była droga, służba i kapłaństwo Chrystusa. Chrystus przekazuje Ojcu miłość ludzi i otrzymuje ją będąc równy Ojcu w boskości. My, jak Chrystus, musimy w swym kapłaństwie otrzymaną miłość ludzi przekazać Bogu. Nie będąc Bogiem, nie możemy tej miłości sobie zatrzymać. Możemy jej tylko służyć. Musimy obdarowywać swoją pełną miłością, a ofiarowanej nam przez kogoś miłości nie zatrzymać sobie, lecz służyć jej całą dobrocią, przyjaźnią i wzięciem na siebie czyjegoś cierpienia w uświęcającym nas miłosierdziu. Mamy przyjąć, lecz nie zatrzymać darowanej nam miłości, mamy uczynić z niej sposób spotkania kochającej nas osoby z Bogiem.

To wszystko znaczy, że mamy realizować w sobie miłość do Boga, że tę miłość do Boga mamy budzić w ludziach przykładem swego życia, polegającego na przebywaniu w Bogu z Chrystusem. Znaczy to także, że mamy tym wszystkim świadczyć o Chrystusie, a więc naszą miłością przybliżać do Boga i czyjąś otrzymaną miłość otworzyć na miłość Chrystusa. Tak świadcząc o Chrystusie stajemy się jego apostołami.

Apostołowanie, apostołstwo - to głoszenie Ewangelii życzeń Bożych, uświęcanie ludzi przez kontaktowanie ich z Chrystusem przykładem życia, zdominowanego wiarą, nadzieją, miłością, kontaktowanie ludzi pozostających w naszym zasięgu, gdyż tylko tak można rozumieć apostołów, a nie we własnym środowisku.

Ale „apostołstwo... nie polega jednak na samym tylko świadectwie życia. Prawdziwy apostoł szuka okazji głoszenia Chrystusa również słowem, bądź to niewierzącym, by ich doprowadzić do wiary, bądź wierzącym, by ich pouczyć, umocnić i pobudzić do gorliwszego życia”. Tak mówi „Dekret o apostołstwie świeckich”. „Pobudzić do gorliwszego życia”.

Gorliwość - w języku teologicznym - oznacza intensywniejszą miłość do Boga, pełniejszą przyjaźń, trwalszą i pełniejszą w nas obecność Boga. Tę obecność sprawia sam Bóg przez Chrystusa, w Chrystusie i z Chrystusem zbawczo uobecniającym się w człowieku, a więc z Chrystusem kapłanem.

Powtórzmy więc, że podstawową trudnością w naszych relacjach z ludźmi jest uzyskanie umiejętności obdarowywania dobrocią i przyjaźnią nie na sposób instytucjonalny, lecz osobisty, gdy racją miłości podejmującej czyjeś cierpienie jest ten cierpiący człowiek. Gdy już umiemy nie być instytucją, lecz ludźmi, wtedy podstawową trudnością staje się z kolei umiejętność przyjęcia darowanej nam przyjaźni w taki sposób, abyśmy nie stali się jej celem, lecz tylko pośrednikami, wiążącymi miłość ludzi z miłością Boga pełniąc w ten sposób wynikające z chrztu kapłaństwo, w którym uczestniczymy będąc Kościołem, mistycznym Chrystusem. Naszym obowiązkiem, zadaniem, naszą rangą religijną i życzeniem Boga jest wzięcie na siebie spraw drugiego człowieka i pominięcie siebie. A przyjmując czyjąś miłość mamy jej nie wziąć sobie, lecz uczynić z niej narzędzie i teren spotkania kogoś z Bogiem. To jest nasze kapłaństwo, nasze pośredniczenie, nasza faktyczna dobroć i przyjaźń, duszpasterskie zadanie nas wszystkich stanowiących z Chrystusem królestwo kapłanów, jak to określił św. Piotr.

Odróżniamy kapłaństwo wspólne i kapłaństwo służebne.

To kapłaństwo służebne jest charyzmatem, powołującym do posługi sakramentalnej. Ta posługa przez włożenie rąk staje się sakramentem, zbawczą obecno-

ścią Chrystusa, spełniającego poprzez kapłana posługę sakramentalną. Stanowiąc Kościół już jesteśmy sakramentem zbawczej obecności Chrystusa w nas i w świecie. W tym Kościele spośród nas Duch Święty powołuje kogoś właśnie do służby urzędowego i nieomylnego zastępowania Chrystusa. Musimy bowiem nieomylnie wiedzieć, że ten chleb stał się ciałem Chrystusa, że grzechy zostały odpuszczone.

To odróżnienie kapłaństwa wspólnego i kapłaństwa służebnego modyfikuje posługi duszpasterskie, czyli zadania wynikające z naszego udziału w kapłaństwie Chrystusa.

Przez duszpasterstwo możemy rozumieć oddziaływanie wartościami religijnymi danego człowieka na innych ludzi. Jest to oddziaływanie zarówno własnym poziomem religijnego życia w kapłaństwie wspólnym, jak i czynnikami sakramentalnymi w kapłaństwie służebnym.

W kapłaństwie wspólnym kontaktujemy ludzi z Bogiem poziomem życia, wyznaczonego wiarą, nadzieją i miłością, swoim realnym pominięciem siebie dla pełnienia dobroci i takim przyjęciem czyjejs miłości, że ciesząc się nią nie zatrzymujemy ludzkich tęsknot wyłącznie na sobie, lecz swoją miłością kontaktujemy ludzi z nieskończoną miłością Boga.

W kapłaństwie służebnym mamy szansę dotarcia do głębszych warstw ludzkich przeżyć dzięki temu, że działalność duszpasterza traktuje się jako propozycję. samego Chrystusa, tym bardziej, gdy ta propozycja jest dana w konfesjonale,

Informację duszpasterza z zakresu psychologii, ascetyki, dogmatyki lub dziejów Kościoła mogą być płytkie i niekompetentne, co może powodować przegraną działalności duszpasterskiej i odsunięcie się kogoś od Chrystusa.

Udzielony przez kapłana sakrament Eucharystii lub pokuty nieomylnie kontaktuje z Chrystusem, lecz towarzyszące temu słowo, czy w ogóle głoszenie Chrystusa słowem, do czego zobowiązuje „Dekret o apostołstwie świeckich”, może właśnie od Chrystusa oddalić.

Nawet więc w kapłaństwie służebnym liczy się kapłaństwo wspólne, jako właśnie kontaktowanie ludzi z Bogiem przez przykład poziomu życia religijnego wyrażającego się w dobroci i miłosierdziu, wywołanych w nas darami Ducha Świętego. Ten przykład musi być dany w warunkach, które polegają nie na instytucjonalnym, lecz

osobowym podjęciu cierpień ludzkich. To osobowe podjęcie czyjejś miłości nie może być ustawieniem siebie jako celu, lecz musi być posługą kapłańską, otwarciem tej darowanej nam miłości na miłość Chrystusa.

Te problemy nazywam trudnością w pełnieniu przez nas funkcji kapłańskich, nazywam je zaniedbaniem posługi kapłańskiej, obowiązującej nas z racji udziału w kapłaństwie Chrystusa, z którym stanowimy Kościół, wspólnotę, nadprzyrodzony organizm ukryty w Bogu. I te problemy uważam za zaniedbaną dziś dziedzinę duszpasterstwa.

Z tymi problemami wiążą się następne zaniedbane dziedziny. I tam właśnie także winniśmy spieszyć, aby nauczać wypełniając nakaz Chrystusa.

Zauważmy najpierw, że jeżeli kapłaństwo wspólne i służebne polegają na zetknięciu człowieka z osobą Chrystusa, to podstawowym zadaniem duszpasterstwa, jako udzielania wartości religijnych, jest najpierw sakramentalne spowodowanie i kształtowanie osobowych relacji człowieka z Bogiem.

Relacje te, jako rzeczywisty byt nadprzyrodzony, kształtuje sam Bóg. Stanowią one nasze życie religijne, które nie jest poglądem, myśleniem, erudycją religijną, lecz faktyczną rzeczywistością, polegającą właśnie na udziale człowieka w życiu Boga. Tej rzeczywistości nie wykrywamy na drodze obserwacji lub filozoficznego rozumowania, lecz tylko na drodze zaufania objawionej informacji Boga, któremu właśnie wierzymy dla Jego prawdomówności.

Jesteśmy jednak w stanie poznać dalsze przejawy osobowego powiązania człowieka z Bogiem. Te przejawy stanowi modlitwa, pokuta, świętość.

Modlitwa, pokuta, świętość, stanowiąc nasz sposób odbierania obecności Boga w osobie ludzkiej i wyrażania Bogu naszej miłości, podlegają także psychologii i formom kultury. Ze względu na te psychologiczne i kulturowe aspekty poddają się zabiegom duszpasterskim. Możemy więc zmniejszać opory człowieka wobec Boga wyjaśniając mu, czym jest modlitwa, pokuta, świętość.

3. Sprawa modlitwy

Po zagadnieniu trudności w pełnieniu naszych funkcji kapłańskich, zagadnieniem najbardziej dziś zaniedbanym jest umiejętność modlitwy. Winę za tę

zaniedbaną dziedzinę ponosimy wszyscy, my - kapłański Lud - Boży, lecz także z powodu zaniedbań w grupie kapłaństwa służebnego. Właśnie kapłani-spowiednicy są zapytywani o modlitwę i oni oceniają jej przebieg i poziom w duszy zwierającego im tę sprawę człowieka.

Często penitenci oskarżają się, że nie odmówili tak zwanego pacierza, że nie mogli się skupić, że tylko stać ich było na pobożne akty strzeliste, że czasem będąc w kościele tylko myśleli o Bogu, lub nawet nie myśleli, a tylko byli w stanie przejęcia, tęsknoty do Boga, niepokoju, czy Bóg ich kocha, świadomości swej ogromnej grzeszności. Odpowiadając na te trudności spowiednicy na ogół przymuszają do modlitwy ustnej, do rannego i wieczornego pacierza, nie dostrzegając, że penitent zwierza im wyższe etapy modlitwy, których nie uświadamia sobie i nie rozumie. Odchodzi w przekonaniu, że trzeba niszczyć to, co w nim się dzieje.

Tymczasem zaczęło się w duszy danego człowieka intensywniejsze powiązanie z Bogiem. Już nie wystarczają słowa i już nie zawsze są potrzebne. Już nawet ktoś minął modlitwę myślną i trwa w modlitwie nabytego skupienia. Jest wobec Boga bez słów i rozumowań z miłością skierowaną do Boga i chłonącą Boską obecność.

Boć przecież, gdy pogłębia się przyjaźń między Bogiem i człowiekiem, zmienia się także sposób jej przeżywania i wyrażania. Przyjaźń jest na tym etapie, że już nie wymaga słów i przemyśleń, już więc człowiek mija modlitwę ustną i myślną wyrażając Bogu miłość w uproszczonej modlitwie uczuciowej, to znaczy w częstych, niekiedy nieustannych tak zwanych aktach strzelistych. Po tym sposobie wyrażania Bogu miłości następuje modlitwa miłującego wejrzenia na Boga, nazywana też modlitwą nabytej kontemplacji, polegającej na trwaniu przed Bogiem całą swą osobą. Te cztery odmiany modlitwy możemy sami w sobie wypracować pogłębiając zaprzyjaźnienie z Bogiem. Lecz nie możemy na tych etapach poprzestać.

Przecież to Duch Święty w nas pogłębia naszą miłość do Boga i modli się w nas do Ojca naszą doskonalszą miłością. Duch Święty rozwijając nasze powiązanie z Bogiem powoduje, że Bóg przemienia też naszą modlitwę. Jest ona teraz modlitwą nadprzyrodzonego skupienia lub modlitwą kontemplacji wlanej czynnej. Dalszym etapem jest modlitwa odpocznienia lub modlitwa ukojenia, czyli kontemplacji wlanej biernej. Znaczy to, że Bóg w nas powoduje skierowanie do niego naszego intelektu i

naszej woli, która już uzgodniła wszystkie swe tęsknoty z życzeniami Boga. Wreszcie następuje modlitwa prostego zjednoczenia, gdy człowiek, nabywa pewności, że Bóg jest w nim obecny. Modlitwa ta wywołuje wielką skruchę z powodu grzechów, rozumienie cierpień Chrystusa i pragnienie, aby inni ludzie poznali i umiłowali Boga.

To pragnienie pozwala nam czynić dobroć przez przesunięcie siebie na drugie miejsce i autentyczną troskę, aby nasza miłość otwierała ludzi na miłość Boga.

Ten właśnie etap jest nam wszystkim potrzebny, byśmy byli w stanie spełnić obowiązki, wynikające z naszego udziału w kapłaństwie Chrystusa.

Jakże często z winy spowiedników musi zatrzymać się w rozwoju miłość człowieka do Boga, nie dopuszczona do sposobów pełniejszego powiązania z miłością Bożą. Jakże dobrze trzeba znać teologię dogmatyczną i ascetykę, a nawet mistykę, aby w Kościele dorastali święci, aby ludzie wyszli z etapu katechumenatu, na poziomie którego spowiednicy usiłują trzymać Lud Boży. Spowiednik musi umieć rozpoznać, czy brak modlitwy ustnej i myślniej jest zaniedbaniem penitenta, czy też znakiem jego religijnego dojrzewania. Bo jeszcze Duch Święty prowadzi dalej: do modlitwy oschłego i bolesnego zjednoczenia, wyrażających się w pełnej cierpienia tęsknocie człowieka do Boga, by wreszcie pojawiła się najdoskonalsza modlitwa zjednoczenia ekstatycznego, w którym dusza ludzka jest już całkowicie porwana światłem i miłością Boga.

I dodajmy, że nie chodzi tu o nazwy tych etapów modlitwy, o taki właśnie ich podział. Można je inaczej nazwać i wyróżniać. Chodzi o to, że miłość człowieka do Boga jest procesem wzrostu zaprzyjaźnienia, że to zaprzyjaźnienie pogłębia się, że wobec tego zmienia się wyrażanie Bogu miłości. I chodzi o to, aby wspomagać ten rozwój, to pogłębienie. Nie wolno nam zatrzymać miłości ludzkiej na sobie, lecz otwierać ją na nieskończoność, akceptować jej przemiany. To są nasze funkcje kapłańskie: powodować spotkanie miłości ludzkiej z miłością Boga i pomóc miłości danego człowieka uzyskać pełne zjednoczenie z Bogiem.

4. Wołanie o mistyczne doświadczenie Boga

Dalszą zaniedbaną dziedziną jest mistyka chrześcijańska. Przecież w naszych czasach, w środku chrześcijańskich społeczności, młodzież pyta o mistyczne doświadczenie Boga. Sięga po mistykę. Sięga do klasyków katolickich, lecz także, gdy

jest pod wpływem nurtów hippizujących, sięga do tekstów teologii i poezji Wschodu, głównie hinduizmu, a niekiedy - myląc się już całkowicie - do narkotyków przypuszczając, że ten środek poszerzy ich świadomość o możliwość ogarnięcia i doświadczenia także Boga.

Może więc nie należy zaniedbywać wiedzy o mistyce, rozpoznawania jej, uprzystępniania pytającym o nią, poszukującym wielkiego wymiaru chrześcijaństwa. Ten wymiar jest nieskończony. Zamknięcie tęsknot duszy ludzkiej w małym świecie prymitywnych ćwiczeń ascetycznych, w początkowych etapach modlitwy, to znaczy z powodu braku wiedzy i naszej niedoskonałej przyjaźni z Bogiem uniemożliwianie ludziom pełnego wzrostu, z rozmachem budującej się relacji z Trójcą Świętą, jest już nie tylko zaniedbaniem.

Z naszej winy Bóg nie może w swym Kościele uzyskać świętych. Swoim złym nauczaniem zabramy im wzrostu, zniechęcamy akcentowaniem marginesowych spraw w powiązaniu człowieka z Bogiem, nie ukazujemy wielkiej pełni i szans ludzkiej miłości, która cierpiąc tęskni i nie wie, że Bóg jest w stanie dać jej urzekający, największy wymiar. Nie umiemy pełnić posługi kapłańskiej.

Zaniedbaliśmy rozwijającą człowieka modlitwę i mistykę. O tych zaniedbanych dziedzinach świadczy inna jeszcze, zaniedbana dziedzina pokuty.

5. Istota pokuty

Wciąż jeszcze, po wielu latach naszego kontaktu z ludźmi, po wielu latach naszego proboszczowania, ludzie spowiadają się, że nie przystąpili do komunii, ponieważ np. nie opanowali zdenerwowania. Spowiadają się z zagadnień charakterologicznych, z wykroczeń przeciw *savoir-vivre*'owi. Nie znają teorii grzechu. Nie wiedzą, czym jest grzech, a to powoduje, że wystraszeni oddalają się od Boga, zaniedbują kontakty z miłością Bożą, wpadają w oziębłość religijną, i bardzo często w niewiarę.

Pałącą potrzebą jest wyjaśnienie istoty grzechu i nauczenie ludzi zaufania Bogu, aby człowiek nie uciekał od miłości Bożej, lecz szukał w niej oparcia tym bardziej wtedy, gdy powali go grzech. Człowiek ucieka, gdyż brak wiedzy lub zła teologia uniemożliwiają mu przełamanie oporów. Ponieważ miłość jest możliwa tylko w

warunkach wolności, gdyż jest darem ofiarowanym przez nas Bogu. Bóg nie może przymusić do miłości, chyba że znając intencje i dobrą wolę człowieka lub na skutek czyichś modlitw wkracza powodując nagle nawrócenie.

Wszystkim nam jest potrzebne to prawdziwe nawrócenie, czyli zmiana myślenia, faktyczna „metanoia”. Zmiana myślenia jest zmianą motywów i samej decyzji zaufania Bogu w takim stopniu, aby obdarować Go aż naszą miłością, pełnym darem swej osoby. To prawdziwe nawrócenie, ta zmiana myślenia, a więc i ufność, i odwaga, i wybór Boga, są istotą pokuty.

Pokuta - to wybór Boga. Ten wybór często staje się możliwy tylko wtedy, gdy rozpoznamy wielkie perspektywy naszej wolności i naszej miłości: spotkanie Boga w cierpieniu i radości mistyki, w pełnej modlitwie zjednoczenia, które jest świętością. Bóg jest święty i każdy z Nim pełny kontakt czyni kogoś podobnym do Boga, czyni go świętym.

6. Inne zaniedbane dziedziny duszpasterstwa

A zaniedbane dziedziny mniej centralne, to właśnie nasz wciąż niski poziom wiedzy teologicznej, nieumiejętność odróżnienia zalet charakteru, dobrego wychowania i naturalnej dobroci człowieka, od tych tak zwanych cnót wlnych, czyli spowodowanych w nas przez Boga sposobów naszego kierowania się ku Niemu, i od darów Ducha Świętego, które mając podobne nazwy są sposobami naszego odbioru obecności mieszkającego w naszej duszy Boga. Mylimy różne poziomy naszej posługi duszpasterskiej: jest to działalność psychologiczna, socjologiczna, pedagogiczna, charakterologiczna, kulturalna. Bardzo rzadko jest to także działalność dotycząca tych wydarzeń, religijnych, które nazywaliśmy rodzajami modlitwy, owocowaniem darów i samym zamieszkaniem w nas Trójcy Świętej.

Zaniedbujemy także umiejętność kontemplacji naturalnej, jako rozpoznawania istoty spraw i rzeczy, zaniedbujemy więc troskę o rozwój wiedzy filozoficznej, która dostarcza koncepcji człowieka. Stosujemy niezgodne z faktycznym człowiekiem filozoficzne opisy jego ontycznej struktury.

A przecież skuteczność działalności duszpasterskiej, posługiwanie się naszym kapłaństwem, tak często zależy od funkcjonującej w danej kulturze, czy okresie

historycznym, koncepcji człowieka, a w związku z tym od celów ascetyki, czyli pedagogiki pastoralnej. Zawsze tym celem jest, oczywiście, świętość. Jakże jednak często jej realizowanie zależy od modelu świętości, wyznaczonego w dużym stopniu ideałami i potrzebami danych czasów. Od tych czasów, od niezdystansowanej kultury zależy to, że wolność człowieka i kierująca się do Boga miłość zamiast rozwijać się w kierunku pełni spotkania z Bogiem musiała mieć kształt np. monastyczny, pustelniczy, ekumeniczny, obecności w świecie, czy jeszcze inny. Tylko najmocniejsi wtedy zwyciężają i ci, których Bóg sam ukształtuje wbrew czasom, wbrew modelom, wbrew poziomowi teologii, często wbrew psychicznej warstwie człowieka. Uświęci nas dla naszego dobra, a więc z bezinteresownej dobroci, z wielkiej miłości.

Oby te zaniedbania wobec innych, nie obróciły się przeciw nam. Obyśmy nie musieli pozostać na etapie religijnego przedszkola. Oby Bóg pozwolił nam uzyskać pełnię miłości wnosząc ją w wewnętrzne życie Trójcy Świętej.

III. O MIŁOŚCI I CIERPIENIU

1. MIŁOŚĆ JEST CIERPIENIEM

Przez teologię miłości rozumiem teorię przenikania się objawionych życzeń Boga z nieskończonością ludzkich tęsknot do nieutralnego przedmiotu miłości.

Nieskończonością tęsknot nazywam swoistą intuicję ostatecznego ludzkiego losu, pragnienie i wyczuwanie przez ludzkie serce pełni miłości, spełniającej się w Bogu, który jako Miłość podejmuje nasze dążenia i utrwalając swoje powiązanie z nami utrwali także miłość wiążącą osoby ludzkie.

Zrozumienie tego wszystkiego prowadzi do szeregu zagadnień, z których jedno nosi imię cierpienia.

Przez teologię cierpienia rozumiem uchwycenie sensu tego, co przeżywa człowiek w swej najgłębszej tajemnicy duszy, w samopoznaniu siebie, w samoocenie, w swych udrękach i najmocniejszych pasjach życia.

Tą podstawową pasją jest pragnienie nieutralnego trwania miłości, przełamanie więc bariery, która zamyka nas w skończoności, w przemijaniu, w tym, co niedoskonałe, małe, oddzielające od czystego piękna, od czystej poezji spotkania się kochanej i kochającej miłości. To pragnienie przełamania bariery czasu nie jest możliwe do zrealizowania bez wkroczenia w inną, nieprzemijającą rzeczywistość, o której informuje nas Bóg w swym Objawieniu. Miłość ludzka, która tęskni do nieutralności przedmiotu swych dążeń, usiłuje tam się kierować, tam dążyć, tam przebywać.

Niełatwo jednak pojąć drogę, którą dochodzi się do Boga.

Najczęściej wydaje się nam, że należy przemienić i w jakimś stopniu utracić swe człowieczeństwo, porzucić ludzkie ukochania, pozrywać przywiązania, aby stać się czymś boskim, czymś swoście zdolnym do kontaktu z Bogiem. I człowiek boi się tej drogi. Boi się słusznie, gdyż jest to błędna droga.

Miłość ludzka jest zawsze miłością do człowieka. I Bóg nie odbiera nam tej miłości. Bóg tylko wprowadza w nią swoją miłość, osobno dla nas stworzoną, jako teren swej w nas obecności. Ta nasza ludzka i ta dana nam przez Boga miłość stanowią jedną, naszą miłość, złożoną jednak z dwu rzeczywistości. Obie te rzeczywistości kierujemy

do człowieka i do Boga. Swoją ludzką miłością w pełni ogarniamy miłość człowieka, a miłością nam daną w pełni ogarniamy Boga. I Bóg chce, abyśmy przeżyli prawdziwą i pełną miłość do Niego i do człowieka. Nie odbiera więc komuś przez nas kochanemu miejsca prawdziwego, jedyne i pierwszego przedmiotu wyboru. Sam też nie traci pozycji pierwszego, prawdziwego i jedyne przedmiotu ukochania.

Wiemy to wszystko, lecz ostatecznie niełatwo nam trwać w miłości. Miłość zarówno do Boga, jak i do człowieka, są narażone na wiele niebezpieczeństw. Wymagają swoistej walki, trudu. Sprawiają mękę, cierpienie.

Najboleśniej jest często lęk, że nie jesteśmy kochani. Cierpimy właśnie lękając się, że ktoś kochany nas nie kocha: że nie kocha nas Bóg, do którego tęsknimy, i że nie kocha nas ten ktoś z ludzi, obdarzony całą nadzieją naszego serca, darem najgłębszej miłości.

Cierpimy także lękając się, że miłość do człowieka wyklucza miłość do Boga, lub że miłość do Boga wyklucza miłość do człowieka. Tymczasem tak nie jest. Miłość do człowieka nie wyklucza miłości do Boga. Miłość ludzka, otrzymująca stworzoną miłość do Boga, tę Boską miłość utrwała w naszym przeżyciu, w naszych tęsknotach. Miłość do Boga rozwija się, gdy kochamy człowieka, a miłość do człowieka pogłębia się, gdy kochamy Boga.

Może kiedyś będę mógł napisać teologię miłości i radości, tej radości, którą wywołuje miłość, gdy kochamy i jesteśmy pewni, że także nas kocha ktoś wybrany: człowiek i Bóg. Teraz jestem w stanie napisać tylko teologię miłości i cierpienia.

Gdy się cierpi, wydaje się, że wszystko jest cierpieniem.

Wszystko jest cierpieniem, gdy ktoś z ludzi przez nas ukochany jest nieobecny, gdy nie otrzymujemy potwierdzenia jego miłości, gdy nie pociesza naszej samotnej miłości swoją czułością i dobrocią.

Wszystko jest cierpieniem, gdy Bóg pozostaje ukryty za obłokiem wiary, gdy szuka Go nasza tęsknota, gdy wciąż jeszcze nie widzimy Go „twarzą w twarz”.

Ostatecznie więc tu na ziemi jesteśmy samotni i bezbrannie samotna jest nasza miłość.

Czym jednak jest miłość? Jeżeli jest przyjaźnią i radością, to dlaczego cierpimy? Może i radość jest cierpieniem? Może cierpieniem jest także miłość? Może jednak

wszystko jest cierpieniem? Trudno to rozstrzygnąć. Wiemy jednak, że miłość bywa także cierpieniem.

Miłość bywa cierpieniem, gdy w myśleniu i odczuwaniu człowieka funkcjonuje ujęcie, umęczające ludzi od dawna, wniesione przez teologię zbyt przechyloną w kierunku neoplatońskiej teorii rzeczywistości i teorii człowieka. W myśl tego ujęcia kontaktujemy się z Bogiem poprzez szereg bytów pośrednich i wobec tego nasza miłość do człowieka jest tylko drogą do ukochania Boga. Zwolennicy tej teorii często sądzą, że nasza pełna miłość do Boga wymaga rezygnacji z naszej osobistej miłości do człowieka.

Sprawa, oczywiście, nie jest prosta i wymaga szeregu rozróżnień, rozpoznania właściwych relacji między człowiekiem i człowiekiem oraz między człowiekiem i Bogiem. Przy pomocy tych rozróżnień można podjąć trudność w naszym życiu religijnym: jak pogodzić pełną miłość do ukochanego człowieka z pełną miłością do ukochanego Boga? Jak właśnie ocalić miłość, która w pełni kierując się do człowieka. i zostając przy nim ogarnia także Boga?

Te dwie miłości, pełne dynamizmu i napięć, przynosząc radość nie uwolnią jednak od cierpienia, gdyż miłość jakże jednak często jest także cierpieniem.

2. MIŁOŚĆ

Miłość jest darowaniem komuś naszej obecności, troski, uwagi, życzliwości. Jest niekiedy naszym rozumnym odejściem, oczekiwaniem. Jest także przyjęciem czyjejś obecności, troski, uwagi, życzliwości, lecz także przyjęciem odejścia, oczekiwania. Jest radością,

bólem, tęsknotą, naszą wyrozumiałością, opieką, dobrocią, cierpliwością, pomocą, nadzieją, uwierzeniem komuś i zawierzeniem swego losu. Jest całą osobą ludzką, stanowiącą właśnie dar, zaproponowany komuś, kto spełnia marzenia, towarzyszy w cierpieniu, wzrusza.

Taki dar możemy składać wielu ludziom i musimy go składać, ponieważ każdy człowiek zasługuje na miłość. Nie każdy jednak w tym samym stopniu spełnia nasze marzenie, nie każdy chce towarzyszyć nam w cierpieniu, nie każdy w tym samym stopniu nas wzrusza. I wśród osób kochanych tym różni się człowiek bliski od innych,

mniej bliskich osób, że jest kimś niezastąpionym, jedynym. Jest naszą miłością w tym sensie, że podejmując dar naszej miłości jest także darem dla nas.

3. WIERNOŚĆ

Wierność jest trwaniem miłości. Wszystko inne jest tylko sumą środków podtrzymujących to trwanie.

Wśród tych środków są takie, które mogą zmniejszyć powiązanie i są takie, które to powiązanie zwiększają. Sami rozstrzygamy, którymi znakami kogoś obdarować. Należy przynosić te dary, które nie niszczą trwania miłości, lecz je zwiększają.

Wierność nie jest jednak fizycznym miejscem, słowem, gestem. Jest wewnętrzną postawą, jest losem duszy, sensem ludzkich powiązań, które tylko zdobimy znakiem gestu, uśmiechu, słowa. Tych znaków, zewnętrznego wyrazu, jednego słowa pragnie się niekiedy, gdyż przecież nie można wnikać w czyjeś serce, odczytać tam wprost miłości. Tę miłość trzeba objawić, trzeba dać znak, że dar miłości został przyjęty.

Jeżeli wierność jest trwaniem miłości, to jest czymś więcej niż przeżyciem miłości. Jest właśnie tą wewnętrzną postawą, losem duszy, sensem ludzkich powiązań. Jest więc nową rzeczywistością w nas i poza nami, jest czymś ontycznym, jest relacją, która wiąże na długo lub na zawsze. Jest tym terenem, na którym mieszka w nas miłość Boża. Miłość jest tym terenem, lecz właśnie miłość trwała. Wierność, czyli trwanie miłości, jest konieczną własnością miłości, jest czymś więcej niż jej przeżywanie.

4. WYŁĄCZNOŚĆ

Wyłączność należy do porządku przeżywania. Przeżywając miłość sądzimy, że dar jest niepowtarzalny, że kochając jeszcze kogoś poza osobą wybraną, zdradzamy tę osobę dzieląc się miłością jeszcze z kimś innym. A przecież jednocześnie kochamy rodziców, rodzeństwo, swoje dzieci, swych przyjaciół, wielu więc ludzi.

Niepokój, że kogoś pozbawiamy miłości kochając także innych, problem więc wyłączności, pojawia się wtedy, gdy utożsamiamy miłość z sumą środków, podtrzymujących jej trwanie, gdy słowo, gest, czułość, ofiarowane kwiaty, uważamy za część lub całość przeżywanej przez nas miłości. Niełatwo oddzielić znak od tego, co oznacza,

niełatwo wyrażać miłość przy pomocy różnych znaków, innych dla każdej z kochanych osób. Niełatwo przeżywać miłość do dwu osób.

Miłość zawsze przywołuje miłość, lecz nie zawsze ją powoduje. Nie zawsze bowiem przywoływana miłość staje się dla nas darem. I nie zawsze umiemy przeżyć zarówno dar miłości, jak i brak daru.

Nie umiemy rozdzielać znaków, wyrażać miłości inaczej, wobec każdej z kochanych osób. Przeżywanie miłości, jej więc wyłączność, nie musi pociągać za sobą zmiany w ontycznych relacjach, w trwaniu miłości wobec kilku osób. Miłość właśnie jest czymś więcej niż przeżywaniem naszych powiązań z ludźmi.

Wyłączność więc jest sytuacją tylko psychiczną. Jest sposobem rozdzielania znaków. Stanowi trudność w porządku psychicznym.

Może problem wyłączności sprawia kłopot dlatego, że ujmujemy wyłączność w modelu tylko małżeńskim. Tymczasem sprawa wyłączności inaczej wygląda w małżeństwie i poza małżeństwem, np. między rodzicami i dziećmi. W obydwu jednak wypadkach jest sprawą rozdzielania znaków. A może problem wyłączności w miłości jest głównie sytuacją prawniczą? Może za dużo miejsca daliśmy mu w naszym przeżywaniu?

Owszem, przeżywamy wyłączność, lecz przeżywamy także wierność, miłość, cierpienie. Każde z tych przeżyć dotyczy innego przedmiotu, jakiejś sytuacji spoza psychiki. A wyłączność wynika nie z tego, że kogoś obdarowaliśmy miłością, lecz że zobowiązaliśmy się wobec siebie, wobec kogoś, lub wobec prawa, objawiać mu swoją miłość sumą określonych znaków. Nie wynika z tego, że w tym samym czasie, gdy Kochamy kogoś, mamy nie kochać innych ludzi, rodziców, dzieci, przyjaciół.

Jeżeli więc obowiązuje nas miłość wobec wszystkich ludzi, miłość wobec bliźniego, to wyłączność nie dotyczy miłości, lecz porządku środków, z których niektóre rezerwujemy wyłącznie dla kogoś jednego.

Nie należy wobec tego bać się obdarowywania znakami miłości. Ich przeżywanie, a więc wyłączność znaku nie chroni miłości. Chroni ją tylko wierność, która jest własnością miłości, jej realnym trwaniem. Wyłączność jest tylko sposobem rozdzielania znaków. Należy do porządku przeżycia i do porządku prawa. Jest wobec miłości czymś zewnętrznym. Jest często tylko zwyczajem i ascezą.

5. CIERPIENIE

Cierpienie, zadane przez miłość, jest brakiem czyjejś obecności, brakiem potwierdzenia tej obecności, brakiem potwierdzenia przez znak uśmiechu, przez gałązkę kwiatu, że jestem w tym czyimś sercu i że dla kogoś, dla wzrostu i rozwoju jego duszy, dla sensownego życia, jest konieczny dar mojej obecności, mojej troski, uwagi, życzliwości, mojego oczekiwania, mojej radości, tęsknoty, wyrozumiałości, opieki, dobroci, mojego oddania, przywiązania, zawierzenia komuś.

Cierpienie jest dalej umieraniem nadziei, gdy trwa miłość. Jest także odbieraniem tej miłości daru znaków, bez których nie można poznać, czy dla kogoś jest konieczny ten dar, którym jestem.

Cierpienie to miłość, która nie może spotkać czyjejś miłości w mej duszy i która nie może w czyjejś duszy spotkać się z miłością tej osoby kochanej. Jest to miłość bez wyrażanych relacji, samotna miłość, jakaś wewnętrzna sprzeczność losu. Jest to także uwięzienie duszy. Jeżeli miłość jest wejściem w czyjeś serce, zamieszkaniem, pobylem, opuszczeniem siebie, aby uczynić miejsce dla wniesionego daru przywiązania i obecności, to samotna, niepodjęta miłość jest właśnie więzieniem duszy.

Może jednak cierpienie da się najtrafniej określić słowami: brak obecności. Wtedy właśnie naszych słów nikt nie słyszy. Jest smutek, uniemożliwiający wytchnienie, ciszę, ład; smutek, który niszczy miłość, lecz poprzez który widać miłość oraz cierpienie.

6. SMUTEK

Smutek nie stwarza warunków wytchnienia, ciszy, ładu. Jest wprawdzie jakąś przerwą w pośpiesznej podróży do czyjejś miłości, stacją kolejową na długiej trasie, przystankiem autobusowym, chwilą rozmowy z kimś, kto odchodzi i zostawia nas samych na długie godziny myślenia o tym, co właśnie teraz najbardziej boli. Smutek nie pozwala odpocząć.

Odpooczywają dzieci, ponieważ dzieciństwo jest najczęściej pogodne i szczęśliwe, nawet gdy w ciągu dnia dziecięca tragedia wywoła łzy. Ktoś kochający otrze łzy, a sen uspokoi prawdziwe, lecz maleńkie burze.

I odpooczywają zakochani. Przenoszą się w swoje marzenia, w swój sen o szczęściu, które już się zaczęło; w marzenie o tym, co przyjdzie, i w sen, który pozwala przeżywać zdarzenia dnia o wiele piękniej niż na jawie, zdarzenia piękne: czyjąś obecność, jakiś list wielokrotnie odczytywany, którego nastrój przeniesiony w sen i w marzenie jest projektem naszych pięknych zdarzeń na jutro. Odpooczywają, ponieważ miłość stawia nas w terażniejszości, jest jakąś ciągłą terażniejszością, w której nie liczy się przeszłość i przyszłość, w której więc nie działa lęk o los miłości. Taki lęk ma swe źródło w refleksji nad przyszłością, w oglądaniu zmieniających się kształtów życia i taki lęk trwoży. Miłość uwalnia od lęku o przyszłość, ponieważ jest dokonaniem się losu człowieka, spełnieniem snu i marzenia, jest szczęściem.

Często jesteśmy poza dzieciństwem, lecz nie jesteśmy poza miłością. Nie przenosimy się w sen i marzenie. Często jednak uciekamy w smutek, zatrzymujemy się jak gdyby na stacji kolejowej długiej trasy przeżyć, na autobusowym przystanku.

Smutek nie jest wytchnieniem, ciszą, ładem. Jest jednak chwilą refleksji, rozmową, która pozwala przewinąć bolesną ranę, zadaną przez miłość. Nie należy dotykać rany, zbyt boli. Należy ją jednak przewinąć rozmową, marzeniem, oczekiwaniem, gdyż życie jest oczekiwaniem, wędrówką po drogach poezji i realnych zdarzeń, po snach i marzeniu, po torach serca i intelektu, po ścieżkach szczęścia i cierpienia. Należy śledzić zmieniający się kształt życia, gdy lękiem, niby narzędziem, wnikamy w los miłości, w przyszłość serca.

Wszystkie sprawy świata mogą zadać cierpienie, mogą zranić. I może nas zranić miłość. Trzeba tę ranę przewijać, aby ulżyć męce i aby pokazać sobie i innym cierpiącym, że jest lekarstwo na cierpienie, ponieważ właśnie jest miłość.

7. KONIECZNOŚĆ MIŁOŚCI

Nasza miłość do człowieka jest koniecznym terenem spotkania Boga.

Nasza ludzka, naturalna miłość, cała i bez reszty kieruje się do człowieka, jako do swego ostatecznego celu. W pełni dosięga człowieka, przenosi nas w jego duszę, a

jego duszę czyni darem dla nas. Gdybyśmy nie kochali ludzi, nie byłoby w nas terenu, na który Bóg wnosi stworzoną dla nas osobną miłość, pochodzącą od Niego, miłość nadnaturalną, którą jako swoją własną, lecz udzieloną nam przez Boga - możemy Go osiągnąć.

Samą naszą ludzką miłością nie wejdziemy w rzeczywistość Boga. Możemy odkryć Go swym intelektem, możemy wiedzieć, że jest, poznawać Go, nawet kochać naturalną miłością. Zawsze jednak będzie to kontakt zewnętrzny.

Spotkanie osobowe, realne powiązanie z Bogiem, obecność w nas Jego osoby i naszej osoby w Bogu, są możliwe wyłącznie przy pomocy środków, udzielonych przez Boga, przy pomocy nadnaturalnej miłości, powodującej realny kontakt osób: ludzkiej i Boskiej.

Taki jest porządek przyczyn. Tym, co ludzkie, można osiągnąć człowieka. Tym, co boskie, dosięgamy Boga. To, co jest w nas boskie, nie pochodzi od nas, mimo że jest nasze, dane nam do naszej dyspozycji i zapodmiotowane w naszej duszy. Dodajmy też, że to, co duchowe, nie jest jeszcze boskie. Z tego względu nie możemy działać ponad miarę naszej natury. Swoimi siłami nie możemy wtargnąć na teren miłości Boga.

Miłość Bożą możemy tylko otrzymywać. Jest ona także darem dla nas, tak jak darem jest czyjaś miłość ludzka, nam ofiarowana. Bóg musi wnieść w nas swoją miłość, abyśmy mogli Go ukochać. Także przecież ludzi kochamy ich miłością, którą wnoszą w nasze serca. Nasza miłość jest w ich sercach i kochają nas naszą miłością w nich obecną. Wtedy właśnie kochamy kogoś na jego miarę, według jego tęsknot i życzeń, gdyż jego w nas obecną miłością. I podobnie nas ktoś kocha na naszą miarę, naszą w nim obecną miłością. Mamy więc prawo powiedzieć, że ktoś jest naszą pełną miłością.

Jakże więc potrzebna jest obecność osób kochanych: sakramentalna obecność Boga i bezpośrednia obecność ludzi. Obecność ta jest znakiem, że miłość stała się darem. Brak obecności jest lękiem, że nie ma miłości. Ten brak rani, sprawia ból, jest pustką, wrywaniem z serca darowanej miłości, która jest naszą miłością. Jest więc wrywaniem czegoś, co stanowi część duszy. Jest odbieraniem sensu życia, pozbawianiem osoby ludzkiej jej losu i przeznaczenia.

8. PRZYJAŹŃ

Miłość jest obecnością czyjejś miłości w naszej duszy. Jest więc wewnętrzną w nas obecnością osoby, będącej dla nas darem, Jest wspólnym losem, powiązaniem najgłębszych tęsknot i sensu życia.

Przyjaźń jest obecnością osób bez wniesienia w czyjąś duszę swej miłości. Jest patrzaniem jednej miłości na drugą, zatrzymaniem swej miłości w swym sercu i tylko otwarciem drzwi serca, aby zachwycać się pięknem miłości zdobiącej przyjaźniące się z nami serce.

Przyjaźń więc jest tylko wymianą piękną miłości, przyjęciem w swoje serce właśnie piękna czyjejś miłości, jej odblasku. Nie jest wymianą samej miłości. Jest obdarowaniem kogoś tylko pięknem miłości.

Może się zdarzyć, że jest w kimś nasza miłość, przyjęta od nas jako dar. I może nie być w nas miłości osoby obdarowanej przez nas miłością. Może być w nas tylko piękno jej miłości, to piękno, które oglądamy w czyimś otwartym dla nas sercu. Wtedy kochamy, lecz nie jesteśmy kochani. Może też być odwrotnie: może się zdarzyć, że jest w nas przyjęty przez nas dar czyjejś miłości, lecz w tym kimś jest tylko piękno naszej miłości, gdyż nie darowaliśmy samej miłości. Jest wtedy także pełna przyjaźń, lecz nie jest to pełna, wzajemna miłość.

Odkrycie tej prawdy, że nie ma w nas czyjejś miłości, że nasza miłość w nas jest samotna, sprawia cierpienie. Przyjaźń łagodzi to cierpienie. Jest nie tyle obietnicą miłości, ile jest oglądaniem miłości. Nie jest jeszcze miłością. Jest odblaskiem w naszej duszy czyjejś miłości.

Cierpimy nie tylko wtedy, gdy za dar naszej miłości, przyjętej przez kogoś do jego duszy, nie otrzymujemy daru jego miłości. Cierpimy, gdy nie otrzymujemy nic lub tylko piękno tej wytęsknionej miłości, oglądane w otwartym dla nas czyimś sercu. Cierpimy także, gdy wniesiemy do naszego serca dar czyjejś miłości i nie dajemy w zamian swojej miłości, lecz tylko otwierając serce dzielimy się pięknem oglądanej przez kogoś naszej miłości. Przyjaźń więc nie uwalnia od cierpienia i może sprawiać cierpienie.

9. MAŁŻEŃSTWO

Małżeństwo skupia wiele różnych porządków.

Jest najpierw takim ślubowaniem miłości, które stawia sobie za cel tworzenie życia. Jest więc sytuacją społeczną, jest utworzeniem wspólnoty.

Jest jednocześnie sytuacją prawniczą, podjęciem uprawnień i obowiązków, wynikających z tego, że przekazywanie życia zostało objęte przykazaniami Bożymi i przepisami prawa, które gwarantują nowemu życiu powstanie i rozwój.

Jest także sytuacją nadprzyrodzoną, jest wprost sakramentem, czyli zbawczą obecnością w nas Chrystusa, który - przywołany ślubowaniem miłości małżeń-skiej - udziela nam nadprzyrodzonej zdolności do upodobnienia się do Boga przez udział w Jego stwórczej mocy.

I małżeństwo jest sytuacją psychiczną, wypływającą z wyboru życia w takiej wspólnocie, którą wyróżnia swoista jedność przeżywania tych samych wzruszeń, tej samej odpowiedzialności za nowe życie i za właściwy w tych warunkach duchowy rozwój współmałżonka i dzieci, rozwój ich miłości.

Małżeństwo konstytuuje się w chwili przyrzeczenia, wyrażonego publicznie, a więc wobec świadków, wyrażonego sobie przez małżonków i tym samym składanego Bogu. Oparte na tym przyrzeczeniu jest wobec tego w dużym stopniu sytuacją prawniczą, utworzeniem nierozzerwalnej wspólnoty.

I może właśnie ta wielość różnych porządków, skupionych w małżeństwie, jest powodem obserwowanego dziś kryzysu małżeństwa, którym się martwię, którym martwi się Sobór Watykański II.

Dostrzegając ten kryzys Sobór postawił przed małżonkami obok rodzicielstwa także wzajemną miłość jako cel ich wspólnoty. Właśnie niepokoje i zdumiewa paradoks, że w małżeństwie, które miłość spaja i buduje, ta miłość jest zagrożona. Dobra droga ludzkiej miłości jest właśnie w niebezpieczeństwie.

Pojawia się subtelny konflikt między rodzicielstwem i miłością, a dokładniej mówiąc, raczej między macierzyństwem i miłością małżeńską.

Macierzyństwo jest podstawowym, pierwszym, niezwykłym pięknem kobiety. Jest stwarzającą miłością, domem miłości. Jest dla każdego człowieka niezmienną nadzieją wszystkich szans jego losu.

Kobieta-matka jest stałym odniesieniem naszych marzeń o czułości, obecności, trwaniu miłości. Jest światłem dzieciństwa, modelem naszych lat dojrzałych, wzruszeniem naszej starości. Jest ciepłem całego naszego życia.

Macierzyństwo jest jednak wyprzedzone relacją do małżonka. Pojawia się pytanie, stawiane dziś zresztą przez teoretyków miłości, czy żona kocha męża zawsze jako tę oto osobę, tego kogoś wybranego, spełniającego marzenie o miłości, czy też kocha go często dlatego, że wzbudza on potomstwo. Można tak zapytać, ponieważ przecież także nadzieja posiadania dzieci łączy dwoje ludzi, powoduje ich decyzję związania się małżeństwem. I owszem, miłość małżonków tak właśnie owocuje, przedłuża się i utrwała w dziecku. To prawda. Tak jest w metafizyce tej sprawy. Jak jednak wygląda to w przeżywaniu, w psychologii miłości małżeńskiej?

Matka przenosi swą miłość na dziecko i ojciec kieruje swą miłość do dziecka. W płaszczyźnie macierzyństwa i ojcostwa ta miłość słusznie jest skupiona na dziecku. Przynosi radość, szczęście. W tym samym czasie trwa jednak także relacja żony do męża. Kobieta-matka przenosi swą miłość na dziecko i najczęściej całkowicie zdominowana tą miłością nie zawsze dostrzega, że w swym przeżyciu tej miłości związała z dzieckiem sprawę wyłączności miłości. Nie jest w stanie lub nie umie w swym przeżyciu zrezygnować z wyłączności, która tak uparcie towarzyszy miłości i nie daje się od niej oddzielić. Praktycznie jest tak, że miłość, która łączyła małżonków, teraz objęła dzieci. Z tą miłością objęła dzieci także potrzeba wyłączności. Miłość wyłączna łączy teraz matkę z dzieckiem, i taka też wyłączna miłość może łączyć ojca z dzieckiem. Co wobec tego łączy teraz małżonków? Czy tylko nadzieja, że wzbudzą nowe potomstwo? Czy więc łączy ich teraz miłość, czy tylko nadzieja?

Teoretycy miłości obserwują tę dziwną regularność, że pierwszy kryzys pojawia się w małżeństwie często po pierwszym dziecku, gdy właśnie jeszcze nie pragną dalszego powiększenia rodziny. Kryzys małżeński musi więc mieć źródło w tym, że oprócz zadań rodzicielskich nic małżonków nie wiąże. Wiaże ich odpowiedzialność za dziecko, za rodzinę, za własny dom. Raczej więc nie wiąże ich miłość.

I często potrzeba miłości, już teraz nie wymienianej między małżonkami, każe wyjść któremuś z małżonków poza dom w poszukiwaniu kogoś, kto właśnie otoczy troską, uwagą, życzliwością, pomocą, dobrocią, obecnością, darowaną tej oto jednej osobie, bez dzielenia się z kimś drugim, nawet z ukochanym dzieckiem. Niełatwo bowiem żyć bez miłości, danej konkretnie temu komuś jednemu. I to wyjście poza dom najczęściej doświadcza mężczyzn. Gdy bowiem żona cały swój czas i swoją troskę poświęca dziecku, mąż czuje się opuszczony, samotny, pozbawiony miłości. Często nie uświadamia sobie tych subtelnych przesunięć, tych ogromnie delikatnych przekształceń miłości. Kocha żonę i kocha dziecko. Żona wraz z miłością do dziecka skierowała tam wyłączność. Mąż kocha dziecko, które jeszcze przecież nie obdarowuje miłością. Tymczasem człowiek, w tym wypadku mąż i ojciec, pragnie nieustannego daru miłości. Pragnie czułości, tego naturalnego uprawnienia ludzi, Jemu świadczonej uwagi i troski. Kobieta kierując się do dziecka całą swą duszą, całym swym macierzyńskim, jakże mocnym, słusznie dominującym instynktem, nie widzi męża jako osoby najmocniej kochanej. Teraz najmocniej kocha dziecko. Słusznie działa instynkt, słusznie przenosi ku dziecku miłość jego matki. Gdy jednak żona nie ujmuje tych przesunięć, tych nowych dominacji w przeżyciu miłości, pójdzie w swym macierzyńskim powołaniu tak daleko, że wbrew pozorom i zewnętrznym znakom miłości, swej faktycznej miłości nie kieruje do męża. Taka jest struktura przeżycia miłości, uwikłanej w trudny problem wyłączności.

Problem wyłączności dokucza więc najdotkliwiej w rodzinie, w miłości między małżonkami i w ich miłości do dzieci.

Małżeństwo więc wymaga heroizmu, wymaga przetrwania tego okresu skierowania miłości na dziecko, tej dominacji w małżeństwie problemu odpowiedzialności i obowiązku troski o rodzinę.

Gdy jednak ten heroizm zmęczy, gdy tęsknota do tego, abym także ja był kochany, właśnie ja, w tej chwili mąż i ojciec, gdy ta tęsknota stanie się bolesnym wołaniem serca, co wtedy robić? Czy wszyscy są w stanie zdecydować się na cierpienie, wywołane tęsknotą? Nie wszyscy. Takie są fakty. Nie zawsze człowiek jest zdolny wziąć na siebie mękę cierpienia.

Kobiecie łatwiej przetrwać tę mękę, tę mękę tęsknoty do miłości wtedy, gdy mąż całą swą miłość skierował do dziecka zgodnie z instynktem ojcostwa. Kobiecie łatwiej, gdyż moc macierzyństwa i kontakt z dzieckiem, a także radość przeżywania tego kontaktu, są większe niż moc instynktu ojcostwa. Kobiecie wystarczy czułość, delikatność, dobroć, troska męża. Otrzymuje to wszystko, przyjmuje i nie zawsze dostrzega, że nie odwzajemnia miłości. Tę miłość kieruje do dziecka. Z czasem wymienia ją z dzieckiem i ma przeżycie wzajemności. Nie wie, że ta wzajemność jest uszczuplona wobec męża. Mężczyzna ofiarowuje, udziela, lecz pragnie też otrzymywać. Pragnie dla siebie nie tylko czułości, delikatności, dobroci, troski. Pragnie też miłości, która przecież jest czymś więcej niż radość fizycznych spotkań, warunkujących powiększenie rodziny. Miłość jest wciąż i przede wszystkim obecnością kogoś właśnie przy mnie, obecnością jego istotnych spraw, najważniejszych. Jest darem jego nastawień, wyborów. To wszystko otrzymuje dziecko. Nie zawsze to samo jest także darem żony dla męża. I wtedy miłość, nie wciąż, zawsze i bez przerwy ofiarowywana, zaczyna boleć, sprawiać cierpienie przeżywanego braku. Ten brak boli, ta pustka nie wypełniona darem najważniejszego dla mnie wyboru. Boli ta nieobecna we mnie, wyrwana część serca, nie wniesiona w mą duszę ta oto twoja miłość.

Nie zawsze umiemy wnosić całą miłość w serce dwu kochanych osób. A połowiczna lub częściowa miłość nie wystarcza. Nie zawsze żona umie w równej pełni kochać męża i dziecko, i nie zawsze umie to mąż. W potocznym odczuciu wyłączności umie się tylko dzielić miłość, która się nie dzieli. Bardzo rzadko umie się całą i pełną miłością kochać wiele osób. A właśnie tajemnica szczęścia polega na tym, aby żona całą miłość skierowała do dziecka i aby całą miłością obdarowała męża.

I może czymś najtrudniejszym, a zarazem istotnym, jest wyrażanie tej pełnej miłości. Nie jest ono tylko umiejętnością stosowania znaków w każdym wypadku innych. Jest umiejętnością obdarowywania pełną miłością.

Nie należy kryć tej dziwnej psychologii relacji żony do męża. Bardzo często żona, która jest przede wszystkim matką w całym jej dostojeństwie i pięknie, nawet gdy tego nie chce, jednak z racji dominującego w niej macierzyństwa wyznacza mężowi w drabinie rodzinnych wartości miejsce czegoś funkcjonalnego, miejsce narzędzia wprowadzającego koniecznego w rodzicielstwie, lecz ustępującego miejsca wobec tajemnicy

miłości łączącej matkę z dzieckiem. Właśnie nie należy kryć tego faktu. Trzeba go podjąć, aby móc szukać wyjścia, sposobów ratowania miłości małżeńskiej.

Często przecież w tej psychologii, w tym przeżywaniu macierzyństwa i ojcostwa jest źródło pierwszego kryzysu w małżeństwie.

Są i inne, dalsze kryzysy z różnych powodów i w różnych wersjach. A ostatni kryzys pojawia się przecież w tak zwanym okresie przekwitania. Pojawia się wtedy, gdy żona była tylko matką, a mąż tylko ojcem, gdy oprócz zadań rodzicielskich nie wiązało małżonków nic innego. Gdy nie wiązała ich miłość. A potem, gdy zadania rodzicielskie zostały spełnione, gdy związki fizyczne przestały być jednym ze znaków miłości, okazało się, że tej wzajemnej miłości nie ma, że jej zresztą nigdy nie było, lub że już dawno została cofnięta, odebrana, że właśnie nie wiąże osób stanowiących małżeństwo. Wtedy przecież tak często ludzie od siebie odchodzą, tak boleśnie się ranią, tak dotkliwie cierpią.

Trudno żonom kochać w pełni dziecko i męża, i trudno mężom podobnie kochać. Znaczący to, że niekiedy moc macierzyństwa i moc ojcostwa dystansują miłość lub ją tej mocy poddają. Tymczasem miłość jest wartością samą w sobie i ona nadaje sens macierzyństwu i ojcostwu. Nie zadowolą się drugim miejscem. Nie może zająć drugiego miejsca w relacjach międzyosobowych. Nie umniejsza macierzyństwa i ojcostwa. Wzbogaca je, uzasadnia, buduje i zdobi, lecz na swym osobnym miejscu, którego nie chce z niczym dzielić. Chce objąć w ludzkich sercach najistotniejsze tereny. Umie rozwiązać problem wyłączności. Jest pierwsza w człowieku, podobnie jak pierwsze jest macierzyństwo i ojcostwo. Są to dwa pierwsze miejsca, dwa osobne królestwa. I wielość tych królestw składa się na małżeństwo, wielość porządków.

W problemie miłości, a więc w problemie wierności, wyłączności, szczęścia i cierpienia, tym samym w problemie małżeństwa, jakże często przeszkadza jedność i wielość, trudna sprawa nie utożsamienia różnych porządków, pozostawienia wielości, która nie niszczyłaby jedności, rozumianej jako równowaga między wielością spraw, nastawień, akcentów, porządków.

Nie można więc macierzyństwa wynieść ponad miłość, a miłości ponad małżeństwo i rodzinę. Każdej z tych spraw trzeba pozostawić jej ważne miejsce i

każdemu sercu trzeba ofiarować pełną miłość na miarę jego daru miłości. A wszystko w tym celu, aby nie przegrać miłości, aby ją uratować, aby w pełni kochać.

Miłość jest pierwsza, niczym nie zastąpiona. Jest warunkiem trwałego małżeństwa, źródłem rodzinnego szczęścia, atmosferą domu, potrzebną dzieciom, aby dojrzewały i uczyły się miłości, która wymaga osób i ich wzajemności, ich przywiązania, przyjaźni, dobroci. Jest losem osób, sensem życia. Jest całą wartością człowieka, jest człowiekiem jako darem danym drugiemu człowiekowi, dzięki czemu ten kochający człowiek znajduje się w środku kochającego serca, w środku świata.

10. MODELE MIŁOŚCI

Mamy prawo ukochania jednej osoby i zarazem obowiązek miłości wobec wszystkich ludzi. Dany jest nam model miłości rodziców do dzieci, model miłości wiążącej rodzeństwo, model małżeński. Model miłości do każdego człowieka nie jest w pełni sprecyzowany. I wciąż boimy się pomieszania porządków, pomylenia zakresu uprawnień i obowiązków.

Rzeczywiście, sprawy nie są proste. Mamy na przykład prawo do wyrażania i doznawania czułości. Jej wyrażanie nie zawsze narusza porządek moralny, lecz ileż przeżywamy tu niepewności.

Mamy prawo i obowiązek czystości, która jest duchowym stanem osoby, wiernością w miłości. Tego stanu nie narusza życie małżeńskie. Czystość wobec tego nie jest tym samym, co celibat. Zawsze bowiem każdego człowieka obowiązuje czystość, jako wybór i wierność miłości, a nie zawsze obowiązuje celibat. Nie obowiązuje np. małżonków. Celibat więc, podobnie jak małżeństwo, musi należeć do porządku wyrażania miłości. Wszystkich nas obowiązuje miłość, a niektórych - na mocy przyrzeczenia - obowiązuje wyrażanie miłości poprzez małżeństwo lub celibat.

Czystość jest trwaniem miłości i jest wierną miłością. Jest trwaniem miłości do Boga i do człowieka. Musimy bronić miłości przed tym, co narusza jej trwanie wobec Boga i ludzi. Bronimy tego trwania i wierności w ten sposób, że wybieramy zespół środków, wyrażających miłość. Bóg objawił środki wyrażania Mu miłości i objawił prawo wyłączności w przeżywaniu miłości małżeńskiej. Resztę pozostawił naszej

decyzji, którą wobec tego musi wyznaczać medycyna, higiena, estetyka, obyczajowość, prawo, teorie moralności, teorie człowieka.

W teoriach człowieka jest jednak wiele manicheizmu, nieufności wobec wzruszeń, wobec czułości. Jest wiele błędów w odczytaniu człowieka, który stanowi psychofizyczną jedność i którego miłość jest stanem całej jego osoby. Człowiek jest jednością wielu warstw, których nie można mieszać, ani rozdzielać.

W teologicznym ujęciu człowieka jest więcej miłosierdzia, czyli więcej miłości wobec człowieka niż w ujęciach medycznych, obyczajowych, prawniczych. Ujęcie objawione, przekazywane przez teologię, jest pochyleniem się nad ludzką dolą, nad poszukiwaniem przez ludzi dobra, które uszczęśliwia. A uszczęśliwia człowieka tylko pełna miłość: pełna miłość do Boga i pełna miłość do człowieka, miłość wzajemna, wymiana daru serca.

Bóg stworzył nasze istnienie, którym urealnił naszą duszę i nasze ciało. Nasze istnienie, jest więc własnością Boga. Najpełniejszym wyrazem istnienia jest miłość, jako dar nas istniejących, ofiarowanych Bogu i ludziom. Nawet my, nie jesteśmy właścicielami swego istnienia i swej miłości. Jesteśmy tylko ich opiekunami i użytkownikami, którzy w warunkach wolności swoim istnieniem w formie obecności i swoją miłością mogą obdarowywać. Winni obdarowywać, gdyż w ten sposób ujawnia się dobroć Boga: że stworzył nas ze zdolnością miłości.

11. PORÓWNANIE MIŁOŚCI I PRZYJAŹNI

Często mówimy, że darzymy kogoś przyjaźnią, lecz że nie darzymy go miłością. Czym więc jest przyjaźń i czym jest miłość? W czym są do siebie podobne i czym się różnią?

Wydaje się, że miłość jest darem całej osoby ludzkiej, darem jej obecności, troski, uwagi, życzliwości, oczekiwania, przyjścia, niekiedy odejścia, jej radości, tęsknot, wyrozumiałości, opieki, dobroci, pomocy, nadziei, zaufania, wyboru, celem i sensem życia. Ten dar składamy komuś, kto wzrusza, spełnia marzenia, towarzyszy w radości i smutku, kto z tej racji jest nam bliski, niezastąpiony, wybrany.

Przyjaźń nie może być czymś uboższym. Jest więc także miłością.

Zarówno miłość, jak i przyjaźń wymagają wzajemności, wymiany daru osoby.

Wydawało się, że przyjaźnią nazywamy miłość, którą wyrażamy tylko częścią znaków. W tym sensie można było powiedzieć, że przyjaźń jest skutkiem lub porządkiem objawiania miłości, ukazywaniem jej, lecz nie wnoszeniem w czyjąś duszę. Teraz jednak wydaje się, że skoro przyjaźń jest także pełną miłością, to nie mogą jej różnić od miłości sposoby wyrażania. Różni ją więc może tylko przeżywanie tych sposobów wyrażania miłości.

Możemy przecież przeżywać samą miłość, wierność, trwałość, wyłącznieść, radość, cierpienie, i możemy przeżywać sposoby, którymi miłość lub przyjaźń można wyrazić. Obdarowując kogoś prawdziwą, a więc pełną miłością, obdarowujemy go jednocześnie przyjaźnią, która jest miłością, sprawiającą mniej cierpienia.

A może właśnie miłość jest tym darem, który sprawia cierpienie, natomiast przyjaźń jest tą miłością, która sprawia mniej cierpienia.

Przyjaźń jest rzeczywiście tą miłością, której nie towarzyszy bolesna męka tęsknoty za czyjąś nieustanną obecnością. Ofiarowany dar serca nie domaga się w naszym przeżywaniu nowych potwierdzeń. Nie muszą zdobić go kwiaty, gesty, słowa. Te znaki lub niektóre z nich tylko niekiedy ofiarowane wystarczą naszej tęsknocie. Przyjaźń więc jest miłością spokojną, z przewagą radości.

Natomiast miłość sama w sobie, jako więc dar, który sprawia cierpienie, jest potrzebą nieustannej obecności, ciągłego ofiarowywania daru serca i ciągłych potwierdzeń w widzialnych znakach, że się kocha. Tego oczekujemy nie tylko od ludzi, lecz także od Boga. Miłość więc wskazuje na niewystarczalność człowieka, jest procesem przekształceń i doskonalenia duszy przy pomocy dobra i daru, którym jest ktoś ukochany. Miłość jest aktualnym pogłębianiem osoby ludzkiej. Ten proces bywa bolesny i, także dlatego miłość jest związana z cierpieniem.

Przyjaźń wskazuje na większą samowystarczalność człowieka, na jego większą umiejętność samotności.

Miłość jest zabezpieczeniem się przed samotnością, a może bardziej jest porywem serca, które w bolesnej tęsknocie pragnie zawsze nosić w duszy czyjeś serce, zawsze teraz. Jest więc miłość jakąś ciągłą terażniejszością, dokonywaniem się teraz losu człowieka, spełnianiem snu i marzenia.

Przyjaźń jest połączeniem z teraźniejszością przeszłości i przyszłości. Jest całością życia.

Miłość jest wrażliwością na to, co w tym życiu stanowi nieustanną tęsknotę. Jest dniem dzisiejszym, w którym brak kogoś ukochanego wydaje się wiecznością.

Przyjaźń jest oceną i radością przeżywanego daru serca. Jest trwaniem miłości. Przyjaźń wobec tego nie jest oglądaniem miłości w czyimś sercu. Jest właśnie trwaniem miłości, jest wiernością.

Miłość jest zachwytem, który w bolesnej tęsknocie domaga się nieustannej obecności, nieustannego zasilania serca. Bez tego zachwytu ludzkie serce zamiera lub rani je cierpienie. Bolesny problem miłości, która rani.

Jest taka opinia, że w prawdziwej miłości nic się o niej nie mówi. Miłość po prostu jest. Lecz wiemy i to, że miłość wymaga obecności, która jest jej potwierdzeniem. Miłość właśnie wymaga potwierżeń, ujawnienia się w słowach i czułości, nawet wtedy, gdy trwa, gdy nie budzi wątpliwości. Trwanie miłości jest jej stanem ontycznym, który przeżywamy. Przeżywamy trwanie miłości. I w tym porządku przeżywania potrzebne są potwierdzenia, przywoływanie obecności, aby zachwyty mobilizował uczucia i refleksję, aby kierował do wartości, które muszą przyjść do nas od kochającej osoby.

W przyjaźni nieobecność osoby kochanej nie boli, nie niszczy spokojnej radości.

W miłości taka nieobecność rani, wywołuje smutek, poczucie opuszczenia, zagubienia, mękę samotności.

Radość jest w przyjaźni cechą trwania miłości. A w miłości radość jest cechą aktualnej obecności. I może właśnie tu, w tym związaniu radości z różnym jej podmiotem, można znaleźć jeszcze dokładniejszą różnicę między miłością i przyjaźnią.

W przyjaźni radość wiąże się z trwaniem miłości. Przyjaźń bowiem jest wiernością w miłości. Tej wierności towarzyszy spokojna radość.

W samej miłości radość jest związana z aktualną obecnością osoby kochanej. Gdy brak tej obecności, można przeżyć lęk, że odebrano miłość naszemu sercu. Miłość przecież jest w duszy, w sercu, w uczuciach, nastawieniach, w tęsknocie, w naszym przeżyciu. Jest tam obecna dzięki naszej decyzji, dzięki wniesieniu przez kogoś w naszą duszę jego miłości. Miłość ludzka zależy więc głównie od naszej woli, od naszej

decyzji. W tę miłość Bóg wnosi miłość nadnaturalną, kierującą nas do Niego, uszlachetniającą naszą ludzką miłość naturalną. Miłość, wniesiona w nas przez Boga, nie determinuje jednak woli, nie zmusza jej do decyzji. To my decydujemy, czy skierować do kogoś naszą ludzką miłość, i my decydujemy, czy ukochać Boga tą daną nam przez Niego miłością. Odpowiadamy więc za kierunek swej miłości, za wybór osoby kochanej, za trafność wyboru.

Możemy także cierpieć, gdy ukochamy nie czyjąś miłość, lecz swoją tęsknotę do tej miłości, swoje marzenie o trwałej miłości. Wtedy miłość i osoba kochana pozostają na uboczu, nie wywołują radości. I wtedy tęsknimy do serca, które nie zamieszkało w naszym sercu.

Cierpimy także, gdy ukochamy czyjąś miłość. Lecz radość towarzyszy tej miłości tylko wtedy, gdy przeżywamy pewność obecności czyjegoś serca. Zachwyty musi bowiem posilać się czułością, serdecznym słowem, które uspokajają i wyzwalają z tęsknoty. Cierpimy więc kochając, gdyż jest nam potrzebna stała pewność czyjejś miłości, jej zamieszkanie w naszej duszy, stały ze strony kogoś wybór naszej miłości. I jest nam potrzebny znak obecności. Jest nam potrzebny ktoś ukochany jako nieustanny dopływ dobra do naszej duszy. Tylko wtedy, gdy czyjaś miłość zamieszka w naszym sercu, tylko wtedy odnajdziemy ją w sobie, jej obecność, przynoszącą radość. Jesteśmy wtedy przy tej miłości swoją tęsknotą, swoim wyborem, swoją miłością.

12. WARUNKI ROZWOJU MIŁOŚCI

Rozwój miłości polega na umieszczeniu jej w czyimś sercu. Nasza miłość musi się znaleźć w sercu osoby kochanej, a jej miłość do nas musi się znaleźć w naszym sercu. Jeżeli nie złożymy miłości w czyimś sercu, jeżeli nie uczynimy jej darem dla kogoś, jeżeli zatrzymamy ją w swej duszy, ta miłość zmarnieje, nie będzie rosła, dojrzewała, umacniała się, nie będzie czyimś szczęściem. Nasza miłość musi w kimś zamieszkać, musi być czyjąś pociechą i radością. Nie wystarcza do pełnego życia miłość obecna w nas, miłość przez kogoś nam ofiarowana. Nie wystarczy być tylko kochanym, a samemu nie kochać. I nie wystarczy kogoś kochać, a nie być kochanym. Muszą zachodzić obie sytuacje: samemu kochać i być kochanym. Tylko wtedy człowiek się doskonali, dojrzewa wraz z miłością, rośnie, umacnia się, jest szczęśliwy i powoduje

szczęście. Nasza miłość, obdarowana czyjąś miłością, lub czyjaś miłość przyjmująca naszą miłość, są klimatem, glebą, naturalnym środowiskiem tej wzajemnie darowanej sobie miłości. Są rodzinnym domem tej miłości, naszych tęsknot i refleksji, domem, który zawsze jest, z którego wychodzi się w świat ludzkich serc.

Może się jednak zdarzyć, że już rośniemy w czyimś sercu, w czyjejś miłości, w właściwym środowisku naszych tęsknot i refleksji, naszego duchowego dojrzewania, i że potem porzucamy ten dom i z innym sercem tworzymy jedność dążeń, tęsknot i szczęścia.

I może się zdarzyć, że tworząc tę jedność szczęścia naszej miłości z czyjąś miłością, jednak pozostajemy także w tym sercu, w którym rosła nasza miłość, dojrzewała, umacniała się i posilała. Wtedy ta miłość, w której wzrastaliśmy, jest wodą ożywiającą tę miłość, która stanowi teraz szczęście innego serca i tworzy razem z nim zdobiącą świat radość.

Niekiedy trzeba zmienić przedmiot miłości, ukochać kogoś, kto nas kocha, i wycofać miłość z czyjegoś serca, które nie darowało nam swojej miłości. To jest warunek wzrostu. Nie możemy bowiem rozwijać się, gdy tylko kochamy. Musimy być także kochani. Lecz ta miłość, którą kochaliśmy, a która nas nie ukochała, jest także czymś dla nas dobrym. Jest słońcem, które raduje, gdy rani nas lęk, brak aktualnej obecności tej miłości nas kochającej. Jest pięknem marzeń, które wyznaczają sposób utworzenia jedności dążeń, tęsknot i szczęścia. Jest drzewem, rzucającym cień w upalne lato, łodzią, przenoszącą nas ku nowym tęsknotom, przelotem ptaków, które wybrały nowy dom. Jest tęsknotą nowych tęsknot. Jest propozycją obrony miłości, przetrwaniem samotności, nadzieją uzyskania miłości.

Dar miłości wywołuje poczucie spokoju i bezpieczeństwa, poczucie dokonania się spraw ważnych, jakąś trwałą terażniejszość życia, widzenie sensowności nawet spraw drobnych. Niegroźne jest wtedy przemijanie, ustaje ból, nie budzi lęku nawet możliwość śmierci, czyli rozstania się z osobą kochaną.

Gdy osoba kochana jest obecna, jesteśmy właśnie spokojni. Jest ona bowiem obecna w naszym sercu, w naszych tęsknotach, marzeniach, w naszym niepokoju, smutku, radości. Nie ma wtedy właśnie lęku. Obecność jest odwrotnością rozstania. Jest warunkiem rozwoju miłości.

Ta obecność jest terażniejszością. Nasza miłość jest terażniejszością. Wyzwala nas z przeszłości i z przyszłości. To wyzwolenie jest ważnym warunkiem rozwoju miłości. Uwalnia właśnie od myślenia o przyszłości, od marzeń, od tęsknot, od oczekiwania. Uwalnia od przeszłości czyniąc czymś mniej ważnym smutek, tęsknotę i dawniejsze oczekiwanie. Ta terażniejszość miłości powinna być zarazem jej przeszłością i przyszłością. Miłość bowiem jest wszystkim. Jest przeszłością i przyszłością w nieustannej terażniejszości. Jest radosną obecnością kochających się osób. Jest szczęściem.

13. MIŁOŚĆ I PROBLEM CZASU

Bardzo często źródłem naszych niepokojów, zmartwień i cierpień jest po prostu właśnie problem czasu. Wydaje się komuś, że traci czyjąś miłość. Tymczasem lęk nie ma realnych podstaw. To tylko zachodzi błąd w perspektywie, teoretyczny fakt czasu, ustawiającego inaczej los ludzki. Zależymy bowiem od wydarzeń, których obecności w naszym życiu prawie nie dostrzegamy.

Nawet nie wiedząc o tym ujmujemy niekiedy nasze sprawy w perspektywie tego, że nasze życie się skończy. Ktoś, kogo kochamy, może natomiast ujmować swoje powiązania z naszą miłością od strony początku, od tej więc strony, że dopiero przyjdzie radość, że prawdziwe życie zaczyna się rozwijać. Tych, którzy przeżywają miłość jako nieustanny początek, cechuje spokój, nie męczy ich niecierpliwość, nie odczuwają jako straty swej chwilowej nieobecności. I odwrotnie, w tęsknocie tych osób, które przeżywają miłość w perspektywie tego, że ich życie się skończy, pojawia się niepokój, niecierpliwość, poczucie utraty ważnych, niepowtarzalnych wartości, gdy zdarza się nieobecność osoby kochanej .

Zresztą taka nieobecność jest rzeczywiście stratą dobra. Mniejszy bowiem jest skarb radości, mniejszy o te chwile, których nie było.

Innym aspektem związku między miłością i czasem jest powolne dojrzewanie przyjaźni. Może się komuś wydawać, że po wielu spotkaniach i rozmowach związek serc jest wciąż w etapie początku. Nie pojawiają się bowiem znaki. przyjaźni, gdyż zresztą przyjaźń ma ich niewiele. Wkrada się smutek. Zaczyna dokuczać tęsknota. Domagamy się częstszych i dłuższych spotkań, właśnie nam poświęconego czasu. Lę-

kamy się, że z powodu nieobecności osoby kochanej nie kształtujemy jej miłości, że może inne serca są wzorem jej dążeń, że one budzą marzenie, tworzą miarę odczuć, wyznaczają przedmiot radości, modelują duszę. Martwimy się, że tego dobra, którym jest przyjaźń i miłość, ktoś uczy się nie u nas, nie w naszym sercu.

Ten niepokój i ten nastrój często nazywa się zazdrością. Jest ona męczącym pytaniem, dlaczego ktoś nie tęskni do naszego serca, dlaczego nie obdarowuje nas swą obecnością, dlaczego nie stanowimy dla niego radości, dlaczego nie szuka rozmów z nami, dlaczego nie przybiega, nie pociesza, nie uspokaja.

Gdy przeżywa się miłość jako nieustanny początek, wtedy znika problem znaków jej rozwoju, problem niecierpliwości i utraty dobra. Powiązaniu serc towarzyszy pokój, radość i słuszne przekonanie, że miłość została zdecydowana, że trwa, że jest pewna. Wyczuwa się, że zerwanie nie jest możliwe, że wszystko już postanowione. Dokonuje się prawie niepostrzeżenie uzgodnienie tęsknot. Coraz mocniej łączy dwa serca kształt marzeń, wielość przemyślanych spraw, ogromne światy rozwiązywanych problemów, dobro, które wyzwala miłość. Ta miłość właśnie trwa, wzrasta, nadaje sens życiu.

Może też pojawić się czas w postaci nadziei, że wszystko się ułoży i utrwali. Wtedy nasze życie jest radosnym oczekiwaniem. Wtedy nie ma niepokoju i bólu. Wtedy właściwie przeżywamy czas, który zresztą zawsze może być nadzieją.

I podejmiemy raz jeszcze problem miłości jako terażniejszości. Zagadnienie czasu terażniejszego wnosi w problem miłości najbogatsze treści i perspektywy.

Gdy intensywnie i głęboko przeżywając miłość pragniemy nieutralności osoby kochanej, wtedy właśnie pragniemy trwania miłości w nieustannym czasie terażniejszym.

Ten czas terażniejszy właśnie wyklucza przemijanie i utracalność.

Miłość, którą obdarowujemy danego człowieka i którą ktoś nas obdarowuje, otwiera duszę na tę pełnię, na nieutralność. Otwiera nas na Boga, który jest niezmienną terażniejszością, nieutralnością, obecnością na zawsze.

Gdy kochamy człowieka całą tęsknotą ludzkiej miłości, Bóg wzbogaca wtedy tę miłość mocą nadprzyrodzonej miłości, wniesionej w nas przez Niego w tym celu,

abyśmy skierowali miłość także do Boga. Bóg ogarnia swą miłością naszą miłość, mieszkającą w czyimś ludzkim sercu i obecną w miłości Boga.

Ta skierowana do Boga nasza miłość, wniesiona w nas przez Boga, na zawsze będzie już wiązała z Bogiem naszą duszę, gdy tej miłości nie wycofamy. Na zawsze, nieutralnie. Ta miłość, dzięki której w tym życiu poprzez wiarę trwamy w Bogu, i dzięki której kiedyś, gdy będziemy „twarzą w twarz”, Bóg nieutralnie obdaruje nas swoją osobową obecnością.

Będzie też trwała nasza miłość do ukochanego człowieka. Będzie trwała na tej zasadzie, że wszystko, co zaistniało, zostanie utrwalone w istnieniu. Miłość jako relacja, wiążąca dwie osoby, jest realnym bytem przypadłościowym. Jej krańcami są dwa byty duchowe, powiązane właśnie miłością. Tym bytom, trwającym w Bogu, nie zagraża unicestwienie. Nie zagraża więc też nic trwaniu miłości. Pozostanie na zawsze miłość, która wiąże czyjeś serce z tym wybranym, ukochanym sercem, i wciąż będzie przywoływała Boga, wciąż otwierała ku Bogu, który będąc samoistną Miłością utrwała istniejącą miłość ludzką. A przecież pozostaniemy osobami przebywając w radosnej sytuacji pozaczasowej, w nieustannej terażniejszości, wciąż w Bogu, w tym swoistym czasie, który jest nieutralną terażniejszością miłości.

A może nasza miłość do ludzi musi właśnie trwać wiecznie, aby Bóg mógł wnieść w nią swoją nadprzyrodzoną miłość, którą kierujemy się do Niego i w której staje się obecny uszczęśliwiając nasze serce.

Terażniejszość trwania jest wobec tego jedynym właściwym stanem miłości. I wtedy, gdy patrzę w ukochane oczy ludzkie i w ukochane „oczy” Boga, jest możliwa radość.

Źródłem cierpienia, jest więc to obce i okrutne przesunięcie miłości z terenu terażniejszości w czas przeszły. Ten prawie nieuchwytny stan czasu aż tyle zmienia. Ktoś odchodzi do zajęć, które trzeba podjąć żyjąc w czasowych warunkach tego świata. Trwa pamięć spotkania, które zostało przerwane, które osunęło się w przeszłość. I boli właśnie to odejście kogoś z terażniejszości.

Tęsknota, która jest nadzieją, zapowiada czas przyszły. Jest obietnicą odzyskania czasu terażniejszego. To, co nastąpi, będzie powrotem terażniejszości, jej trwaniem.

Wobec tego raczej więc nie ma czasu przyszłego. Jest tylko wciąż odzyskiwana terażniejszość. Nie ma więc także czasu przeszłego, gdyż właśnie nawet w wymiarach tego świata wciąż odzyskujemy terażniejszość. Jest tylko zagrożenie utraty obecności czyjejs miłości: miłości człowieka i miłości Boga.

Jakże więc ciężką sytuacją jest przebywanie wciąż jeszcze po tej stronie czasu, po stronie zagrożenia nieutralnej terażniejszości, po stronie zmienności czasu. Bolesne jest to przedzieranie się z przeszłości ku terażniejszości i z nadziei przyszłości ku tej samej terażniejszości, którą sprawia i którą jest miłość. Boli ta bezsilność serca, któremu tylko Bóg może zapewnić nieustanną i nieutralną terażniejszość, właściwy stan radowania się miłością.

Miłość więc domaga się terażniejszości. Jej naturalnym stanem są warunki pozaczasowe. Jej więc właściwym losem, klimatem i sensem jest Bóg, Nieustanna Terażniejszość, Nieutralność, Trwała Obecność, Samoistne Istnienie tożsame z Miłością. W Bogu utrwała się nasza ludzka miłość, powiązanie serc, wciąż doświadczanych przeżywaniem przeszłości i przyszłości, wyglądających nieutralnego czasu terażniejszości, oczekujących Boga.

14. ANALOGIA MIĘDZY MIŁOŚCIĄ I ISTNIENIEM

Narzuca się bardzo wyraźnie analogia między miłością i istnieniem. Ileż tu problemów i jakże bogate źródło nowych spojrzeń na miłość ludzką i na miłość Boga! Posłużę się tą analogią jako narzędziem odkrywania nowych aspektów miłości, której nas Bóg wciąż uczy kierując nasze serca w ich naturalnym dążeniu do osób ludzkich i kierując nas ku niestworzonej miłości Trójcy Świętej poprzez udzieloną nam miłość nadprzyrodzoną.

Jeżeli miłość ludzka jest wobec drugiego człowieka darem osobowych wartości, to jest ona czymś żywym, czymś istniejącym. Człowiek przecież jest żywy, istnieje. Ofiarowując siebie, czyni dar życiowy. Stąd miłość nie jest tylko pojęciem. Jest zaangażowaniem osoby. I spełnia w człowieku funkcje, podobne do tych, które są skutkiem istnienia.

Istnienie urealnia byt. Miłość jest początkiem właściwego życia człowieka, jest jego zdolnością wyjścia poza własne „ja”, jest zasadą wewnętrznego rozwoju, jest

terenem przywołującym nadprzyrodzoną miłość, udzielaną duszy dla ukochania Boga. Miłość więc urealnia nową rzeczywistość duchową, mianowicie osobowe powiązania osób.

Te osobowe powiązania stają się też swoistym początkiem rozwoju, a niekiedy zapoczątkowaniem w duszy rzeczywistości nadprzyrodzonej. Bóg jest obecny w duszy ludzkiej przez chrzest, przyjęty w niemowlęctwie, czy w wieku dojrzałym, lecz dopiero miłość aktualizuje i rozwija tę realną i zaczątkową obecność Boga w duszy. A u ludzi, którzy nie nawiązali z Bogiem kontaktu przez chrzest z wody, miłość naturalna, otwierająca duszę na wartości osób, otwiera ją też na osobę Boga. Ma wartość pragnienia Boga. Stawia człowieka wobec Boga, który w każdą miłość ludzką wnosi swoją miłość nadprzyrodzoną. Miłość naturalna więc ma tu charakter chrztu pragnienia, skoro wprowadza człowieka w krąg Boga i skoro wiadomo, że tylko chrzest jest realnym zamieszkaniem Boga w osobie ludzkiej. Z kolei więc udzielona człowiekowi przez Boga miłość nadprzyrodzona urealnia nowy porządek, realny i osobowy kontakt Boga z człowiekiem.

Miłość przyrodzona i miłość nadprzyrodzona jakże więc bardzo są podobne w skutkach do aktu istnienia, urealnijającego rzeczywistość. I w swoim porządku relacji międzyosobowych miłość spełnia funkcje istnienia. Zapoczątkowuje coś bytowo nowego. Powiązanie osób przez miłość jest przecież czymś realnym, nie jest fikcją. Jest czymś żywym, faktycznie istnieje. Faktycznie istnieje miłość człowieka do człowieka i faktycznie istnieje miłość wiążąca wzajemnie człowieka z Bogiem. Miłość jest przyczyną tych powiązań.

15. MIŁOŚĆ TRWA PO ŚMIERCI

Jeżeli ktoś, kogo kochamy, nie obdaruje nas miłością, nigdy go nie znajdziemy w tym życiu, nie spotkamy. I nie spotkamy go po śmierci.

Miłość nawiązuje się tylko na ziemi. I jeżeli tu ktoś nas nie pokocha, nie będziemy mogli spotkać tej osoby w sercu Boga. Tam nie ma ciał, a po zmartwychwstaniu nie będzie małżeństw, które łączą ludzi tylko do ich śmierci. Nie będzie tam też wyłączności. Pozostanie tylko wierność, czyli trwanie miłości, która tu się zaczęła. W

rodzinie Osób Trójcy Świętej rozpoznają się i spotkają tylko te osoby, które tu na ziemi zamieszkały w swych sercach.

16. MIŁOŚĆ JEST NAWRÓCENIEM

Miłość w naszym ludzkim życiu nie jest tylko radością. Radość jest drobną częścią miłości. Miłość jest czymś więcej. Jest naszym losem, sensem życia, naszym przebywaniem w czyimś sercu i nieustanną prośbą o obecność w nas czyjejs miłości.

Miłość z tej racji jest walką o taki kształt duszy, aby w niej mogła być szczęśliwa miłość kogoś, kto nas ukochał. Ten kształt duszy trzeba wciąż przetwarzać, ulepszać, dostosowywać do zmieniającej się, doskonalącej wciąż osoby, która nas kocha, i której funkcją, emanującym w kierunku naszego serca skrótem, swoistym streszczeniem wartości, sumą tego, co najlepsze, jest właśnie miłość. Jest ona w każdym z nas ciągłym przekształcaniem się naszej osoby, ciągłym jej poprawianiem, naturalnym nawróceniem duszy. Jest to nawrócenie w stosunku do wartości ukochanej osoby, dociąganie do jej poziomu, do mocy serca. Jest przyjmowaniem w siebie duchowego kształtu tego kogoś, kto nas kocha.

Miłość jest kształtowaniem siebie w taki sposób, aby czyjeś kochające nas serce znalazło w naszej duszy jedyne dla siebie, najlepsze warunki swej szczęśliwej obecności.

Gdy następuje sytuacja, w której kształt naszej duszy nie jest identyczny z kształtem serca osoby, która nas kocha, pojawia się cierpienie.

Cierpienie jest miłością, która wyczuwa zakłócenie jedności, inny rytm dwu złączonych serc, różnicę między naszymi własnymi i wniesionymi w naszą duszę darami czyichś wartości. Cierpienie jest także miłością, która wyczuwa niebezpieczeństwo samotności, gdyby naszemu sercu został cofnięty dar ofiarowanej miłości.

Cierpienie wobec tego jest miłością, która ratuje osobę ludzką przed męką samotności zabiegając o obecność w nas ukochanego i kochającego serca, o zamieszkanie w nas tego wszystkiego, co w kimś wybranym jest najlepsze.

Cierpienie jest więc miłością, która działa i jest może tym właśnie jej działaniem. To działanie zawsze jest zabieganiem o czyjeś serce i jest kształtowaniem naszej duszy na miarę tego serca.

Zawsze staramy się siebie doskonalić, przekształcać, ulepszać. Zawsze więc nasza miłość jest procesem, wnikaniem w czyjąś duszę, i jest obecnością w nas miłości osoby wybranej. Jest działaniem, jest zawsze nawróceniem, czyli powrotem do tej obecnej w nas czyjejś miłości, powrotem przez uzyskiwanie kształtu, dzięki któremu czyjaś miłość ma w naszej duszy najlepsze dla siebie warunki obecności.

Miłość w takim razie w naszym ziemskim życiu jako nieustanne, ulepszające działanie, jako trud i walka o to, co najlepsze w nas i w kimś kochanym, jest cierpieniem.

Może po prostu naturalnym kształtem miłości, jej naturalnym stanem, jest cierpienie tęsknoty.

Miłość, która cierpi, jest więc naszym codziennym życiem, w którym walka o miłość jest walką o przetrwanie tęsknoty. Jest także lekcją, w której przeżycie możliwości utraty czyjejś miłości budzi pragnienie miłości trwałej. Pogłębia świadome kierowanie się ku Bogu, który jest w nas, przywoływany naszą naturalną miłością. Przychodząc do naszej duszy Bóg udziela nam daru nadprzyrodzonej miłości, która już teraz realnie, a nie tylko w porządku tęsknot, wprowadza nas w wewnętrzne życie Trójcy Osób Boskich.

Nasza miłość, darowana człowiekowi, jest wołaniem do Boga o pełnię daru: o miłość kogoś przez nas ukochanego i o nadprzyrodzoną miłość, którą Bóg zaszczenia w nas, abyśmy Go mogli ukochać.

Każda miłość przywołuje Boga i powoduje, że Bóg mieszka w naszej duszy. Obiecują to słowa liturgii wielkiego czwartku: „ubi caritas et amor Deus ibi est - Bóg tam przebywa, gdzie jest ludzka miłość”.

Nasza miłość, ofiarowana Bogu, powoduje obecność w nas Boga, a ofiarowana człowiekowi, nie zawsze uzyskuje jego miłość. Budzi tę miłość, otacza czułością i troską, nie zawsze powoduje darowanie jej naszemu sercu. Tymczasem miłość ta jest potrzebna ludzkiemu sercu dla wypełnienia serca, dla ulżenia samotności, dla przetrwania trudnej drogi do Boga.

Bóg bowiem przywołany miłością jest w naszej duszy, lecz zakryty obłokiem wiary. Wiemy, że jest, ponieważ wierzymy Jego słowom: „do niego przyjdziemy i mieszkanie u niego uczynimy”, Bóg jest w nas. Oddychamy jego nadprzyrodzoną

miłością, która przecież nie pozbawia serca tęsknoty za oczekiwaną miłością od człowieka. Tę miłość ludzką Bóg pomyślał jako bezpośredni cel naszych naturalnych poszukiwań i jako teren swojej w nas obecności.

W nadprzyrodzonym porządku miłości nie jesteśmy więc samotni. Nasza nadprzyrodzona miłość przebywa w Bogu, który jest miłością i wraz z tą miłością jest w naszej duszy.

W przyrodzonym porządku miłości bywamy samotni, gdy nasza miłość, darowana komuś, często nie spotyka tej czyjejs miłości.

Samotność jest więc głodem miłości, jej brakiem. Wtedy nie mamy kogo się poradzić, jak zdążyć do Boga, gdyż przecież tylko miłość uczy miłości. Musi być w nas czyjaś miłość, abyśmy mogli uczyć się miłości do człowieka i abyśmy według tego najbliższego nam wzoru nauczyli się tęsknić do Boga, dostrzec nieskończoność perspektyw, otwieranych człowiekowi pełnią dostępnej nam miłości Boga.

Miłość ludzka, tylko miłość uczy dróg prostych, ponieważ uczy prawdy. I uczy wyboru dobra, gdyż jest dobrem. Jest tym, co w człowieku właśnie najlepsze. A prawda, dobro i miłość otwierając nas ku pragnieniu pełni, skierowują do Boga, do miłości samej w sobie. Nasza miłość, skierowana do Boga, jest w Bogu, a Bóg przebywa w naszej duszy. Taka wzajemna miłość jest nazywana przyjaźnią.

Arystoteles i Tomasz z Akwinu przez przyjaźń rozumieli miłość, która polega na wspólnocie dobra, na poszukiwaniu go, na jego wymianie. Rozumieli więc przyjaźń jako spotkanie we wspólnym celu. To wszystko prawda. Brakuje jednak w tym ujęciu wymiany samej miłości. I z tej racji trzeba mówić o jednej miłości w różny sposób wyrażanej. Można więc zaliczyć przyjaźń do sposobów ujawniania miłości.

Przyjaźń więc jest miłością, w której utrwaliła się radość, w której nie grozi już utrata przywiązania, którą charakteryzuje wierność. Jest to jednak miłość związana z połączeniem dwóch czasów: przeszłości i przyszłości.

Tymczasem miłość jest terażniejszością. Jest niepokojem o sens tej oto chwili, tego dnia, tego życia. Jest troską o aktualne przekształcenie duszy przy pomocy wciąż obecnych w nas czynników, którymi są największe wartości ukochanej osoby, jej miłość, ona sama. Miłość jest dostosowywaniem się do tych wartości, jest wewnętrznym wzrastaniem. Jest więc cierpieniem, ponieważ jest brakiem adekwatności,

tej właśnie odpowiedniości, która uspokaja, która w aktualnej terażniejszości wiąże w sposób trwały, która wyklucza różnice serca, prawdy, dobra. I jest wzruszeniem, dzie- leniem się tym, czym jesteśmy. Jest właśnie nawróceniem, które aktualnie się dokonuje. Z tej racji miłość jest cierpieniem, ponieważ musi trwać wymiana dobra, uzgodnienie wyborów, to dokonujące się nawrócenie, przeżywanie wzruszenia jako wyrazu zachwytu.

Miłość, płynąca z naszego serca ku ludziom, jest więc kontemplacją, w której zachwyca nas ukochana osoba, aktualnie obecna w zasięgu serca. Jest to więc kon- templacja serca, wzajemne wzruszenie, które przywołuje Boga. Ta miłość, przez którą wychodzimy poza siebie, przywołuje Boga, a Bóg udziela naszej miłości daru swej miłości przychodząc do duszy ludzkiej z całym swym wewnętrznym życiem, z darem obecności w nas Trójcy Osób Boskich.

Cieszymy się Bogiem, tęsknimy do Boga obudzoną w nas przez dar nadziei nadprzyrodzoną tęsknotą. Jesteśmy przy Bogu. Bóg jest w nas. W Jego rękach jest nasz los, nasza miłość, nasze cierpienie.

Czy więc jest tak, że Bóg stawia na naszej drodze człowieka, do którego kierujemy swą miłością i który nie podejmuje naszej miłości? Czy chodzi tylko o to, abyśmy przeżyli miłość i aby ta miłość stała się w nas terenem, na który Bóg wprowadzi stworzoną dla nas miłość nadprzyrodzoną przygotowując w ten sposób miejsce swojej w nas obecności, gdy skierujemy się do Niego? Czy też może być tak, że Bóg nie przewiduje dla nas czyjejs wzajemnej miłości, potrzebnej nam osobiście dla naszego ludzkiego szczęścia? Często bowiem nie uzyskujemy tej wytęsknionej miłości i stajemy na progu rozpacz. Dana jest nam agonia nadziei, straszliwe osamotnienie naszej miłości, samo cierpienie.

To nie jest tak, że zaczynamy kochać Boga, gdy złamie nas niepowodzenie. Tylko pozornie tak to wygląda. To nie jest tak, że nieudana miłość kieruje nas do Boga, w którym szukamy pociechy. Jest inaczej. Nasza miłość do człowieka, nawet miłość nie podjęta, zawsze przywołuje Boga, gdyż właśnie żywa, prawdziwa miłość jest wołaniem do Boga i zaproszeniem Go do duszy. Każda miłość przywołuje Boga. Bóg wtedy przychodzi i wszczepia w naszą miłość swoją miłość nadprzyrodzoną, którą możemy go osiągnąć i ukochać. Ta miłość podtrzymuje naszą ludzką miłość, którą kierujemy do

ludzi. Nawet wtedy, gdy człowiek nie podejmie naszej miłości, ta miłość trwa objęta miłością Bożą.

Te dwie miłości są różne co do pochodzenia i nigdy się nie utożsamiają. Są, jedną miłością co do podmiotu, w którym się znajdują i który poprzez nie zwraca się do ludzi i do Boga. Zawsze więc kierujemy swą miłość do Boga i zawsze szukamy miłości ludzkiej. Tej miłości do człowieka nie zastąpi więc miłość do Boga. I miłości do Boga nie zastąpi miłość do ludzi.

Nasza miłość do Boga, gdy nie mamy miłości ludzkiej, nie jest nieszczerą, zastępczą, nie jest wynikiem braku miłości człowieka. Jest osobną, prawdziwą, głęboką. I nie niszczy ani nie zastępuje naszej ludzkiej miłości, naszych tęsknot do człowieka. Doskonali te tęsknoty i pozostawia je w całym ich cierpieniu. Kochamy w pełni Boga i nieskończenie brak nam miłości ludzkiej. Ten brak boli, jest cierpieniem. Nasza ludzka miłość ma kształt cierpienia.

17. RELIGIJNA WARTOŚĆ CIERPIENIA

To nie jest tak, że walcząc całą siłą o miłość ludzi, nie zabiegamy o miłość Boga. To nie jest tak, że kierując wszystkie siły i wszystkie tęsknoty do człowieka, nie wystarcza nam sił i tęsknot do miłości Bożej. Owszem, całą ludzką miłością kierujemy się do człowieka. Jest jednak w naszej duszy osobny nurt, wniesiona w nas przez Boga miłość nadprzyrodzona. Ta miłość doskonali naszą ludzką miłość, kierującą się do człowieka, lecz sama kieruje nas osobno do Boga. Tej wniesionej w nas miłości nie możemy skierować do człowieka. Ona nie zatrzymuje się na człowieku, nie przybliża jego serca. Przybliża serce Boga, skierowuje naszą uwagę, nasze serce, naszą duszę ku Bogu. Tą samą duszą kochamy człowieka i kochamy Boga. Innymi tylko siłami poszukujemy serca człowieka i innymi mocami kierujemy się do Boga. I powiązanie naszej miłości z miłością Boga, powiązanie prawdziwe i głębokie nie zmniejsza cierpienia tęsknoty do miłości ludzi.

Bóg jest w naszej duszy, gdyż przywołała Go nasza ludzka miłość. Wbudował w tę miłość stworzoną dla nas miłość nadprzyrodzoną - środowisko swej obecności. Dał nam szanse i możliwości realnego spotkania naszej miłości z miłością Bożą i nie odbiera nam szans i możliwości kochania człowieka naszą ludzką miłością.

Obie te miłości Bóg zawierzył naszej wolności. Poddał je naszej wolnej woli. Moglibyśmy nie skierować do Boga tej miłości, którą Bóg wniósł w naszą duszę. Miłość bowiem jest tylko szansą. Moglibyśmy też nie ukochać człowieka naszą ludzką miłością. Jest jednak tak, że nasza ludzka miłość zawsze przywołuje Boga i że Bóg zawsze wnosi w nią dar swej miłości. Daje nam więc szansę: możemy ukochać Boga i udoskonalić miłość do człowieka.

W ten delikatny sposób Bóg pomaga miłości ludzkiej zostawiając nam całą wolność wyboru zarówno Boga, jak i człowieka.

Tęskniąc do miłości danego człowieka możemy zrozumieć przynajmniej dwie sprawy: 1) To, że Bóg może być mało kochany, rzadko kochany przez ludzi, 2) To, że tylko w miłości Boga do nas możemy szukać sensu cierpienia i jego religijnej wartości.

1) Miłość do ludzi nie zawsze powoduje ich miłość do nas. Często przecież obdarowujemy miłością kogoś, kto na ten dar nie odpowiada podobnym darem. Przyczyną tego jest właśnie wolność, determinowana znakami i wartościami wybranymi na zasadzie marzenia, a nie zawsze z powodu obdarowania kogoś miłością. Tak rzadko, tak rzadko ktoś uznaje ofiarowaną mu miłość za dar bezcenny. I dlatego tak rzadko spotykają się w miłości dwa serca.

Z tych samych powodów także Bóg może mieć mało kochających Go osób ludzkich. Może też być odwrotnie. Wiele jednak danych wskazuje na to, że Miłość, którą jest Bóg, nie zawsze jest kochana. Bóg kocha każdego człowieka. Wiemy o tym, gdyż to objawił. Dał tego dowód stając się człowiekiem, poświęcającym życie, aby zostały usunięte przeszkody uniemożliwiające osobowy kontakt Boga z człowiekiem i duszy ludzkiej z Bogiem. I gdy gdziekolwiek pojawi się miłość ludzka, Bóg tam przychodzi i w tej miłości zaszczepia miłość nadprzyrodzoną zostawiając ją do dyspozycji ludzkiej wolności. Ta miłość służy do osobowego kontaktowania się z Bogiem. Człowiek jednak może nie skorzystać z tego narzędzia, nie zareagować na przyjście Boga, nie ukochać Go. Ta miłość, wniesiona przez Boga w duszę ludzką, może bezużytecznie trwać w naszej ludzkiej miłości, doskonaląc ją, lecz nie wiążąc osoby ludzkiej z Bogiem. Jak każda miłość, tak i miłość ze strony Boga, nie determinuje wolności, nie wywołuje miłości. W wypadku powiązań ludzkich trzeba marzenia, które w ofiarowanej miłości dostrzegłoby wartość, odpowiadającą potrzebom duszy. W

wypadku miłości ze strony Boga potrzeba pomocy Bożej, która ułatwia, dostrzeżenie wartości Osoby Boga. Potrzeba wzmocnienia ludzkiej wiedzy darem Mądrości, uzdalniającej duszę do przyjęcia miłości Boga. Tego wszystkiego Bóg udziela jako pomocy. Nie jest to jednak czynnik determinujący koniecznością. To jest tylko prośba Boga, tak jak prośbą o czyjeś serce jest ludzka miłość. Naszą prośbę o miłość nie zawsze ktoś podejmuje, ten ktoś wybrany, wymarzony, wytęskniony. Na prośbę Boga o miłość także nie zawsze odpowiada miłością serce ludzkie. Zresztą niewiele o tym wiemy, o tajemnicy osobowych powiązań Boga z człowiekiem.

Jest jednak możliwe, że niewiele osób kocha Boga. Nie wszyscy umieją odróżnić w duszy głos Boga od głosu własnego serca, domagającego się miłości osoby ludzkiej. Bóg może być tak samo niekochany, jak ktoś z nas jest niekochany i samotny. Boga dotyczy to jednak w sensie względnym. Bóg bowiem jest pełnią doskonałości, pełnią więc także miłości. I jeżeli daje nam szansę kochania Go, to dla naszego dobra, aby miłość ludzka uzyskała najwyższy wymiar, zjednoczenie z pełnią miłości, z samym Bogiem.

Tylko dla nas brak miłości Boga byłby bezwzględny. I gdybyśmy nie podjęli miłości Bożej, ofiarowanej nam przez Boga, byłibyśmy bezwzględnie zamknięci w małym świecie naszego smutku.

Cieszymy się miłością, którą Bóg wniósł w naszą ludzką miłość. Kochamy Boga i przez to realnie dosiegamy Go w Jego bycie, w osobowym spotkaniu. I cierpimy tęskniąc do Boga. Cierpimy też, że ktoś z ludzi, wybrana osoba nie podjęła naszej prośby o miłość. Nasza niekochana miłość cierpi.

2) Tymczasem Bóg nie może cierpieć, nawet wtedy, gdy nie jest kochany. Nie może teraz cierpieć nawet w osobie Chrystusa, który będąc Bogiem i przebywając po prawicy Ojca posiada też ciało i ludzką duszę, wrażliwą, kochającą, stanowiącą wraz z ciałem i duszą oraz ze Słowem drugą osobę Trójcy Świętej.

Chrystus jednak jest przez Boga, będącego Ojcem, posłany, aby przez ofiarę krzyżową zbawił świat. To posłanie trwa. Chrystus pozostał wśród ludzi w postaci eucharystycznego chleba, stanowiącego pokarm Kościoła, który jest mistycznym organizmem Chrystusa na tej zasadzie, że Duch Święty przebywa jednocześnie w Chrystusie i w nas. Chrystus poprzez Kościół wciąż spełnia swą misję zbawiania. Wciąż

więc trwa ofiara krzyżowa. Aby mogła być w pełni ofiarą, aby nasza msza święta mogła być tym, co stało się na Golgocie, potrzebne jest cierpienie.

Dzięki więc mojemu cierpieniu msza święta jest w pełni ofiarą krzyżową. Stanowi ją Chrystus ofiarowany Ojcu, a nasze cierpienie, skoro jesteśmy częścią mistycznego ciała Chrystusa, jest cierpieniem zarówno naszym jak i całego mistycznego ciała. Chrystus z miłości do Ojca i z miłości do człowieka podjął mękę krzyża. Miłość Chrystusa cierpiała, gdy Chrystus był historycznie na ziemi. Chrystus cierpiał mając jako Bóg-człowiek ludzką psychikę. Cierpiał, że Bóg nie jest kochany, że On, Chrystus nie jest kochany. Teraz Chrystus nie może już cierpieć. Jego miłość nie jest cierpieniem. Teraz my cierpimy zastępując Chrystusa w cierpieniu. Teraz nasza miłość jest cierpieniem, które na patenie mszalnego ofiarowania jest oddane Ojcu jako całe mistyczne ciało i dusza, cały więc Bóg-człowiek zapewniający Ojca o miłości, przywracający miłość, kochający.

A może właśnie w tym cierpieniu i przez to cierpienie, gdyż wszyscy kochający cierpią, miłość ludzka jest objęciem miłości Boga? Miłość bowiem nie jest tym samym, co świadomość. Jest trwaniem całej osoby przy wybranej osobie. Może więc jednak jest więcej serc kochających Boga, więcej niż się wydaje, niż to wynika z poznawanych reakowań ludzkich.

Świadome skierowanie miłości ludzkiej do Boga, osobowy kontakt człowieka z Bogiem, jest chwałą Boga. Tą chwałą jest jednak przede wszystkim miłość, wniesiona przed oczy Boże w formie cierpienia. Gdy przez miłość, przywołującą Boga, jesteśmy w kręgu Boga, nasze cierpienie stanowi w mistycznym organizmie Chrystusa miłość doznającą męki.

A więc Bóg jest kochany. Przeżywamy miłość do Boga i zarazem miłość do człowieka. I w obydwu wypadkach cierpimy. Lecz właśnie to cierpienie jest naszym realnym udziałem w ofierze krzyżowej, spełniającej się nieustannie podczas mszy świętej.

„Wspominając, Boże, zbawczą mękę Twojego Syna, jak również cudowne Jego zmartwychwstanie i wniebowstąpienie oraz czekając na powtórne Jego przyjście składamy Ci wśród dziękczynnych modłów tę żywą i świętą ofiarę. Wejrzyj, prosimy, na ofiarę Twojego Kościoła, uznaj, że jest to ta sama ofiara, przez którą nas chciałeś

pojednać z sobą. Spraw, abyśmy posileni Ciałem i Krwią Syna Twego i napełnieni Duchem Świętym stali się jednym Ciałem i jedną duszą w Chrystusie. Niech On nas uczyni wiecznym darem dla Ciebie” (Z trzeciej modlitwy eucharystycznej).

IV. LISTY DO PANA BOGA

1. DZIEJE TĘSKNOTY

Piszę ten list w pociągu, aby przedłużyć modlitwę, aby jeszcze być z Tobą, Który zawsze jesteś, aby być z Tobą dłużej, Boże mój, mimo że pociąg ruszył, mimo że musiałem odejść sprzed ołtarza, na którym mieszkasz w postaciach Chleba. Musiałem odejść. Zawsze się boję, że odejdę cierpiąc. Tak też się stało. Boli Twoja nieobecność. I „jeszcze mi ciągle z oczu jasnych spływa do warg kropelka słońca”. Piszę więc, lecz w krople słów chcę włożyć dużo słońca, słonecznych myśli, podobnych do nastroju, który wnosi Twój ołtarz i ukryta na nim Hostia.

Jeszcze nie zawsze jasno mówię o tym, co mnie pasjonuje lub niepokoi. Jeszcze nie umiem dotrzeć do tego, co najważniejsze, co wyjaśnia i rozstrzyga tyle narzucających się pytań. Okazuje się, że trzeba wielu rozmów z Tobą, wielu analiz, aby zrozumieć świat, siebie i Twoje życzenia, wyrażone w Ewangelii.

Jak dobrze, mój Boże, że jesteś, że zawsze jesteś wszędzie i że dzięki temu mogę przedłużyć rozmowę, która uwalnia od smutku.

Cieszę się, że kiedyś odkryłem Cię, znalazłem w postaciach Chleba, że wybrałem Cię dla rozmów i czynienia dobra. Chciałbym przejąć te wartości, które przynosisz, Ciebie, aby rozwinąć w sobie jakąś ilość dobroci, serdecznej życzliwości wobec ludzi, wrażliwości na ich i Twoje sprawy. Chciałbym, aby wszystko, co dobre, stało się moim udziałem i abym tą we mnie rozwiniętą przez Ciebie dobrocią mógł czynić dobro.

Pociąg zaczyna kołysać i litery w tym liście nie zawsze są dość równe. Pisanie jednak jest możliwe. Jest możliwe przedłużenie tej rozmowy z Tobą, przedłużenie modlitwy.

Niech ten mój list zanieś Ci, Boże, całą moją miłość i całą tęsknotę za Hostią, samotną na ołtarzu. A zaufanie, którym mnie obdarzyłeś, pozwalając mi Cię kochać, niech powiększa we mnie dobro, jeżeli jest go trochę w moim sercu. Jest pełnią w Twoim sercu. Cieszę się tym. Cieszę się Tobą, samotny Chryste na ołtarzu, teraz samotny, gdy piszę ten list w pociągu.

Odpisywałem dziś na listy, a teraz odpoczywam pisząc do Ciebie, mój Boże. I chcę Ci opowiedzieć, jakie myśli przesłałem swoim dwojgu korespondentom.

Ktoś przysłał mi słowa pamięci i załączył dwie ładne karty. Na jednej jest anioł, narysowany przez Salvadore Dali, na drugiej maki. Bardzo to miłe, gdyż jest aluzją, zresztą uroczą i żartobliwą, do mojej sympatii wobec aniołów i do tego, że lubię ciastka z makiem.

Odpisałem, że wzrusza mnie ta pełna elegancji troska o sprawienie mi radości.

Napisałem też do kogoś, kto jest od wielu lat nieuleczalnie chory. Korespondujemy od dawna. Moje listy podobno dodają sił tej chorej, sparaliżowanej osobie. Napisałem, że bardzo mnie ucieszył jej list, że przyszedł w momencie, gdy byłem smutny, że spośród wszystkich spraw świata najważniejsza jest ludzka dobroć, że się jej wciąż wypatruje, że tylko dobroć jest w stanie dodać sił ludzkiemu sercu. Po prostu serce można pocieszyć tylko sercem.

I wtedy pomyślałem o Tobie, Boże mój, o Tobie i o Twojej dobroci. I o Twoim sercu pełnym ciszy i troski o nas.

Jesteś uśmiechem, spokojem, pogodą, otwarciem się na nasze sprawy i kłopoty. Jesteś tajemnicą, której chcę zwierzać swoje tajemnice, zajęcia, wątpliwości, smutki i radości.

Określam Twoją moc i wielkość tymi nieporadnymi słowami, aby Cię lepiej zrozumieć, lepiej poznać, serdeczniej umieścić w swym sercu na tym miejscu, które jest pierwsze w mej duszy i w środku spraw ludzkich.

Dobrze tak z Tobą rozmawiać, mój Boże, lecz pragnąłbym Cię już oglądać, złote słońce mojej tęsknoty.

Tymczasem pobiegnę przed Twój ołtarz, wpadnę na chwilę, aby wzmocnić duszę pogodą i wrócę, aby znowu tęsknić.

Znów jestem w pociągu, wygodnie siedzę, jadę i - jak zwykle - piszę list do Ciebie, wytęskniony Boże, Hostio, Chlebie.

Pragnę Ci dziękować za Twoją dobroć, której doświadczam w ogromnych ilościach, jeżeli dobroć w ogóle można mierzyć. Niech ukochają Cię wszystkie ludzkie serca za miłość, którą nas otaczasz. Umiesz pamiętać o tylu naszych sprawach, umiesz pocieszać darem Chleba. Sprawiasz tyle radości swą pamięcią o nas, swoją ukrytą wśród nas obecnością, darem ołtarza z konsekrowaną Hostią.

Ciężko było wyjeżdżać, odchodzić od ołtarza. Zostawiam tam przecież tak wiele.

W kalendarzu pod datą 27. XII. znalazłem notatkę, że w tym dniu 1953 r. zmarł J. Tuwim. Bardzo mnie to wzruszyło, gdyż jest to autor słów tych moich ulubionych piosenek, które tak przejmująco wykonuje E. Demarczyk.

Z innych jednak powodów „jeszcze mi ciągle z oczu jasnych spływa do warg kropelka słowa, a Ty mi nic nie odpowiadasz...” Nie słyszę Cię, Boże mój! Czekam na Twoje przyjście, na Twą obecność.

Jest mi smutno. Może dlatego rodzą się we mnie obawy i niepokoje. Niech mnie broni przed smutkiem radość, którą jesteś, mój Boże, i której udzielasz. W naszych rozmowach ta perspektywa radości dopiero zaczęła się otwierać.

Jeżeli chcę powiedzieć, że czekam na list od Ciebie, to tylko znaczy, że ogromnie mi Ciebie brakuje. Jest wokół wielu ludzi, wiele spotkań, lecz nie ma rozmów, które cieszą. Brak mi rozmów z Tobą. Piszę więc list do Ciebie, Boże, aby umieć rozmawiać z ludźmi, aby lepiej rozumieć pytających, służyć im swoją wiedzą i doświadczeniem, nie minąć się z terażniejszością, z pasjami, które dziś mobilizują, z entuzjazmem, którego muszę się nauczyć przy rozpoznawaniu problemów, terenów dyskusji. Aby jak najwięcej dobra spotkali moi rozmówcy poprzez moją refleksję i pragnienie rozmawiania z Tobą.

Gdybym mógł to wszystko wprost Ci opowiadać, Boże! Czy mógłbyś pobyć ze mną, tak jak ja jestem z Tobą? Tak mi smutno i źle bez Ciebie.

A jednak chciałbym otrzymywać od Ciebie listy. Przynosiłyby pociechę, dodałyby sił do pracy, byłyby Twoją pośrednią obecnością, której tak brakuje, na którą wciąż czekam. Ciężko mi nie widzieć Cię, nie być wprost razem z Tobą całą psychiką, całą duszą. Bolesna jest Twoja nieobecność. Tak bardzo, tak bardzo brak mi Ciebie,

Boże! Brak Ciebie. Lecz nie martw się, mój Boże! Nie martw się moim pragnieniem otrzymywania od Ciebie listów. Wiem, że jest przy mnie Twoja przyjaźń i miłość. I wiem, że będą zawsze. Nigdy zresztą ich nie oddam, ani Ty nie będziesz mógł ich cofnąć, gdyż wrosły w moje serce. A serca nie można wyrwać. Można je tylko wymieniać. Moje serce jest u Ciebie, pełne wrośniętej w nie Twojej do mnie miłości. Zostawiłem je w Twojej dobroci. Chcę po prostu powiedzieć, że miłość, poprzez którą Cię znalazłem i wybrałem, jest nieodwracalnym faktem, wieczną przyjaźnią. Zawsze już będziesz dla mnie, mój Boże, kimś bliskim, najbliższym z przyjaciół. Cieszę się tym, choć wiem, że przeżyję wiele męki, trwogi, bólu tęsknoty. Ufam Ci jednak, Boże! Ufam, że swą dobrocią będziesz mnie osłaniał i chronił.

Pragnę dzisiaj prosić Cię, Boże mój, żebyś został w moim sercu na zawsze. Żebyś wzmocnił moje przywiązanie do Ciebie, gdyż tylko Ty możesz je wzmocnić. Sam nie bardzo to umiem. Potrzebuję Twojej dobroci, której tak wiele jest w Twym boskim sercu. Jeżeli bowiem znalazłem Cię i wybrałem, już nie mogę Cię utracić.

Wiedziałem, że tęsknota jest bolesna, lecz nigdy nie cierpiałem tak, jak teraz. Teraz, gdy Cię kocham. Prawie fizycznie boli ta tęsknota. I popatrz, nic nie można zrobić, żeby mniej bolało. Odległości są okrutne. Brak Twojej obecności, kogoś wybranego, jest ponad siły.

Cokolwiek się stanie, już nie usunę z siebie tego przywiązania. Nie mogę. Jest zbyt głębokie. Jest w tym przywiązaniu wiele nastroju, wiele uczuć. Uczucia i nastroj mogą ukryć, nawet usunąć. Przywiązania nie zmienię. Musiałbym bowiem zmienić serce. A to nie jest możliwe.

Może niepotrzebnie martwię się i lękam. Może tylko nie rozumiem Twego milczenia, Twego ukrycia się za zasłoną wiary. Martwię się, że mogę utracić przywiązanie Twego serca. Ten niepokój męczy, martwi, wywołuje lęk. Nie wiem, dlaczego dokucza mi ten niepokój. Nie mogę zatrzymać w sobie pogodniejszej myśli. Może po prostu zbyt jednak ciężki jest dla mnie brak Twojej bezpośredniej obecności, brak patrzenia „twarzą w twarz”. Piszę więc i pragnę prosić Cię, mój Boże, żebyś został przy moim sercu już na zawsze.

Napisz do mnie, mój Boże! Nie ma od Ciebie listu. Może jutro coś przyjdzie. Może przybędziesz. Może zapukasz do mych drzwi. Nasłuchuję, wciąż czekam. Wydaje mi się, że usłyszę dzwonek, że wejdiesz. Tak mi strasznie ciężko w tej tęsknocie, tak źle. Napisz, napisz! „Nie trwaj w milczeniu, nie milcz i nie spoczywaj, Boże” (Ps 83).

Kocham Cię, nadziejo mojej tęsknoty! Pragnę Twojej miłości. Pragnę pewności, że przyjąłeś moją miłość w swoje serce. Nie mogę tam nie być. Nie mogę utracić Twojej dobroci, Twojej obecności przy moim sercu. Musisz być w kręgu moich najbliższych, najbliższy z przyjaciół. Na jakichkolwiek warunkach. Przyjmuję wszystkie. Pragnę tylko Twojej miłości, Boże mój, Boże, złote słońce mojego cierpienia. Moje życie nawiedziła tęsknota. Ona powoduje to cierpienie.

Mój niepokój i moja tęsknota są tylko nastrojem. Ale ten nastrój właśnie boli. Przecież nic się nie stało. Przecież jesteś, mój Boże! To tylko niecierpliwość rzuca cień na radość miłości. To tylko na fali nastroju kieruje się do Ciebie moja tęsknota. Różne fale przynoszą komuś nasze przywiązanie. Moje przywiązanie do Ciebie, Boże, niesie fala tęsknoty. Obym umiał zobaczyć w niej swój los, los miłości oddanej Tobie, na zawsze Tobie, mój Boże.

Północ. Nie wiem, jaki dziś dzień. Jest północ. Bije zegar. Bolesna północ bez wieści od Ciebie. Tylko oczekiwanie. Tylko tęsknota.

Los człowieka jest bardziej skomplikowany niż się wydaje, a cierpienia jest więcej niż radości. Chciałbym więc nauczyć się takiego spojrzenia na człowieka, które jest zrozumieniem jego losu i poszukiwaniem sposobów zmniejszenia cierpienia. Chciałbym umieć powodować przyjaźń, która przywołuje Boga. Wszystko jest jednak skomplikowane może z tej racji, że przyjaźń przeżywa człowiek uwikłany w tęsknoty, w swoje poglądy, w zwyczaje środowiska, w przepisy zakonnej reguły, w całą psychologię kontaktów międzyludzkich i kontaktów między człowiekiem i Bogiem. Trzeba wiele, wiele wysiłku i ogromnej dobroci, aby nie zniszczyć człowieka, takiego jaki jest, w jego najgłębszym dążeniu do Boga i umożliwić mu wewnętrzny rozwój, zbliżający do Boga tym momentem, który nazywamy przyjaźnią wobec ludzi i Boga, czyli wzajemną, wzbogacającą, doskonalącą miłością. Tak myśli św. Paweł. Dzięki jego

teologii wiem, że Bóg rozumie moje serce, moje cierpienia, całe uwikłanie w niepokoje i w tęsknotę.

Modlę się, lecz muszę przerwać modlitwę, gdyż wyjeżdżam. I wyjechałem.

Popatrz, mój Boże, jak prawdziwa jest ta pieśń-wiersz Tuwima: „Musimy skończyć naszą dawną rozmowę smutnie nie skończoną ... Jeszcze mi ciągle z oczu jasnych spływa do warg kropelka słońca, a Ty mi nic nie odpowiadasz ... I muszę jechać ... I wyjechałem ... Jak sen urwała się rozmowa ... Ten biały dom, ten pokój martwy do dziś się dziwi, nie rozumie ... A przecież wszystko tam zostało. Nawet tam cisza trwa wrześnieowa”.

Przemawiałem w dużej sali do wielu osób. Było trochę kłopotu z mikrofonem, ale nawet dość dobrze całość wypadła. I szukałem. wśród słuchaczy Twojej twarzy, Jezu Chryste. Brakowało mi Ciebie. „Ciebie szukam; Ciebie pragnie moja dusza” (Ps 63).

W moich słowach było dużo Twoich myśli, Twojego nastroju, Ciebie. I to było lepsze niż mój styl i język, które są zbyt refleksyjne, zbyt nużące dla słuchaczy. Lecz cóż zrobić! Powiedziano mi później, że mam myślenie poety. Bardzo mnie to martwi, gdyż poeci zazwyczaj cierpią. Będziesz musiał bronić mnie, Boże mój, przed cierpieniem, gdyż jestem słaby .. „Jestem bardzo słaby” (Ps 142).

Tęsknota do Ciebie, Boże mój, wciąż obecny i tak boleśnie nieobecny, daje znać o sobie najpierw przez skurcz gardła. Ten skurcz nie pozwala wyjść na zewnątrz bezgłośnemu łkaniu, które rozrywa serce. I potem nie wiem, czy to ten skurcz tak boli, czy raczej boli tęsknota. Tym skurczem zamykam serce. Niech łzy tam pozostaną. Nie wypada, aby dotarły do oczu.

Dziś nie mam siły panować nad sercem. I oczy stały się wilgotne. Pociesza mnie nadzieja, że Cię nie utracę.

Moje przywiązanie do Ciebie, Boże, ma nie tylko wersję cierpienia. Ma także wersję radości, budowanej na nadziei, że zechcesz przyjąć ode mnie to dobro, które pragnę Ci na zawsze przekazać: moją miłość. Mojej miłości do Ciebie będę starał się nadać kształt najpiękniejszy.

A teraz po prostu boli tęsknota. Tęskniąc do Ciebie notuję sobie w duszy Twój obraz we mnie. I kiedyś prześlę Ci taki dziennik cierpienia, tęsknoty, radości i nadziei.

Dzień już mija. Nie mija tęsknota. Najgorsze jest to, że nic i nikt nie może pocieszyć. Spotkałem znajomych, cieszyłem się ich obecnością, lecz ból straszny, że to nie Ciebie spotkałem, że to rozmowy nie z Tobą, Boże wytęskniony. Brak mi Ciebie.

Modlę się, mój Boże, do Ciebie i o Ciebie. Czekam na Ciebie i wiem, że nie mogę już być bez Ciebie.

Często pełno u mnie ludzi i wtedy jeszcze bardziej myślę o Tobie. Rozmawiam ze wszystkimi i wciąż tylko rozmawiam z Tobą. Właśnie tylko z Tobą. Moje słowa tęsknią. I serce. Biedne, smutne serce.

Przesyłam Ci, Boże, słowa pozdrowień, swoją tęsknotę, swoją serdeczną uwagę, obecność, miłość. Patrzą na Ciebie aniołowie i święci, z którymi jesteś. Kiedy będziesz ze mną?

Chciałbym napisać coś radośniejszego, opisać Ci rozmowy, zdarzenia ostatnich dni. Gdy jednak zaczynam pisać, zjawiasz się w duszy w kształcie krzyża. I ten kontakt boli. Jest krzyż, nie ma Ciebie. Jestem sam obok krzyża. Boli brak Ciebie. I nie mogę dźwignąć się z tego poczucia braku. Uspokaja tylko nadzieja, że kiedyś będziesz ze mną.

Teraz tylko pozdrawiam Cię, Boże, całą tęsknotą.

Znowu jestem w pociągu. Jadę z wizytą do wielu swoich znajomych, aby także im - przynajmniej raz w roku - dać radość swej obecności. Jest zwyczaj, że latem odwiedzam swoich przyjaciół, jestem w ich domu, zachwycam się ich dziećmi, po prostu jestem. Taki wyjazd to początek mocniejszej tęsknoty. Miło doświadczać czyjejś serdeczności, miło wiedzieć że oczekują, że lubią. Posyłam Ci, Boże, swoją tęsknotę, swoje oczekiwanie. Gdy wrócę, przez wiele godzin będę trwał przed Twym tabernakulum, będę rozmawiał tylko z Tobą, moja radości, moja nadziejo, oczekiwanie moje, moja tęsknoto.

Tak boleśnie do Ciebie tęsknię. To nic, że wewnętrzna męka wyciska mi łzy z oczu. To nic. Boże mój, Boże!

Miłość jest dobrem. Jest ratunkiem, spotkaniem. Kocham Cię, Boże! Muszę Cię kochać, żeby w ogóle móc żyć. Jak dobrze, że pozwalasz, abym Cię kochał, że mogę mówić Ci słowa miłości. Mogę je wypowiadać, gdyż jesteś we mnie, jesteś. Dawno już znam Cię i kocham. Dawno jesteś we mnie wciąż bliski i odległy. Długi to już czas cierpienia. Tym cierpieniem jest tęsknota. Boli niekiedy tak dotkliwie, że miałbym ochotę płakać. Trzymam się jednak, gdyż czerpię siły z nadziei, która kieruje do Ciebie moje serce.

Wciąż muszę podróżować. Mogę tylko pisać do Ciebie. A chciałbym choć przez chwilę, choć przez wieczór trwać z Tobą, przed Tobą, Jezu obecny w Hostii. Chciałbym wzmocnić serce tym spotkaniem.

Człowiek musi mieć kogoś, do kogo może zwrócić się w każdej chwili, być pewnym jego życzliwości, sympatii, przywiązania. Pewność, że jest ktoś, kto zawsze ucieszy się moim przyjściem, moim słowem, moim listem, dodaje sił, pomaga radośniej iść przez życie.

Do Ciebie, Boże, mogę zwrócić się w każdej chwili. I bądź pewny mego przywiązania, troski o Twoje sprawy, o Twoje dobro.

Cieszę się Tobą i wkrótce napiszę, gdyż nie mogę nie pisać. Nie mogę bowiem wciąż o Tobie nie myśleć. Myślę o Tobie, Boże! Dziś zacząłem pisanie nowej książki. Będę ją pisał z myślą o Tobie i dla Ciebie.

Przeżywam piękny tydzień rekolekcji. Mogę codziennie myśleć tylko o Tobie, być wobec Ciebie, pocieszać serce, które wciąż tęskni. Mogę oczekiwać Twoich słów i swoje kierować do Ciebie, „ostoję moja i twierdzą mój wybawicielu, Boże mój” (Ps 18).

Pokój, w którym mieszkam, jest ładny. Siedzę teraz pod lampą na fotelu, którego kształt lubię. Owinąłem się w miękki koc, gdyż wrzesień i chłód wieczoru. Patrzę na kwiaty. Przeżywam wieczór, który jest oczekiwaniem. Całe zresztą życie jest oczekiwaniem. Gdy czekam, a wciąż czekam, myślę o Tobie. Teraz też myślę.

Będę zapisywał te myśli, aby Ci je opowiadać.

Wtorek: Rozważam ważny czynnik miłości, którym jest ufność. Ufam Ci, Boże, i dlatego jestem przy Tobie, otwieram Ci serce, opowiadam o sobie, o swoich radościach i kłopotach. I wsłuchuję się w to, co Ty mówisz poprzez teksty Ewangelii. Dużo pociechy przynoszą Twoje słowa. Przynoszą nadzieję, że mogę zawsze być przy Twoim sercu, tak jak Ty jesteś w moim, od dawna, od zawsze.

Środa: Chciałbym, żeby moje przywiązanie do Ciebie było Twoją pewnością, że zawsze przybiegnę do Ciebie ze wszystkimi sprawami, że nigdy Cię nie zawiodę. Każdą sprawę przyjmę, jako dar i znak Twojej obecności, Twojej dobroci. Boże mój, Boże!

Czwartek: Jak mądra jest poezja Lieberta! „Potrzeba mi pokoju Twoich rąk wyciągniętych. Jestem jak trzepocący motyl na srebrne igły wpięty”. „Strumieniem chłodnym płyniesz przez głębię serca mego, a serce żarem płonie i pali się; dlaczego?” „Już mi Cię nikt nie odbierze ... Ptak mi Cię wykraść nie zdoła, już mi się nie zagubisz w trawach i gorzkich ziołach... Już mi, Cię nikt nie odbierze”. „Bez Ciebie dni me jak korale wyjęte z morza schną i bledną ... Wiem jedno - Twoje tylko oczy i Twoje ręce są nade mną”. Słowami tych wierszy do Ciebie, Boże, kieruję myśl i serce.

Piątek: Jak to będzie, gdy stąd wyjadę? Z tego skupienia, ciszy, ładu, ciągłej z Tobą rozmowy. Umęczą mnie tęsknoty. Jakieś męczeństwo tęsknot. W samym środku serca ból tęsknoty. A raczej jakieś duchowe biczowanie duszy. Boże, czy wiesz, jak bardzo boli tęsknota? Gdy jesteś w duszy, gdy jestem przy Twym ołtarzu, trwa radość. Tęsknota nie boli. Jest tylko pulsowaniem życia, pogłębianiem przywiązania, nadzieją, że można w słowie Twojej Ewangelii i w Twym sercu odnaleźć słońce. Jesteś moim słońcem w kształcie krzyża. Jesteś moim krzyżem.

Nie wyjadę stąd. Nie umiem być daleko od Twego ołtarza. Nie mam siły bez Ciebie chodzić po mieście. I ponad moje siły jest ta odległość od Twego tabernakulum.

Sobota: Boże, oczekiwany, wytęskniony! Była dziś radość spotkania Cię w komunii. Gdy przyszedłeś, radość - jak zwykle - odebrała mi mowę i siły, aby ujawnić szczęście Twojej obecności. Serce zabiło i poczułem ten znajomy ból, słodki i gorący, który zjawia się, gdy spotykamy kogoś ukochanego, gdy spotykam Ciebie.

Teraz, gdy jestem w swoim pokoju daleko od Twego ołtarza, nie mogę przeciwstawić się smutkowi. Ból opuszczenia, samotności, jednak samotności, zaatakował duszę i serce.

Obserwuję swoje przeżycia, widzę siebie uwikłanego w ilość spraw, w tragedię, w której nikt nie jest winny. I właśnie dlatego jest to tragedia. Jest konflikt, jakaś krzywda wyrządzona mej duszy, jej cierpienie. Jest splot zdarzeń, relacji, dążeń. Widzę to wszystko jakimś swoim drugim „ja”, które patrzy na moje cierpienie, które tylko obserwuje, ponieważ nie jest w stanie pomóc. Nie można pomóc.

Powinienem być na pustyni tylko z Tobą, mój Boże. Powinienem być za kratą klasztoru. Czy jednak to obroni przed cierpieniem? Rana zadana miłością nie da się wyleczyć. Jest bowiem wyrwaniem części serca. Nie można jej niczym wypełnić. Może ją usunąć ta część serca, oddana Ci, Boże, gdy wróci, gdy uzupełni serce. Lecz nigdy nie wróci. Moja miłość jest na zawsze w Tobie. Nic więc nie obroni przed cierpieniem.

Miłość jest narzędziem przenoszenia w duszę wielkich zachwyków, wielkich odczuć, wielkich spraw kochającego serca. Ma moc poszerzenia serca i duszy, moc wzbudzenia w intelekcie myśli, przekształcających na lepsze świat i człowieka. Swym doświadczeniem w wiedzy i cierpieniu ma moc nadania większego wymiaru czasom, które są wielkie w swym bólu i w swym pięknie. Bez miłości stajemy w długiej kolejce oczekujących na dar wiedzy i dar dobroci. Wchodzimy w świat spraw małych. Gaśnie ogień, którym możemy oczyścić piękno świata, uszlachetnić dobroć.

Kocham Cię, Boże! Gdyby nie było w mym sercu Twej miłości, stałbym w długiej kolejce czekających na dar wiedzy i dar dobroci. Jesteś, i nie oczyszczam piękna świata, nie uszlachetniam dobroci. Nie ma we mnie wielkich zachwyków, wielkich odczuć, wielkich spraw Twojego kochającego serca. Lecz gdybym nie miał Twej miłości, zabiłby moją duszę głód miłości. Serce byłoby puste, umarłoby nie zasilane Twoją miłością. Umarłoby z głodu, który ma kształt tęsknoty.

Tęsknię do Ciebie, do Twej miłości, do Ciebie, Boże.

Jestem znowu przy swoim biurku, patrzę na książki, na rozpoczęte prace, pracuję, piszę. I piszę do Ciebie. Odrywam oczy od książek, aby patrząc w to, co pozostało w pamięci, przybiegać do Ciebie. Czy jesteś w mojej duszy?

Czytałem powieść, według której wszystkie kłopoty współczesnego świata płyną z tego, że ludzie nie umieją wzajemnie w sobie zamieszkać. Autor powieści uważa, że

jestemy źli, ponieważ nie jesteśmy zamieszkani. Aby być człowiekiem dobrym, trzeba w kimś zamieszkać, gdyż tylko to zamieszkanie w kimś nas ulepsza.

Cieszę się, Boże, że mieszkasz w mej duszy. Czy mieszkam w Twoim boskim sercu? Muszę być dobry na miarę Przedwiecznego Ojca, gdyż takie jest życzenie Boga. Muszę więc mieszkać w Twoim sercu, Boże-Chryście. Musisz mnie tam umieścić, gdyż inaczej grozi mi zło. I grozi mi pustka, brak Ciebie. I tęsknota.

A w związku z inną książką chcę odnieść do Ciebie, Boże, wyczytane tam sytuacje: „Mały książkę” tęsknił do róży.

Ty, Boże, jesteś moją różą. Jesteś moją radością, wytęsknionym szczęściem.

I znowu jestem przy swoim biurku, w swoim ascetycznym pokoju. W pobliżu tapczan, szafa, dwie małe biblioteczki, dwa foteliki przy małym stoliczku, na ścianie linoryt w złotej ramie, na dwu oknach kolorowe firanki, przy radiu płaskorzeźba w drzewie, dużo miejsca na środku pokoju i moja ogromna tęsknota.

Taka tęsknota jest chyba jakimś okupem dawanym Niebu za Twoje serce, Jezu, mój Panie.

Jeżeli kochasz mnie, Boże, to także za mnie odpowiadasz. Obowiązuje Cię odpowiedzialność za moje zgodne z Ewangelią widzenie świata, za rodzaj życzliwości wobec ludzi, za kształt dobroci, którą chcę obdarowywać, za moje serce, za moją miłość. Ponieważ Cię Kocham, więc nauczę się Twojego rozpoznawania szczyrych nastawień ludzkich, Twojej dobroci, Twojego serca, Twojej miłości. Odpowiadasz za mnie wobec Ojca, a ja odpowiadam za siebie wobec Ciebie.

Jestem przy Tobie z ogromną miłością. I myślę o Tobie. Posyłam Ci myśl o Tobie.

Przeoglądam dialogi Platona. Znalazłem ciekawe zdanie, „Rzeczy piękne są trudne”.

Miłość do Ciebie, Boże, jest czymś trudnym i jest czymś pięknym. Jest wiernym trwaniem przy Tobie. Ta wierność i to trwanie wymagają wielkiej ufności. A ufność nie jest łatwa w warunkach tęsknoty. Tęsknota jest stanem, wywołanym poczuciem

nieobecności osoby kochanej. I wbrew niepokojom trzeba ufać, że kochasz moje nieufne serce.

A może to nieprzyjaciel posiał kłokol, który rosnąc w sercu może zasłonić różę, Ciebie Boże. I nie widząc Cię przeżywam lęk. Lecz ufam. Miłość rozwija się w warunkach ufności. I wymaga wolności. Ukochanie Cię jest moim wolnym wyborem, ufną decyzją.

Myśląc o Tobie, Boże, uświadomiłem sobie różnicę między przywiązaniem i zainteresowaniem.

Interesuję się wieloma sprawami. Interesuję się ludźmi, ich problemami, kłopotami, ich radościami i cierpieniem. Interesuję się bardzo szczerze i gdy mogę usiłuję pomóc.

Jestem przywiązany do Ciebie. Znaczy to, że wewnątrz widzę Cię koło siebie jako kogoś bliskiego, najbliższego z przyjaciół, komu muszę nieustannie opowiadać o tym, co poznałem interesując się ludźmi i ich sprawami. Przywiązanie jest wewnętrzną potrzebą, aby ktoś, kogo obdarzyliśmy przywiązaniem, razem z nami się cieszył, aby był kimś, kto zawsze zrozumie, gdyż jest jedyną na świecie osobą, przed którą mamy odwagę otworzyć całe serce.

A przywiązanie można scharakteryzować przypowieścią o perle. Znalazłem drogocenną perłę, Twoją miłość, Ciebie. Tę perłę chcę ukryć w sercu, a jednocześnie ciesząc się nią chcę ją ukazywać znajomym. I nie chcę jej ukazywać. Chcę cieszyć się serce i zawsze mieć w swej duszy. Chcę nią się cieszyć, gdyż człowiek rozwija się w klimacie radości.

Jesteś moją radością, moją wielką radością, moją perłą i różą.

Lecz martwię się, że moja tęsknota do Ciebie, Boże, i moja radość, że jesteś w moim sercu, przybrały kształt obrazu. Wydaje mi się, że przyjdiesz, zadzwonisz, wejdiesz do mego pokoju, do mej duszy, że odczuję Twą obecność. Nie jest możliwe takie przyście, nie jest realne, jest obrazem. Wiem, że tak jest, lecz jednak czekam, nasłuchuję. Tęsknota w kształcie czekania na Ciebie wypełnia moje serce. Martwię się więc, że tyle we mnie tej tęsknoty, a za mało Ciebie.

Tak myślę dzisiaj, tak się niepokoję, tak tęsknię, taki jest mój stan wewnętrzny w tej chwili.

Niepokój wywołuje ucisk w gardle. Nie można wypowiedzieć słowa. I nie można tego opanować. Bo to po prostu płacze serce, samotne, biedne, nieszczęśliwe. Niepokój z czasem ustaje, płacz mija. Wiem przecież, że jestem w Twym sercu, Boże mój.

Jutro jednak znów będę pisał o męce serca. Chciałbym pisać o radości. Niełatwo o niej pisać, gdy dokucza tęsknota. Następne więc listy do Ciebie, mój Boże, znowu będą Ci niosły wieść o cierpieniu, które ma źródło w tym, że nie ma Cię w zasięgu oczu, że właśnie jesteś tylko w zasięgu tęsknoty.

Piszę wieczorem, po powrocie z podróży. Zamierzałem pisać list w pociągu, rozmawiać z Tobą w ten sposób, lecz nie pozwoliły okoliczności. W pociągu musiałem rozmawiać z Ważną Osobą Uniwersytecką, gdyż niespodziewanie spotkaliśmy się w przedziale. I teraz martwię się, gdyż wtedy, w pociągu, wciąż mi było żal, że rozmawiam nie z Tobą, że nie Tobie opowiadam o dniu, o spotkaniach, polemikach, wykładach, kłopotach.

Teraz rozmawiam z Tobą i cieszę się. Cieszę się, że Cię kocham. Miłość to precudna sprawa, coś najważniejszego. To Ty, mój Boże, moja róża, piękne słońce. Chciałbym opowiadać Ci o wykładach, o wszystkim, czym niepokoje się i raduję.

A Saint-Exupery tak pisał w „Liście do zakładnika”: „Wszyscy ... w głębi serca jesteśmy dostępni wahaniom, wątpliwościom, smutkowi... To pewnie dlatego... tak bardzo potrzeba mi Twojej przyjaźni... Do Ciebie mogę przyjść nie włożywszy żadnego munduru, ... nie muszę wyrzekać się niczego z mojej wewnętrznej ojczyzny. Przed Tobą nie muszę się usprawiedliwiać, nie muszę się bronić, nie muszę niczego dowodzić; odnajduję spokój... Jestem Ci wdzięczny, że przyjmujesz mnie takiego, jaki jestem. Jesteś mi potrzebny jak szczyt górski”. Te słowa Saint-Exupery'ego odnoszę do Ciebie, Boże.

Cały tydzień pełno było spotkań, wykładów, posiedzeń. W sobotę wypadł mi udział w weselu i po nocy prawie nie przespanej, dziś - w niedzielę - trzy wykłady w kościele. Już wszystko to się skończyło, jestem w domu i myślę o Tobie. Oczy zamykają mi się z niewyspania, lecz przygotowuję na jutro wykłady i rozmawiam z Tobą poprzez ten list.

Pozdrawiam wszystkich w Twoim niebie.

Pochmurno i smutno, jest marzec i południe, nie ma słońca. Bez słońca zawsze smutno. Popatrz, Boże, nie ma słońca, które stworzyłeś. Zaslaniają je chmury. Ciebie zasłania smutek.

Pracuję nad książką, aby pomóc sercu odejść od smutku. Myśl jakoś sobie radzi, lecz serce wypatruje Cię i przedziera się przez chmury do słońca, do Ciebie. Czytam Twoje słowa, które ofiarowałeś nam w Ewangelii. To uspokaja i pogłębia tęsknotę, a więc zwiększa trud przedzierania się do Ciebie poprzez chmury smutku.

Pracuję nad książką, to znaczy przygotowuję ją już do druku. I zastanawiam się, czy w ogóle ją drukować. Wiele ujęć już mi się nie podoba. W swojej refleksji nad omawianym problemem już poszedłem dalej. Gdybym chciał nowe przemyślenia wprowadzić do tej książki, musiałbym ją na nowo napisać. To ogromna robota i po prostu inna książka. Muszę więc zdecydować, czy opublikować dotychczasową wersję, czy w ogóle jej nie drukować. Martwię się tym i nie wiem, co zrobić.

Pocieszenie znajduję w pisaniu listu do Ciebie i w pisaniu dla Ciebie tej książki. Wszystko, co robię, jest Twoje i jest dla Ciebie, mój Boże, słońcu poza chmurami smutku.

A z innych zmartwień najdotkliwszy jest niepokój, Boże mój, Boże, „posyłaj choć puste koperty”. Tak bardzo boli brak znaków Twej miłości. Znaki sakramentalne wystarczają mojej duszy, nie wystarczają psychice, wciąż pozbawionej Twej bezpośredniej obecności. Muszę Ci bowiem opowiedzieć, że mam dużo pracy, że moja Mama jest chora. „Jesteś mi potrzebny jak szczyt górski, gdzie można odetchnąć pełną piersią ... , w spokoju płynącym z uśmiechu podobnego do dnia”.

Posługując się tym pięknym zwrotem: „jesteś mi potrzebny”, nie myślę tylko o sobie. Myślę o Tobie. Chcę, abyś nie miał ze mną kłopotów, lecz abyś miał wiele radości, który jesteś moją radością i słońcem, złotym słońcem mojego cierpienia, moją stałą tęsknotą.

Piszę tak dużo o sobie, o swoich kłopotach i radościach, o swych nastrojach. Dużo w tym wszystkim tego właśnie nastroju. Jest on sposobem wyrażenia tęsknoty.

Pada okropny śnieg. Oddziela od słońca. Boże mój, tak wiele rzeczy oddziela od Ciebie. Co zrobić, aby one zbliżały, a nie oddzielały?

Zza zasłony chmur i śniegu przyślij, Boże, promień pociechy. Muszę przecież jakoś żyć i nie dać się tęsknocie.

Czy bierzesz pod uwagę to, mój Boże, że mogę umrzeć z duchowego głodu? Posilam się Chlebem, którym jesteś. Posilam się „dobrą nowiną”, wieścią o Tobie. Wciąż jednak tęsknię. Dlaczego tak boleśnie tęsknię do Ciebie, Boże, dlaczego?

W tej pisanej rozmowie z Tobą odpoczywam, nie czuję głodu duszy i mniej boli tęsknota. Czasem mi się wydaje, że za dużo piszę, lecz nie mogę nie pisać. Nie znaczy to, że za dużo się modlę. Nigdy nie za dużo modlitwy. Za dużo tylko nastrojów w moich listach. Są jednak. Mogę się od nich uwolnić, gdy Ci je oddam, ofiaruję Twemu rozumiejącemu sercu, jako znak mej biedy. Piszę więc nimi swoje listy do Ciebie, biedną ludzką modlitwę w brzydkim stroju emocji.

Gdy słucham muzyki, żal mi, że nie słuchasz jej ze mną, Boże mój, oddalony o chmury tęsknoty. Gdy z kimś rozmawiam, żałuję, że nie z Tobą omawiam ciekawe sprawy. Gdy czytam książkę, także żałuję, że tego nie czytasz, Boże, który przecież znasz wszystko. Gdy zobaczę kwiaty, myślę zaraz, że powinny zdobić Twój ołtarz. Znak Chleba mówi mi, że jesteś i że czynisz swą miłość darem dla mnie. Wszystko to wiem i uznaję aktem wiary, której zawdzięczam realny kontakt z Tobą. I mimo wszystko tęsknię.

Z tej tęsknoty tak blisko do Ciebie. Niech Cię nie martwi, Boże, ta tęsknota i nastrój. Przynoszę Ci je, gdyż przez nie czuję się bliżej Ciebie.

Minął śnieg. Jest słońce. Na moim biurku ktoś ustawił wiązanekę stokrotek. Lecz nie ma mojej róży i nie ma mojego słońca. Nie ma Ciebie.

W mej duszy, a raczej tylko w mej psychice umiera nadzieja. Nie zobaczę Cię, Boże. Nadzieja umiera wtedy, gdy miłość, która trwa i która będzie trwała, nie otrzymuje znaku, że tęsknota dotarła poza przeszkody, że nastrój spotkał ukochaną Miłość. A przecież teksty dzisiejszej mszy zbiegają się z moim smutkiem i pozwalasz nastrojom wyrażać Ci tęsknotę. Więc „wejrzyj na mnie, o Panie, ... bom opuszczony i biedny” (introit). I zaraz odpowiadasz na ten głos nastroju, smutku i tęsknoty: „Porucz

swą troskę Panu, On sam o Tobie mieć będzie pieczę. Kiedy wołałem do Pana, On wysłuchał mej skargi” (graduał).

Jesteś i nie ma Cię, Boże. Jak gdyby wyrwano mi część serca. Moja teraz przeżywana tęsknota boli jak rana tego właśnie zranionego serca, którego część wyrwano. Jest samotnością psychiki.

Nie gniewaj się, Boże, że piszę to wszystko tak trochę nieporadnie, językiem niemodnym. Mimo wszystko jest to zarazem język cierpienia. Boże mój, Boże, nie mam siły być bez Ciebie. Jak przetrwam dzień, i następne dni, tygodnie, lata?

Mam w sercu obraz Twojej miłości, nakreślony tęsknotą. I tęsknię, straszliwie tęsknię.

Najgorsze jest to, że nikt i nic nie może mnie pocieszyć. Spotkałem znajomych i żal straszny, że to nie Ciebie spotkałem idącego z Jerycho do Jerozolimy, że rozmowy nie z Tobą. A czasem wydaje się, że ta tęsknota właśnie oddala mnie od Ciebie, że zbyt zapelnia serce, które winno być wciąż pełne tylko Ciebie.

I znowu pełno u mnie ludzi, a myślę tylko o Tobie. Rozmawiam ze wszystkimi i wciąż tylko rozmawiam z Tobą. Pragnę Twojej uwagi, Twojej obecności, Twojej miłości, Jezu Chryste.

Jakże mądre są słowa Lieberta. Raz jeszcze kieruję je do Ciebie, mój Boże. „Potrzeba mi pokoju Twoich rąk wyciągniętych (Jestem jak trzepocący motyl na srebrne igły wpięty)”. „Bez Ciebie dni me jak korale wyjęte z morza schną i bledną. Wiem jedno - Twoje tylko oczy i Twoje ręce są nade mną”. Potrzeba mi pokoju, uwolnienia od smutku i tęsknoty. Potrzeba mi Ciebie, Boże, gdyż „bez Ciebie dni me jak korale wyjęte z morza schną i bledną”. „Są podobne do wydłużonego cienia” (Ps 102).

I, jak dawniej, nasłuchuję dzwonka. Wydaje mi się, że przyjdiesz, że także tęsknisz do mej miłości tak ogromnej i wiernej.

Dziś Wielki Piątek, odpowiewani dzień na doświadczanie cierpienia.

Nie ma Cię, Boże. Zastanawiam się więc, czy w drodze krzyżowej Chrystusa jest stacja opuszczenia. Owszem, było opuszczenie w Ogrójcu. Odeszli nawet najbliżsi. Zmęczeni się cierpieniem Chrystusa. Odeszli. Właściwie pozornie odeszli.

Jan zawsze był przy Chrystusie, nawet gdy zasnął w Ogrójcu. Chwytam się tej myśli: Jan tylko pozornie odszedł. Był.

Dziś jednak nie ma Cię, Boże, Jezu Chryste. To nie budzi lęku, zniechęcenia, oddalenia. To tylko boli. Strasznie boli.

Nie odejdę od Ciebie, Jezu, gdyż jesteś w mej duszy. Jesteś we mnie, w smutnym Ogrójcu cierpienia. Zasnąłeś pod drzewem oliwnym. Pozornie odszedłeś. Jesteś, nic nie mówiąc. Bo przecież miłości nie można opowiedzieć. Można nią tylko obdarować. Obdarowałeś mnie, Boże, swą miłością na zawsze.

Moja miłość do Ciebie jest uwikłana w uczucia. Lecz tak reaguje człowiek. Gdy obudzi się tęsknota, pojawia się wzruszenie i wyraża się jakimś przyspieszeniem bicia serca, ściskaniem krtani, czasem łzami napływającymi do oczu. Nie umiem tych nastrojów i uczuć oddzielić od miłości. Niech więc bołą, pozwól Panie Jezu! I „pozwól mi zrozumieć drogę Twych postanowień ... Słów Twoich nie zapomnę” (Ps 119).

Piszę znowu o wewnętrznym nastroju: czuję się zupełnie zagubiony, smutny, opuszczony. Widzę puste pola, słyszę wiatr. Widzę drzewo, które się oddala, nadzieję cienia w upalne dni cierpienia. Wyciągam do Ciebie rękę.

Bez miłosierdzia Twej obecności i Twej pomocy zagubię się w swych udrękach i w swoim cierpieniu. Przyznaję się do swej nieporadności, proszę Cię o pomoc, Panie Jezu. Gdy szukam tej pomocy gdzie indziej, bardziej cierpię. Ujawnienie bólu duszy wymaga klimatu zrozumienia, jakiejś pewności, że ktoś pojmuje mój los. Wymaga miłości. Cierpienie tęsknoty jest tak ogromne, że wymaga nieskończonej miłości. Tobie więc, Jezu Chryste, zwierzam swą cierpiącą miłość. Nie zostawiaj mnie tak blisko załamania, tak blisko granicy, za którą jest brak nadziei.

Odwołuję się do Twego miłosierdzia. I teraz tylko tyle wiem, że nie mam siły być bez Ciebie, że kocham Cię całym swym sercem, zupełnie udręczonym, ufnie kierującym się do Ciebie, Boże mojej nadziei, Boże mojej miłości.

Boże mój, urzekły mnie słowa Dantego. W „Boskiej komedii” Dante napisał: „Wielką miłością swoich ja kochałem, dzisiaj ta miłość tu się doskonali” (Czyściec VII,

20). A w „Vita nuova” znalazłem takie zdanie: „Sercom, które kochania znają błogie tchnienie, jeśli te słowa przed oczy im staną, w miłości ... ślę pozdrowienie”.

W Twej dobroci i w Twoim sercu, mój Boże, w radości i cierpieniu, w męce przemyślenia i przetrwania marzeń, nastrojów, tęsknoty, kształtuje się moja miłość. Tą miłością, pełną tęsknoty, pragnę pozdrowić wszystkie serca, „które kochania znają błogie tchnienie”, dzieląc się najpierw z Tobą, mój Boże, swoją radością i cierpieniem.

Straszliwy wszędzie głód humanistyki, filozofii i teologii. To wszystko, co mam na co dzień: teologiczne ujęcia i filozoficzne analizy, są dla innych ludzi rzadkim i świętym wydarzeniem.

Mówiłem więc do mikrofonu wśród oleandrów. Wykład wypadł dość średnio. Z sali przyszły karteczki, że było świetnie. Mówiłem o wierze. Część teologiczna była dobra, lecz ujęcia bardziej metodologiczne o różnicy między wiarą i wiedzą, teologią i nauką, wypadły raczej niejasno. Mimo wszystko poproszono mnie o przeprowadzenie rekolekcji. Musimy naradzić się, mój Boże, czy przyjąć propozycję.

Teraz, myśląc o Tobie, patrzę na kwiaty, a raczej patrząc na kwiaty myślę o Tobie. Są dwa wazony róż. Marzę jednak o jaśminach. Chciałbym zanurzyć w nich twarz, cieszyć się ich pięknem. Marzę i myślę po prostu o Twoim sercu, mój Boże, o Tobie.

Wczytuję się w tekst Ewangelii. I wciąż znajduję pocieszające myśli i słowa. I wiele ujęć, nad którymi myślę. Wszystko to przynosi pokój. I przynosi radość. Dzięki tym tekstom, dzięki Tobie, Boże, szerzej widzę świat i siebie. Coraz bardziej też rozumiem Ciebie. Coraz jaśniej widzę, że aby rozwijać się wewnątrz, trzeba kochać. Kochać Ciebie i ludzi. Rozwija nas tylko miłość. Lepiej wtedy widzi się, czym trzeba obdarzać ukochaną osobę. Zresztą daje się wszystko: całą duszę, całe serce, całą miłość. Miłość bowiem jest darem, którym jest osoba. Bez niej, bez jej obecności, bez Ciebie, Boże, Chryste, zamiera się. Żyje, ponieważ Ty jesteś, prawdziwy dar, dany ludziom przez Boga Ojca.

Wciąż czytam tekst Ewangelii i poprzez zapisane słowa widzę Cię, Jezu. Słyszę Cię, rozmawiam z Tobą. I tęsknię.

Ewangelia jest skomponowana w urzekającą całość. Jesteś w jej słowach żywy, kochający, wciąż z nami i wciąż w nieustannej wewnętrznej modlitwie. Kochający i ukochany.

Przyjmij całą moją miłość, który jesteś pociechą i radością ludzkich serc, słońcem, bez którego się umiera, nadzieją, której brak sprawia pustkę nie do wypełnienia. Który jesteś Miłością.

Swoistą tajemnicą jest cierpienie wywołane tęsknotą.

Latem pojadę nad morze, żeby zahartować gardło, wzmocnić serce. Teraz męczy mnie niepokój, że nie kochasz mnie Boże, który kochasz, który jesteś miłością.

Oglądałem w telewizji dramat Czechowa pt. Mewa. Jest to problem losu osób niekochanych. Widzę inne rozwiązanie niż Czechow.

Można przecież przetrwać cierpienie, można po prostu zawsze cierpieć, zawsze tęsknić.

Wszystko, co piszę w listach do Ciebie, Boże, to tylko tęsknota, wyrażająca się w obrazach i nastrojach. A list, to nieporadny ambasador serca.

I znawu muszę powiedzieć, że bardzo boli tęsknota, brak Ciebie.

Dlaczego nie umiem uprosić Cię, abyś zmniejszył ból tęsknoty?

Tęsknota do Ciebie, Boże, a więc miłość opłątana uczuciami i nastrojem, daje znać o męce tych uczuć najpierw przez skurcz gardła. Jeszcze raz więc muszę Ci, Boże, opowiedzieć, że ten skurcz nie pozwala wyjść na zewnątrz bezgłośnemu łkaniu, które rozrywa serce. I potem nie wiem, czy to ten skurcz tak boli, czy raczej boli tęsknota. Często tym skurczem zamykam serce. Niech łzy tam pozostaną.

Nie wypada, aby dotarły do oczu. Dziś nie mam siły panować nad sercem. I oczy stały się wilgotne. Mijają godziny. Oczy stały się zupełnie wilgotne. Nie uciszasz tęsknoty, mój Boże z Ogrójca. I lękam się, że Cię utracę.

Pociesza mnie nadzieja, że nie utracę Cię, Boże, gdyż nie odejdę od Ciebie. I Ty pozostaniesz przy mnie.

Tęsknię do radości, do przeżywania Cię w radości. Chciałbym chodzić po górach, w słońcu, kąpać się w morzu i wciąż tam modlić się radością Twojej obecności w moim sercu.

Moja miłość do Ciebie, Boże, ma nie tylko wersję cierpienia. Ma także tę wersję radości, budowanej na nadziei, że zechcesz udoskonalić moją miłość, przyjąć ją i umieścić w swym sercu.

Nie gniewaj się na mnie, Boże, że piszę o cierpieniu, o tęsknocie, o łzach i bólu. Piszę także o nadziei. Mojej miłości do Ciebie staram się nadać kształt określony w Ewangelii. Teraz jednak po prostu boli tęsknota.

To nic, że wewnętrzna męka wyciska mi łzy z oczu. To nic. Nie martw się tym, Boże mój, Boże, że w taki sposób przeżywam teraz miłość do Ciebie.

Powierzam tym listom swój niepokój, swoją tęsknotę, informację o miłości do Ciebie, Boże. I proszę Michała Archanioła, aby zaniósł Ci treść tych słów i zawartą w tych słowach miłość.

Dałeś mi, Boże, tę gwałtowną, bolesną miłość do Ciebie. Rozumiesz ją i otaczasz swą miłością. Każda miłość powoduje dobro. Dobro więc jest owocem tylko miłości.

Jakim dobrem jest moja tęsknota, smutek, cierpienie? Wciąż o Tobie myślę, Boże. Tak mi tu smutno, ciężko.

Jesteś, Boże, moją radością, nadzieją, miłością, moim smutkiem i cierpieniem, moją jedyną tęsknotą.

Jechałem autem obok zielonych trawników z kwitnącymi kaczeńcami. Takie złote główki w zielonym tle, kawałki rozrzuconego złota. Złote, maleńkie słońca. I przypominało mi to Ciebie, moje złote słońce, złote słońce mojej tęsknoty, mój Boże.

Po prostu myślę o Tobie i kocham Cię, ukochany Boże. „Ciebie szukam; Ciebie pragnie moja dusza... jak ziemia zeschnęła, spragniona, bez wody” (Ps 63). „Dusza moja pragnie Boga, Boga Żywego, ... Boga mego życia, ... mojego Boga” (Ps 42).

2. DZIEJE PODRÓŻY

Kraków

Oglądałem album zdjęć Krakowa, pięknego Krakowa i pięknych zdjęć. Najdłużej i z zachwytem patrzę na mój ukochany witraż Boga Ojca z kościoła franciszkanów. Przez ten witraż widzę Cię, Boże, w komnatach Wawelu, w domu Wierzyńka na piętrze przy stoliku pod oknem, skąd oglądasz Rynek, Sukiennice, kościół Mariacki i moje serce. Widzę Cię, Boże, w kolorach Plant, w pięknie Krakowa. Widzę Cię także w pięknie moich nadziei tęsknot. Wzrusza witraż twarzy Boga i wzrusza Twoja, Boże mój, obecność. W witrażowej twarzy Boga zjawiający się uśmiech ma kształt spotkania Twoich i moich nadziei, Twojej i mojej miłości.

Bądź blisko mej duszy, Boże mój! Razem przejdźmy Plantami w kierunku Wawelu i dalej - w poranek i słońce, w blask Twojej dobroci. Odkryj w mych oczach przywiązanie i radość, że idę ku szczęściu, ku Twemu sercu, które łagodzi tęsknotę.

Tęsknota jest smutkiem, rozdzierającym serce nastrojem oliwnych gajów Grecji, złotem i bielą jej marmurów.

Twoja miłość, Boże, jest pięknem naszych myśli, ich blaskiem, nadzieją, ich marzeniem. Jakże bardzo pragnę nigdy nie utracić, Boże, Twojej miłości, nigdy się z nią nie rozstawać, mieć ją zawsze w zasięgu swych tęsknot. Jest ona przecież naszym losem, właściwą drogą, spotkaniem, które zdobi szczęście świata.

Czy ukocham Cię, Boże, tak mocno, jak Ty mnie kochasz? Nie wiem bowiem, czy zaufam swej wrażliwości na piękno zdarzeń, na piękno perspektyw, napiętno nadziei, które pozwoliły mi, być z Tobą, odnalezionym przez witraż z kościoła franciszkanów.

Jesteś ze mną, Boże, gdy zachwyam się pięknem Krakowa, i jesteś, gdy zbliżam się do progu smutku. Olśniewasz moje oczy, moje serce, moją duszę. Jest przy Tobie całe moje przywiązanie, cała tęsknota mojej miłości, cała miłość.

Dar miłości, który złożyłeś w mym sercu, może umocnić mą duszę, ukształtować ją, skierować ku dobru. Wiem jednak, że aby Twoja miłość, Boże, miała moc kształtowania mej duszy, muszę także ja dar swej miłości wnieść na Twój ołtarz, wybrać Cię, na zawsze ukochać. Muszę wewnętrznie przywiązać się do Ciebie, tęsknić do Ciebie, tak jak tęsknię do słońca. Który jesteś moim słońcem.

Już kocham Cię, blasku naszych myśli. Tęsknię do Ciebie. Okrutny porządek dnia wyrывa mnie z wewnętrznego przebywania z Tobą. Mam w oczach obraz Twoich oczu, obraz Twej twarzy z witraża. W sercu mam Twoje serce.

Gdy siedzieliśmy w fotelach krakowskiej kawiarni prosiłem: zawsze pamiętaj, mój Boże, że kocham Cię. Gdy będzie mi smutno, bądź przy mnie. Przyjdź! Zawsze podejmie Cię moja tęsknota. I Ty zawsze podejmij moje serce, gdy będę wracał ze swych wędrówek i poszukiwań. Zawsze czekam na Ciebie, Boże. Zawsze czekaj na mnie, Boże! Zawsze będę Cię kochał. Zawsze kochaj mnie, Jezu! Kocham Cię nieodwołalnie, mocno, głęboko. Wiem, ile powinienem się uczyć, jak rozwijać serce. Wiem, ile powinienem tęsknić. Nie zawiodę Cię, Boże, ponieważ Cię kocham. Myślę o Tobie, moja tęsknoto, nadziejo moich tęsknot.

Jeszcze się niepokoję, jeszcze się lękam, że mogę nie umieć przywiązać się do Ciebie, Boże, rozpoznać Twej miłości, wielkich perspektyw Twojego szczęścia, drogi do dobra i prawdy. Tak jeszcze małe jest moje doświadczenie w nadziei, w cierpieniu, w wierności Twemu sercu. Jeszcze po ludzku marzę o Tobie, jeszcze oglądam witraż twarzy Boga Ojca w albumie zdjęć Krakowa, pięknego Krakowa i pięknych zdjęć.

Witraż Boga Ojca przypomina mi, że chcesz kochać mnie, Boże, jak ojciec. Poprzez ten witraż patrzę na Ciebie. Czuję Twoją dobroć. Zaufałem Twojej dobroci. Poszedłem za ufnością swego serca, teraz skierowanego do Ciebie na zawsze. Nigdy już nie będę w stanie od Ciebie odejść. Ty także ufasz mi, Boże. Ufasz mojej tęsknocie, mojemu zachwytowi. Zachwycam się Tobą, mój Boże, który jesteś złotym słońcem mojego życia. Jest w tym obrazie stwierdzenie, że stanowisz źródło właśnie mego duchowego życia, mojego spokoju i mojego cierpienia, mojej tęsknoty i mojej miłości.

Tak zresztą prosta, tak jasna jest miłość człowieka do Boga. Oddycham, Boże, Twoją miłością, oddycham Tobą, jak powietrzem niezbędnym do życia. Jesteś jasnym porankiem mojego upalnego południa. Nie mam siły być bez Ciebie i nie mam siły do Ciebie tęsknić. Pragnę wciąż być z Tobą, nie rozstawać się nawet myślą. I nie umiem chronić mej miłości do Ciebie. Przynoszę Ci tylko swoją miłość, wszystkie tęsknoty. I Ty przynosisz mi, dajesz swoją miłość.

Czy jednak będzie we mnie tyle poezji, bym podjął piękno tego powiązania? Żyję nadzieją, że moje serce nie cofnie wyboru, że wybrało, Boże, Twoją miłość.

Podejmij na zawsze moje serce! Niech moimi tęsknotami będą Twoje życzenia!
Niech trwa poezja spotkania Cię i wyboru!

Dar Twej miłości jest moim życiem. Niech miłość ta stanie się przedmiotem
mych marzeń, moich dążeń, spełnieniem tęsknot, Boże moich marzeń, serce mojego
serca, duszo mojej duszy, Boże mój!

Wyjdź, Boże, z albumu pięknych zdjęć Krakowa, z witrażu kościoła
franciszkanów. Przejdźmy ulicą Floriańską ku rzeźbom Wita Stwosza, do ogrodu
kwiatów na Rynku, w dźwięki dzwonów wieży mariackiej, w piękno moich nadziei, w
trwanie szczęścia, które jest pięknem świata i człowieka.

Toronto

Pada śnieg, mój Boże. Zimno i smutno, bolesny stan mego serca. Śnieg wzywa
w góry, w szalony pęd po zboczach.

Tymczasem jestem tu, przy radiu i choince. Patrzę na płomień świeczek, na
kolorowe zabawki, zawieszane na choince, na odbite w zabawkach swoje oczy, na
bolesny stan serca.

Patrzyłem w południe na zimne piękno śniegu. Mieni się barwami, porywa. Nie
broni jednak przed tęsknotą.

Bądź ze mną, Boże! Wejdźmy razem w zimowe zdjęcia albumu Toronto.

Queen's Park pokryty śniegiem. Nie pójdziemy w kierunku muzeum. Okrążymy
park. Tu na chodniku nie ma śniegu, jest cieplej. Pójdziemy w kierunku King Street,
najpierw pod ratusz, potem może w kierunku jeziora. Obejrzymy książki w oknach
księgarń i świąteczne wystawy w sklepach Eaton'sa. Jest jednak zimno. Wezmę auto,
pojedziemy wzdłuż linii metra. Przedtem popatrzę na ciszę Webster Avenue. Zawiozę
Cię, Boże, na Poplar Plains Road, taki placyk maleńki z pogodnymi domami. A potem
długo będziemy na Elmsley Place. Dojdziemy tam z Queen's Park, skąd wchodziliśmy
w zimowe zdjęcia albumu Toronto. Po drugiej stronie Queen's Park widać gmachy uni-
wersytetu, a po tej stronie wokół Elmsley Place znajduje się St. Michael's College. Tu
zostaniemy. Popatrz, Boże mój, jak piękny jest w tym kościele obraz Michała
Archanioła. Malarz przedstawił go trochę jak piłkarza, który czujnie strzeże bramki.
Założył mu krótki pancierz na piersi i włożył do rąk ognisty miecz. Archanioł oparł ten

miecz o ziemię i położył dłonie na rękojeści. A twarzy dał wyraz zatroskanego studenta, który jednak wie, że zaradzi złu.

Pamiętasz, Boże, z książki „On ma wzrastać”, że to właśnie ten Michał Archanioł zaprosił mnie do swojego College w Toronto i że dlatego jesteśmy teraz na Elmsley Place. Słucham tu wykładów, poznaję myśli, które formułują pracujący tu uczeni.

A teraz cieszę się wewnętrznym spotkaniem Ciebie, Boże. I cieszę się tym dobrem, którym jest Toronto, do którego weszliśmy przez zimowe zdjęcia.

Bądź ze mną, Boże, gdyż z Tobą chciałbym iść dalej, w inne albumy, do innych miast, ku innym marzeniom, ku Tobie.

Pałac w Wersalu

Jeszcze zima, mój Boże, jeszcze śnieg przed domem, lecz także kilka godzin ciepłego słońca w południe. Patrzą przez okno z pokoju, w którym jestem. Nad drzwiami barokowy aniołek, na ścianach drewniane posąжки świętych, na sprzętach kolorowe świece, a na stoliku, przy fotelu, filiżanka herbaty zupełnie zapomniana. Słucham mszy beatowej, odtwarzanej z płyty. Widzę i słyszę to wszystko patrząc przez okno w ciepłe zimowe słońce.

Jesteś, Boże, słońcem mojego nieba. Ogrzewasz moje dłonie, rozjaśniasz oczy. Bez Ciebie nie widziałbym piękna świata. Byłbym niewidomy, pogrążony w nocy, w smutnej nocy smutku.

Nie jestem smutny, Boże, ponieważ Ty jesteś. A łzy płyną mi z oczu tylko dlatego, że patrzą przez okno w zimowe słońce, gwałtowne, iskrzące się w śniegu.

W tej chwili nie widzę Cię, Boże, nie czuję, nie słyszę. Wyglądam więc przez okno, wypatruję Cię, szukam swojego słońca. Widzę je na niebie, ogromne, złote, raniące oczy. Strząsam łzy, gdyż zasłaniają mi Ciebie.

Przecież widzę Cię swym sercem. Jesteś w sali lustrzanej Wersalu. Wysiadam ze złoconej karocy. Pojazd minął bramę Wersalu, wjechał na dziedziniec pałacu, idę po schodach do sali lustrzanej, gdzie spotykam Cię, złote słońce mej duszy.

Boże, idę ku Tobie, ku słońcu mojego cierpienia, ku jasnemu światłu mych oczu. „Cieszyć się będę i radować Tobą, ... o Najwyższy” (Ps 9).

Długa jest sala lustrzana wersalskiego pałacu. Idę ku Tobie, idziesz ku mnie. Widzę Cię jednego i tysiąc Twych postaci w lustrzanych ścianach sali. Widzę Cię wszędzie i tylko Ciebie. Mijam damy dworu urzeczony nadzieją spotkania. Pozdrawiają Cię książęta. Idę ku Tobie, aby rozjaśnić swe oczy słonecznym blaskiem Twej dobroci, spotkać serce mojego serca. Spotykam Cię, Boże, w najgłębszej tęsknocie mej duszy. Wciąż trwa muzyka mszy beatowej. Podnoszę z tacy roznoszony napój i trzymam w dłoni zapomnianą porcelaną, maleńką filiżankę herbaty.

Ty wsłuchujesz się w muzykę tklivości, przesyłaną Ci w moich słowach. Muzyka ukrytej na balkonach orkiestry zmienia nastrój.

Wiruje po sali barokowy aniołek, w taneczny rytm włączają się drewniane posążki świętych. Tańczy tysiąc par lustrzanych ścian sali. Łagodny rytm, uroda barw i muzyki, i nieskończona odległość Twego serca. Jestem tańcem wyciągniętych ku Tobie dłoni, ku światłu słonecznych promieni, które ożywiły drewniane posążki na ścianach pokoju, barokowego aniołka znad drzwi, które prowadzą do dalszych komnat wersalskiego pałacu. Nie pójdziemy tam, Boże. Przeprowadź mnie wśród dam i książąt do królewskiej biblioteki, do przeciwległego skrzydła pałacu w towarzystwo książek, które mówią o dobru i pięknie, o Tobie. W sąsiedniej jadalni posilę się owocami, które podawano do stołu cesarza Bizancjum. I zanim odjadę w złoconej karocy, obejrzę fontanny w pałacowych ogrodach. Lecz zbliża się godzina siódma. Muszę wracać. Zamykają pałac dla zwiedzających. Zamyka się złota brama Wersalu.

W sali lustrzanej rozmawiam z dziecięcym marzeniem. Nie ma sali, nie ma Ciebie. Nie ma muzyki, która Cię przybliżała. Nie ma Cię, Boże.

To wszystko było wczoraj. Dziś jest tylko pokój z barokowym aniołkiem nad drzwiami, z drewnianymi posążkami świętych na ścianach, z kolorowymi świecami na sprzętach, z filiżanką zupełnie zapomnianej na stoliczku herbaty.

I jest okno, przez które patrzę na ciepłe, zimowe słońce. I są łzy w oczach.

Nie płaczę. Już nie płaczę. Patrzę tylko w przyszłość, w piękno, które może się stać, gdy pozostaniesz na zawsze w mej duszy. To tylko tęsknota zmusza do tych wyobrażeń, do nadziei spotkań, do szukania Cię, do przebywania z Tobą, do czytania Twych słów w Ewangeli.

Widzę całe piękno naszego odnalezienia się, Boże. Lecz jaki kształt nadać temu pięknu, jaki kształt nadasz mu, Boże? To będzie kształt miłości, gdyż w innym wypadku nie przetrwałbym niepokojów, trudności, zagrożeń, kryzysów, udziału wyobraźni. Tylko bowiem miłość ocali we mnie dobro, które tworzysz w mej duszy swoją miłością.

W Lublinie film „Wszystko na sprzedaż”

Tęsknię do Ciebie, Boże. Podnoszę oczy znad biurka, przy którym piszę, patrzę w okno, w granatowy prostokąt. Zamglony księżyc ledwie przebija się przez mrok wieczoru, oświetla kilka gałązek drzewa, które latem jest kwitnącą akacją. Gałązki poruszają się, jak gdyby kołysał je pogodny i smutny księżyc. Tęsknię. Jest wieczór i prostokąt obrazu, zbudowanego z okna, księżycy i akacji.

Wszystko jest materiałem, który można przetworzyć w dzieło piękne. I mnie możesz przetworzyć, Boże, w piękną wierność Tobie.

Byłem na filmie „Wszystko na sprzedaż”. Drobiazgi przetworzono tam na wstrząsające piękno. Jest to film o tworzeniu filmu. Są skonstruowane sceny i jednocześnie ujawnianie warsztatu, samego tworzenia filmu. Jest opowiadanie o aktorze, który fascynował reżysera, o aktorze, który zginął. Jest poszukiwanie sposobów przedstawienia jego talentu, podejmowanie pozornie różnych i nieważnych wątków. W sumie jest to czysta poezja tragedii zmagania się życia ze śmiercią, przemijania i trwania, zapominania i pamięci, zwycięstwa dobrych pomysłów, dobrej gry i przegrana scen nieudanych, złej interpretacji, coś z filmu „Osiem i pół”, coś z „Powiększenia”, lecz autentyczna, odrębna, prawdziwa, nowa wizja, samodzielna całość, poezja życia przekazana filmowymi środkami. I końcowa scena, jakieś „exultet” wielkanocne zwycięstwa życia i dobra, zwycięstwa dobrej gry, interpretacji, dobrej sztuki, trafienie na wartość, której się szukało, wyścig z najmocniejszymi pasjami, sama młodość zdobiąca żywioł życia, myśl i ciało, piękno i siłę, pokazywana w przejmującej gonitwie człowieka i rozpędzonego stada koni, hymn radości, piękno wartości ziemskich.

Oglądając ten film czułem się bliżej dobra, bliżej Ciebie, Boże. Jestem wstrząśnięty. Narastające we mnie napięcie uwagi, przejęcie, zdumienie, wzruszenie, pod koniec filmu wyzwołyły się w formie łkania, którego nie umiałem opanować.

Znalazłem się bowiem wobec piękna, które wstrząsa, dosięga dna duszy, coś zmienia i oczyszcza, wywołuje grozę. Zawsze wywołuje grozę zetknięcie się z wielkością.

Nie umiem tak pisać, tak przybliżać piękna, tak opowiadać, jak w tym filmie opowiadano o tęsknocie żalu, śmierci i życiu. Piszę o bólu, który się zdarza, który dociera do nas z najzwyklejszych zdarzeń, z popularnej melodii, ze zwykłych spotkań, gestów, słów, gdy dokucza tęsknota do Ciebie, Boże. Piszę źle, nużąc. Muszę jednak pisać, muszę bowiem poszukiwać Cię, Boże, i odnaleźć w wielu sprawach codziennego życia, w swej duszy pełnej zaplątanych zdarzeń.

Tęsknię, Boże, gdyż nie jesteś dla mnie jednym z przyjaciół, którzy cieszą, gdy ich spotkamy, i których się nie szuka, gdy nie przyjdą. Wypełniasz serce inną tęsknotą, inną miłością. Jesteś najbliższy, wciąż poszukiwany. Zabierają mi Cię codzienne wrażenia, wielość spraw. Oddzielają. Bez Ciebie moje życie traci sens. Miłość, która swym pięknem mogłaby ozdobić świat, nie może się rozwinąć.

Jakże jednak bardzo kocham Cię, Boże. Całą swą winą, męką, tęsknotą, całym cierpieniem, swoją ucieczką od Ciebie, Muszę uratować dla Ciebie swoją miłość wbrew nastrojom, niepokojom, smutkowi, wbrew cierpieniu. Świat widzialnego i nie widzialnego zła będzie się wysilał, żeby mi odebrać Twoją miłość i odebrać Ci dar mojej miłości. Gdy utracę tę miłość, nie dźwignę się z klęski. Muszę walczyć. Muszę walczyć o miłość. Muszę walczyć razem z Tobą, przy Tobie, o moją miłość do Ciebie, Boże. Sam nie rozegram walki dobra ze złem, życia ze śmiercią, miłości z możliwością jej utraty.

Konstruuje tu teorię i ból, nadzieję i tęsknotę. Pragnę ocalić marzenie, Boże moich marzeń. Pragnę, abys przetworzył mnie w wierność Twojej miłości.

Na morzu w drodze do Ziemi Świętej

Moim błędem, lecz zapewne także siłą, jest to, że kochając Cię, Boże, jednocześnie z jakiejś wewnętrznej odległości śledzę trwanie i rozwój mojej do Ciebie miłości. Widzę jej motywy i źródła, jej stan obecny, jej perspektywy i konsekwencje, Widzę wiele aspektów moich powiązań z Tobą, psychiczne uwikłania, teologicznie ważną rolę tego, co przeżywam, filozoficzny ładunek przemyśleń i doświadczeń. Jeżeli nie uratuję tej miłości do Ciebie, jeżeli nie pozwolę, aby powiązała mnie z Tobą, to nie

tylko ja doznam klęski. Jeżeli nie uratujesz, Boże, mojej miłości do Ciebie, jeżeli nie umocnisz jej powiązań z Twoją miłością, to nie tylko ja doznam klęski. Będzie to znaczyło, że miłość, że jej przeżycie i utrwalenie są sprawą niezwykle trudną, przerastającą możliwości ludzkiego serca. Trzeba ogromnej wrażliwości i wiedzy teologicznej, aby rozpoznać to, co niszczy tę miłość, i to, co ją umacnia. Trzeba głębokiego przeżycia teologii, aby dostrzec wartość miłości, aby umieć jej bronić wbrew trudnościom psychicznym, aby ją wydzwignąć ponad drobiazgi, ponad uczucia, którymi także się karmi i zarazem nie zerwać jej związku z głębą uczuć, nastrojów i tęsknot.

Boże, ta miłość, bez której moje życie traci sens, miłość konieczna dla mej wewnętrznej równowagi, dla rozwoju wartości ludzkich, dla mego szczęścia, jest wtedy prawdziwa, gdy Ty ją kształtujesz w mej duszy.

Dostępna jest nam także miłość ludzka. Jakże jednak często niewystarczalność ludzkiej miłości uważamy za pomyłkę, jakże często wtedy ze smutkiem od kogoś odchodzimy. A właśnie miłość była prawdziwa. Spełniała swoje zadanie przywoływania Boga.

Jakże często nieodczuwanie Twojej w nas miłości, jakże często, Boże, uważamy za brak tej miłości lub przypuszczamy, że nie kształtujesz jej i nie rozwijasz w naszej duszy. I jakże często mylimy miłość do człowieka z miłością człowieka do Boga.

Często kierujemy do człowieka wszystkie nasze tęsknoty. Człowiek jednak nie jest w stanie podjąć całości naszych nadziei, marzeń, tęsknot, ponieważ może je przyjąć tylko na swoją miarę. Wydaje się nam wtedy, że nasza miłość została odrzucona. Tymczasem popełniliśmy błąd, przypisaliśmy człowiekowi pozycję Boga. Człowiek nie spełnia wszystkich naszych tęsknot. Jego miłość kieruje nas dalej, do Ciebie, Boże.

Może więc się zdarzyć, że nie umiemy rozpoznać naszej miłości do Ciebie, Boże, lub miłości, którą Ty realnie wnosisz w naszą duszę. Ileż więc trzeba wiedzy, ile doświadczenia, żeby uratować miłość zarówno do człowieka, jak i miłość do Ciebie, Boże mój!

Jeżeli niewielu ludzi umie ogarnąć wszystkie psychologiczne, filozoficzne i teologiczne aspekty miłości człowieka do człowieka i miłości człowieka do Boga, to tej

miłości może być niezmiernie mało. Może być tak, że tę miłość przede wszystkim niszczymy i że tylko Ty ją budujesz w naszych duszach.

Czyżby może rację miał neoplatonizm, że jest możliwa miłość tylko do Ciebie, Boże, który jesteś w stanie obronić kierującą się do Ciebie miłość ludzką? Czy rzeczywiście nasza miłość do ludzi nie jest możliwa, ponieważ nie jest możliwe trwanie jej w dwu sercach: w sercu człowieka i w sercu Boga? Czy rzeczywiście miłość ludzka utrudnia drogę do Twojej, Boże, miłości, jak twierdzą niektórzy mistycy, rozumujący w neoplatońskim ujęciu człowieka?

Czy nie ma racji realistyczny Tomasz z Akwinu, który tak precyzyjnie odróżnił porządki przyczyn i celów? Według niego i zgodnie z Ewangelią Bóg sprawia swą obecność w nas i jest celem danej nam do dyspozycji, wniesionej w nasze serce nadprzyrodzonej miłości. Człowiek natomiast sprawia obecność w nas swojej miłości i ona stanowi cel dążeń naszych ludzkich tęsknot, aby stać się terenem nadprzyrodzonej miłości, dzięki której miłość Boga wnika w naszą miłość ludzką, a nasza miłość wnika w serce Trójcy Świętej.

Może więc tylko za mało wiemy, za mało znamy teologię miłości, aby uratować miłość do człowieka i miłość do Boga.

Lecz przecież Ty, Boże, który jesteś intelektem, ogromnym sercem, wspaniałą wiedzą, niezmierną dobrocią, obronisz swą miłość do nas w naszej duszy, uratujesz ją mimo naszych ataków i sprzeciwów.

A my, czy umiemy bronić naszej miłości do człowieka i do Boga? Czy umiemy rozpoznać ją w tym splocie porządków, nastrojów, uczuć, tęsknot, rozpoznać to, co istotne, czego trzeba bronić rezygnując często z drobiazgów, do których nasza niecierpliwa tęsknota niekiedy przywiązuje nas tak mocno? I często broniąc tego drobiazgu tracimy samą miłość.

Tomasz z Akwinu ma rację. Miłość do człowieka jest konieczna, aby przywołany przez nią Bóg zaszczeplił w niej dla nas i dla siebie nadprzyrodzoną miłość. Ta miłość uszlachetnia naszą ludzką miłość do człowieka i stanowi teren obecności w nas Boga. To ujęcie jest prawdziwe, ponieważ nie krzywdzi Boga i nie krzywdzi człowieka. Nie odbiera człowiekowi ludzkich tęsknot do drugiego ludzkiego serca. Nie

odbiera też tego serca. A ponadto w tej ludzkiej miłości widzi podstawę spotkania się człowieka z Tobą, Boże.

Neoplatonizm jest okrutny. Kazałby nie przyjąć darowanej nam miłości ludzkiej, gdy z równą tęsknotą kierujemy się do Boga.

Naszej miłości do Boga broni sam Bóg. Broni też naszej miłości do człowieka. Ta miłość, kierująca się odrębnymi środkami do tych dwóch celów, do człowieka i do Boga, w obydwu wypadkach jest jednak zagrożona. Zagraża jej nasza miłość i niedoskonałość. Mogą ją zniszczyć nasze pomyłki i błędy, nasza niecierpliwa tęsknota i nasz niepokój. Może nie umiemy dostrzec wielkości naszej miłości i może dlatego tak nieudolnie jej bronimy. Trzeba naprawdę głębokiego przeżycia teologii, aby rozpoznać wartość miłości.

Boże, bronię swej miłości tęsknotą do Twej obecności. Chcę Cię widzieć, być z Tobą. Płaczę, gdy Cię nie ma, gdyż wtedy nie przebywamy razem, nie ma rozmów, przywykania do Ciebie, poznawania Twego serca.

Czy ten mój niepokój, ta prośba o Twą obecność, jest drobną sprawą, czy raczej jest sprawą istotną? Nie wiem. Może za dużo w niej nastroju, uczuć, przeżyć. Wiem jednak, że cierpię, że mi Cię brakuje, Boże mój, że rozdzielenie boli, że zwierzenie Ci smutku i radości stanowi moje życie, które jest oczekiwaniem.

A pomysł podróży do Ziemi Świętej zrodził się przypadkowo w Pizie. Wracalem wtedy z Włoch po dwutygodniowym, uroczym pobycie z grupą Francuzów na feriach wielkanocnych w Weronie, Wenecji, Florencji, Asyżu, Rzymie, Neapolu, Pompejach i właśnie Pizie. Była to pielgrzymka urządzona przez „Centre Richelieu”, które jest duszpasterstwem akademickim Sorbony. Spędziliśmy Wielki Tydzień tym razem w Asyżu. Trzy dni liturgii i alleluja w Rzymie.

Teraz w renesansowej katedrze Pizy odbywaliśmy pożegnanie.

Po ostatnim refrenie pożegnalnej piosenki: „o tak, zobaczymy się, drodzy bracia, to tylko do widzenia; zobaczymy się ponownie, jeżeli wszyscy się kochamy”, w oficjalnym przemówieniu padły słowa: „może spotkamy się latem na pielgrzymce do Ziemi Świętej”. Właściwie tylko mocno zabiło mi wtedy serce. A potem mój kolega z Sorbony, Kanadyjczyk z Quebec, rzucił od niechcenia: „Wybermy się razem”.

Któregoś dnia na korytarzu „Institut Catholique”, w środku najweselszej gawędy, która osiąga takie napięcie zawsze tylko w przerwie między wykładami, dobiegło do mnie z tłumu studentów zapytanie po niemiecku: „czy pan już zapisał się na pielgrzymkę?” Wiedziałem, że chodzi o mnie, ponieważ był to znajomy głos, z którym w grupie Francuzów rozmawiałem właśnie po niemiecku podczas wspinaczki do „Carceri”, ubogiej pustelni Franciszka z Asyżu. Musiałem więc zająć się sprawą Palestyny.

I właśnie z tych powodów 12 sierpnia 1957, czekałem na statek w Messynie. Nie wyjechałem z całą grupą z Paryża do Nicei, skąd odchodził specjalny dla pielgrzymki grecki statek „Philippos”. Nie otrzymałem pozwolenia. Dokładniej mówiąc, Polacy mogą opuszczać Francję tylko przez punkt graniczny, przez Modane lub Marsylię, jeżeli udają się w kierunku południowym. Cała pielgrzymka oglądała lazuruwe wybrzeże, a ja musiałem drugi raz zwiedzać Włochy. Wyjechałem z Paryża 9 sierpnia, pociągiem 810 z dworca de Lyon, zatrzymałem się dwa dni w Rzymie i dzisiaj daję się palić cudownie złotemu słońcu Sycylii.

Siedzę nad brzegiem morza, gryzę banany, czekoladę, popijam paryską lemoniadę z litrowej, elastycznej butelki i ogarniam myślą dotychczasowe wypadki.

Przeżyłem dwie rozterki: czy jadąc przez Włochy zatrzymać się we Florencji i Rzymie, czy tylko w Rzymie, ponieważ przecież jestem drugi raz we Włoszech i znam je już dokładnie. I co wybrać: miesiąc w Grecji czy miesiąc na Bliskim Wschodzie z krótkim pobytem w Grecji południowej, miesiąc w Ziemi Świętej. Wahałem się: Czy wybrać pobyt w Ziemi Chrystusa, w ziemi bliskiej, prawie jak dom, w znanych nastrojach i rozmowie, czy też pobyt w Grecji wśród skojarzeń uroczych, w wytęsknionym kraju sztuki i filozofii? Wybrałem właśnie pociąg z Paryża do Rzymu i zatrzymałem się w Rzymie. Stąd można jeszcze udać się do Brindisi. Stamtąd do Grecji statkiem z inną grupą paryskich studentów. Projekt Palestyny wygrał i właśnie czekam na statek w Messynie.

Fra Angelico malował na kolanach swoje skupione freski na strychu klasztoru świętego Marka. Czy będę umiał na kolanach zwiedzać Ziemię Świętą?

Przystanął koło mnie siedmioletni Sycylińczyk. Czarny, ruchliwy i spokojny. Nawet bez nadmiaru gestów. Wciąga mnie w swoje żywe przeżycie zapatrzenia w morze. Pokazuje pływające ryby w wodzie portu, uczy sposobów łowienia. Na imię mu

Franco. Daję mu swoje banany i czekoladę. Wrzucił do morza wiadro śmieci, z którymi przyszedł i odchodząc pokiwał mi przyjaźnie dłonią.

Okazało się, że „Philippos” przybędzie dzisiaj o 9 rano. Zatrzyma się trzy godziny. Ponieważ jestem w Messynie już od 5, mam czas na zwiedzanie. Miasto białe z jakąś niby renesansowo-nowoczesną architekturą. Dość ładne i dość zabawnie pretensjonalne. I podobno wyspa najpiękniejszych ludzi. Owszem, panowie przystojni, panie ładne. Krajobraz wypalony. Morze zupełnie szare, zamglone. Coraz mniej cienia.

„Philippos” nadjechał. Stanął daleko ode mnie. Idę do niego półtora kilometra po półkolu zatoki. Nie czekam na łódź. Wybieram spacer.

14 sierpnia byłem już drugi dzień na morzu. Jutro rano dobijemy do brzegów Libanu. A jednak pełny jestem radości.

Po powrocie z pielgrzymki, kiedyś później zastałem w swym paryskim pokoju spóźniony list Prefektury z pozwoleniem na wyjazd z Nicei. Podobno właśnie nie wolno mi było wsiadać w Messynie. Wchodziłem na statek najoficjalniej, na oczach wszystkich władz portu, straży granicznej i celnej, z walizką w ręku. Nie pokazywałem żadnego dokumentu, ponieważ nikt nie pytał. A bardzo chciałem błysnąć w oczy wizami, które przecież jednak otrzymałem. Usuwali się wszyscy na moje grzeczne „permesso, per favore”. Dziękuję Ci, Boże, za to wejście na statek bez przeszkód.

Uczestników 285. Znajomi z Sorbony, z Institut Catholique. Koledzy z poprzedniej, wielkanocnej podróży po Włoszech, pamiętnej, przyjacielskiej. Koleżanki z pielgrzymki do Chartres, szlakiem Pègue. Uściski. Ca va? Ca va. Ca va bien? Ca va. Wyraziliśmy wszystko.

Podziwiam bogactwo kolorów morza. Ziemia, którą mijaliśmy, była zabiedzonym, aż wstyd, kleksem, szarą plamą na głęboko błękitnym rondzie wody. Nie dziwię się marynarzom, zakochanym w morzu, w szafirowej kuli morza, opadającego brzegami ku horyzontowi, rozcinanego dziobem statku. Pyskają perły na błękit. Statek wcina się bez przerwy w twardą wypukłość. Niebo jest bledsze niż woda. Nocą jest ciemnym koszem, przetkanym gwiazdami. Płyniemy na wschód, w smudze księżycy lub słońca. Anhelli po takiej drodze szedł do Ojczyzny. Ja - do Ziemi Świętej.

Statek nie jest komfortowy. Salon jednak estetyczny. Wygodne fotele. Na pokładach leżaki. Dwa piętra w dół. Greckie napisy.

Boże, moja miłość może posilać się Twoją miłością. Może być nie zawsze smutna. Możemy razem być w albumie zdjęć Krakowa, pięknych zdjęć i pięknego Krakowa. Razem możemy oglądać witraż Boga Ojca, w kościele franciszkanów, patrzeć z domu Wierzyńka na Rynek Krakowski, na Sukiennice, na kościół Mariacki, spacerować po Toronto, zwiedzać pałac królewski w Wersalu, jechać morzem do Ziemi Świętej.

Z nieśmiałością i męką, z zazenowaniem i ufnością modłę się do Ducha Świętego o umocnienie mej miłości do Ciebie, Boże, który wraz z Duchem Świętym jesteś Ojcem i który jesteś Synem. Modłę się do Ciebie, Duchu Święty Boże, który będąc Miłością, rozumiesz - tak po ludzku mówiąc - zawile sprawy mojej miłości.

Moja miłość do Ciebie, Boże, jest wartością, którą uwzględniłeś w rachunku dobra. Muszę więc bronić tej miłości, bronić dobra, bronić Ciebie w swej duszy. Muszę umieć korzystać z mądrości teologicznych perspektyw ludzkiego losu, z filozoficznych odróżnień tego, co istotne, od tego, co drugorzędne.

Ogród Oliwny w Jerozolimie

Znowu odnajduję w sobie ten sam bolesny i znany nastrój niepokoju. Lękam się, że odbiorą mi Cię, mój Boże, moje niedokładne rozumienia, plany mniejsze niż Twoje serce, moje poszukiwania i intelektualne wędrówki. I może dlatego, właśnie lękając się, tak niecierpliwie zabiegam o dar znalezienia Cię na zawsze, rozmawiania z Tobą. Może dlatego jadę do Ziemi Świętej, aby szukać Cię w śladach pobytu Chrystusa na ziemi.

Widzę świat, jego skomplikowania i dramaty, jego radość i nieporadność, świat małych spraw ludzkich i wielkie perspektywy refleksji, która umie rozpoznać właściwą drogę do tego, co piękne, dobre i mądre. I sam chcę kształtować swą miłość, a zarazem zdobyć Twoją miłość. A powinienem umieć ją otrzymywać.

Widzę też wartość miłości. Jakże jednak często daję przewagę drobiazgom atrakcyjnym i błahym, które są zręcznym pozorem tego, co istotnie wartościowe. I wtedy właśnie oddalam się od Twojej miłości. To nie jest pełne oddalenie. Pozostaję, Boże, w zasięgu Twojej miłości, w jej klimacie, w Twoich sprawach.

A może tylko mój poetycki sposób odbioru rzeczy stwarza to jakieś poczucie, że oddalasz się, Boże, że odchodzisz, że nie ma Cię w moim sercu. Może poezja tego powiązania mojej miłości z Twoją miłością jest tym poczuciem Twojej nieobecności. Może właśnie zawsze jesteś w mej duszy i może dlatego, że w niej mieszkasz, beztrudno wędruję po drobiazgach, po obszarze innych serc i wartości jednocześnie niepokojąc się tym, że w tej chwili nie rozmawiam z Tobą. Może mój lęk jest błędnym odczytaniem Twoich ze mną powiązań. Może w kontaktach z ludźmi przywykłem do świadectwa słów i tych znaków od Ciebie oczekuję. Dałeś mi je przecież w Ewangelii. A poza tym otrzymuję sakramentalny dar Twojej obecności we mnie, dar modlitewnych rozmów, dar podejmowania tęsknot mej miłości.

W Twojej miłości dorastam, poszerzam rozumienie spraw ludzkich, uwrażliwiam się na wartości, które wybieram niekiedy wbrew swym kapryśnym tęsknotom. Jaśniej widzę trudne sprawy ludzkiego losu, co pozwala nie zagubić się w pozorach, w zbitkach informacji, trafić na to, co prawdziwe.

Lecz jednak, Boże, spotkany w rzeczywistości wiary nie jesteś w moim przeżyciu. Nie widzę Cię, nie doznaję psychicznie. W swej psychice, w warstwie przeżyć, jestem sam, bliski granicy jęku, umęczony tęsknotą, pełny niepokoju, ktoś bezdomny, gdyż serce nie wspiera się na odczuwanej radości. Oddziela nas to, że Cię nie widzę, że nie widzę więc jasno swego losu, sensu życia, Ciebie, najcenniejszej perły wyłowionej z morza, światła moich oczu, mego serca, Ciebie, Boże.

Jesteś sam w ten wieczór, Jezu Chryste, wśród ogrójkowych drzew, sam ze swoim niepokojem, z pytaniami, przerażony przyszłością, perspektywą samotnej męki. Nie ma obok nikogo, kto by Cię pocieszył, uspokoił, był z Tobą w najtrudniejszym dniu. Dosięgasz miłością Ojca, jesteś z Nim przez swoje Bóstwo i nie doznajesz Boga w swej ludzkiej psychice będąc zarazem Bogiem. Takie jest prawo odrębności bytowej człowieka, którym w pełni jesteś. Twoje człowieczeństwo jest doświadczane lękiem, boisz się tego, co przyjdzie. Szukasz pomocy i pociechy w sercu najbliższych. Ci ukochani są nieobecni. Wracasz do nich. Zasnęli w jakimś miejscu ogrodu. Są i ich nie ma. Sam pijesz kielich goryczy. Męka osamotnienia jest ogromna.

A przecież musisz w swej ludzkiej psychice przetrwać czas niepewności, musisz mękę czekania na bezpośrednie doznawanie w ludzkiej psychice miłości Ojca przetrwać w

oparcia o przyjaźń serc, które wybrałeś i które Ciebie wybrały. Jeszcze nie jesteś w ciele uwielbionym, jeszcze podlegasz prawu cierpienia. Cierpisz, ponieważ kochasz.

Jestem sam w ten wieczór, Boże mój, sam ze swoim niepokojem, z pytaniami, przerażony przyszłością, umęczony tęsknotami, doświadczony lękiem. Oczekuję pomocy, myślę o Tobie. Jesteś i nie ma Cię w mej psychice. A przecież muszę przetrwać czas niepewności, mękę czekania na bezpośrednie doznawanie w swej psychice Twojej obecności. Muszę przetrwać głód nieutralnej miłości, którą jesteś, Boże, Jezu Chryste, w oparciu o przyjaźń serc, które ukochałem. Jeszcze nie widzę Cię, Boże, „twarzą w twarz”, jeszcze cierpię, ponieważ Cię Kocham. Boże mój, nadziejo moich marzeń, tęsknoto mojej miłości!

Jestem sam w ten wieczór, Boże, spotkany w rzeczywistości wiary. Nie widzę Cię, nie ma Cię w mej psychice. Jestem sam bliski jęku, umęczony tęsknotą, doświadczony niepokojem. I muszę przetrwać mękę czekania na bezpośrednie doznawanie w psychice obecności Ciebie, mojego Boga, mej nieutralnej Miłości, której nadzieję obudziło we mnie marzenie. Muszę przetrwać niepokój, cierpienie oczekiwania. Muszę więc oprzeć swą miłość na Twoim sercu, Boże, z Twojej miłości spoglądać ku Tobie. I gdy jestem sam w ten ogrójkowy wieczór, mojej miłości grozi rozdarcie, bolesny los utraty Ciebie. Grozi mi utrata Ciebie, jeżeli nie oprę swej miłości na mocy Twojej Boskiej miłości. Cierpię, gdyż Kocham Cię, Boże.

Jest we mnie jakiś liryzm marzeń o Tobie, tęsknot, niepokoju, że Cię utracę, że utracę Twą obecność, Twoje serce, nastawienie na mnie Twoich planów, że utracę krew Twoją i Twoje ciało, Ciebie, żywego w Eucharystii, Kochającego moją miłość.

Przyszedłeś, Boże, Jezu Chryste, Boże Przedwieczny i Boże Duchu Święty, jedyny Boże mój. Przyszedłeś. Sakrament Eucharystii jest przecież Twoją zbawczą we mnie obecnością. Moje niepokoje są więc może tylko niepokojem, tylko sposobem lęku. Wynika z tego, że miłość jest poniżej tego wzburzenia morza, że trwa głębiej niż warstwa przeżyć, jakże mylących. Jesteś, Boże, jesteś w mej duszy. Jest Twoja miłość. Jest w ten wieczór ogromnego pragnienia Twojej obecności, przywoływana głosem lęku o los sensu życia. Jesteś, Boże. Wracają siły. Znika niepokój. Jesteś.

Ziemia Święta

15. VIII. 1957. „Oto stoją nogi nasze w sieniach Twoich, Jeruzalem”. Jestem w Libanie. Z Bejrutu wycieczka do Baalbek, do starego, fenickiego miasta, późniejszego Heliopolis. Rzymianie postawili tu świątynię Bachusowi, Wenerze, Jowiszowi. Kolumnada jednejz tych świątyń jest obok cedru wybita na pieniądzech libańskich. Ziemia Libanu jest brązowa, może ciemno-czerwona. Podczas zachodu słońca koncert kolorów w górach: tonacje brązu. Karawana wielbłądów. Ubogie, żebrzące dzieci. Zmarł w wypadku na ulicach Bejrutu jeden z uczestników pielgrzymki.

16. VIII. Śniadanie o 4.45. Duszno, dużo chmur i mgły. Wyjazd samolotem z Bejrutu do Amman, stolicy Jordanii. Wznosimy się ponad chmury. Pod nami Damaszek. Za chwilę lotnisko, godz. 9.30. Formalności paszportowe i odpoczynek w hotelu „Filadelfia”. Przed nami duży amfiteatr grecki z korynckimi kolumnami. Miasto typowo wschodnie: prostokątne domy z płaskimi dachami. Arabowie uśmiechają się. Po południu jedziemy na górę Niebo. Droga długa, wyboista. Ziemia czerwona, kurz i gorące słońce. Weszliśmy na górę Niebo: wzruszająca panorama Ziemi Świętej. Jesteśmy tu godzinę, aż do urzekającego pięknem zachodu słońca. Jest to miejsce, na którym Bóg spełnił obietnicę. Tu także zmarł Mojżesz. Pojechaliśmy stąd do Jerycho.

17. VII. Msza święta nad Jordanem w miejscu chrztu Chrystusa. Tu objawiła się światu Trójca Święta: Jan chrzczył Chrystusa, Duch Święty zjawił się w postaci gołębiczy, słyhać było głos Ojca „Ten jest, syn mój miły”. Niski brzeg Jordanu, zielona dolina otoczona pustynią, nad brzegiem trzciny, woda pełna zielonego mułu. Maleńki szałas nad brzegiem i ołtarz. Jedziemy stąd do pobliskiej góry Kuszenia. Wchodzimy na strome zbocza odmawiając psalm „Miserere”. Zwiedzamy Jerycho Jozuego, odpoczywamy przy studni proroka Elizeusza. Zatrzymują się przy studni podróżni na osłach. Kobiety noszą wodę w wielkich dzbanach na głowie. I droga z Jerycho do Jerozolimy. Zatrzymujemy autokary przy gospodzie z przypowieści o dobrym Samarytaninie. Zatrzymujemy je także dlatego, aby za zakrętem zobaczyć z daleka Jeruzalem. Ogromne wzruszenie. Mijamy potem studnię, przy której chrzcili apostołowie. Dojeżdżamy od strony Jerycha do stóp góry Oliwnej. Stąd w zorganizowanych grupach (285 uczestników pielgrzymki, zorganizowanej przez Duszpasterstwo Akademickie Sorbony), z gałązkami oliwnymi w rękę idziemy ku murom Jerozolimy. Wchodzimy do

Miasta Świętego. Śpiewamy po łacinie: „Lauda Ierusalem Dominum, lauda Deum tuum Sion. Hosanna Filio David”. Uliczki wąskie, droga wznosi się w górę. Dochodzimy do bazyliki Grobu. Wchodzimy. Modlitwa. Zwiedzanie.

18. VIII. Bazylika św. Anny, miejsce domu rodziców Matki Boskiej. Sadzawka, gdzie Chrystus uzdrowił paralytyka. Zwiedzamy potem raz jeszcze bazylikę Grobu i Litostrotos, pałac Piłata. Zachowane są tu dwa pokoje straży, ulica i drzwi, przez które Chrystus wchodził na rozprawę. Pokazuje się także miejsce ubiczowania. Tu Piłat wydał na Chrystusa wyrok śmierci. Stoję na miejscu biczowania. Stoję na miejscu cierniem ukoronowania. Jezus tu bierze krzyż na ramiona.

19. VIII. Msza święta na dziedzińcu domu Piłata, w dzisiejszym klasztorze „Pań Syjonu”. Stąd idziemy do bazyliki Grobu Matki Boskiej. Bazylika znajduje się poza murami Jerozolimy, między Miastem i ogrodem Oliwnym, u początku doliny Jozafata. Nad grobem prostokątna kaplica z brązowej cegły lub kamienia. Płyta grobu cała zakryta drobnymi, białymi kwiatami. Potem ogród Oliwny. Nad miejscem modlitwy Chrystusa wznosi się bazylika. Błękitne mozaiki, fioletowe witraże. Obok Getsemani z bardzo starymi drzewami oliwnymi, może jeszcze z czasów Chrystusa. Schodzimy w dół doliną Jozefata aż do studni Marii. Idziemy potem do sadzawki Siloe. Po drodze mijamy grób Absaloma i górę Skandalu, na której Salomon postawił ołtarz obcym bogom. Idąc w dół doliną Cedronu mieliśmy po prawej stronie miasto Dawida. Od sadzawki Siloe prowadzi w górę droga kamienna, którą mógł iść Chrystus z Wieczernika do Getsemani. Obok drogi dom Kajfasza, a w domu tym cela, w której był więziony Chrystus. Cela więzienna: kamienny dół, zimny, wilgotny. Po południu wyjazd do Betlejem. Droga górzysta. Biało-różowy kolor skał. Słońce pali. I straszliwa bieda mieszkańców. Idziemy do doliny pasterzy. Wieczór. Jasne niebo, spokój, drzewa granatu, figi, kwiaty. Górzyste brzegi doliny stykają się z niebem. Tylko tu aniołowie mogli zstąpić do pasterzy. Około północy idziemy do bazyliki Narodzenia. Msza święta w grotcie poprzedzona jutrznią. Grota obwieszona makatami, właściwie arrasami. Wiszą srebrne i złote lampy oliwne. Złota gwiazda na marmurowej płycie, położonej na miejscu, w którym urodził się Chrystus. Klęczałem na tej gwieździe. Msza święta odbywała się w grotcie żłobka, zaraz obok. Zwrócony tam byłem twarzą. Śpiewaliśmy.

20. VIII. Zwiedzanie meczetu Omara na górze Moriah. Tu Abraham ofiarował Izaaka. Tu stała kiedyś świątynia Salomona. Tu było Święte Świętych z arką przymierza. W tej świątyni bywał Chrystus. W środku meczetu skała, z której podobno Mahomet wznosił się do nieba. Oglądamy portyk Salomona, ulubiony przez Chrystusa, zwrócony ku górze Oliwnej. Nabuchodonozor zburzył świątynię Salomona. Odbudowano ją. Dziś pozostał po niej kawałek muru, wzruszająca ściana płaczu. Jedziemy w południe do studni Jakuba. Mijamy miasto Jeremiasza, także Gabalę, miejsce walk z Filistynami. Zielona Samaria. W Judei, w Jerozolimie kobiety ubierają się na czarno, w Samarii widzimy suknie kolorowe. To jest ta studnia, przy której Chrystus rozmawiał z Samarytanką. Mijamy Sychem. Teraz tereny, przez które przechodził Abraham idąc z Ur. Ruiny pierwszego pałacu królów Izraela. Grób prawdopodobnie Jana Chrzciciela i Elizeusza.

21. VIII. Betania. Dom Łazarza, Marty i Marii. Bywał tu Chrystus. Szliśmy do tego domu godzinę od Kalwarii. Mija się bramę Miasta, mija się górę, Oliwną. Grób Łazarza głęboko w dole pod ruinami bazyliki. Kwadratowe wnętrze ze sklepieniami w kształcie wierzchołka trójkąta. Przy okazji zwiedzamy muzeum archeologiczne Palestyny. I wyjazd do Kanaan. Jesteśmy w Mamre. Tu Abraham zbudował pierwszy ołtarz Bogu. Tu w Hebronie Abraham rozmawiał z Trzema swymi Gośćmi. Odwiedził go Bóg w postaci Trzech Podróżnych. Jakież to nadzwyczajne wydarzenie. Obok góra patriarchów z ich grobami. Teraz meczet. W jego podziemiach grób Abrahama, Izaaka, Jakuba, Józefa. Zatrzymujemy się przy studni, przy której apostoł Filip ochrzcił Etiopczyka.

22. VIII. Przedpołudnie wolne. Jestem w bazylice Grobu. Daję poświęcić krzyże jerozolimskie i kładę je na płycie grobu Chrystusa. Popołudnie w kościele św. Szczepana i początek liturgii Wielkiego Tygodnia. Przechodzimy do pałacu Piłata. Msza święta o godz. 16 w Litostrotos. O godz. 21 wyjście do Ogrójca. O godz. 22 godzina święta w bazylice Ogrójca. Czuwanie bardzo trudne. Po każdym wersecie psalmu wstajemy z klęczek. Straszliwa walka ze snem. O godz. 23 idziemy do domu Kajfasza. Noc. Droga trwa jakieś 35 minut. Przechodzimy przez potok Cedron, wspinamy się w górę, powtarzamy trasę Chrystusa.

23. VIII. Droga krzyżowa o godz. 10 z domu Piłata. W bramie, prowadzącej do Miasta, stacja pierwszego upadku pod krzyżem. Z drugiej strony bramy, po stronie Jerozolimy, stacja spotkania Chrystusa z Matką. Ulica prowadzi w górę, Cyrenejczyk pomaga Chrystusowi nieść krzyż. Przy stacji spotkania niewiast rzeczywiście i dzisiaj tłok, tłum ludzi. Duszno, gorąco, Weronika ociera twarz Chrystusa. Wyczerpany zmęczeniem Chrystus upada pod krzyżem. Płaczą spotkane niewiasty, płacze Matka. Trzeci upadek i trudne wejście na Kalwarię. Wchodzimy do bazyliki Grobu. Idziemy po schodach na okryty bazyliką szczyt Kalwarii. Chrystus przybity do krzyża, Chrystus na krzyżu umiera. Całujemy miejsce, na którym stał krzyż. Schodzimy do kaplicy grobu. Jutro dzień zmartwychwstania. Rozpocniemy go w domu Trzech Niewiast, które wybrały się do grobu z wonnymi olejkami. Jest to miejsce domu Weroniki. Teraz są tu Małe Siostry o. Ch. de Foucauld. Mają piękną kaplicę z kamienia z prostym ołtarzem i lampami o kształcie z czasów Chrystusa. Przy trzeciej i czwartej stacji drogi krzyżowej jest ośrodek polski, prowadzany przez ks. St. Pietruszkę. Odbudował te stacje. Organizuje opiekę nad młodzieżą arabską. Prowadzi małe muzeum i sprzedaż pamiątek polskich.

24. VIII. Rano uroczystość rezurekcyjna w domu Weroniki, potem msza święta u grobu Chrystusa. O godz. 9 audyencja u kustosza Ziemi Świętej w klasztorze franciszkanów. Potem audyencja u patriarchy Jerozolimy. O godz. 14 jedziemy do Qumran i nad Morze Martwe. Podróż trwała półtorej godziny z Jerozolimy. Na lewo zostało Jerycho. Patrzymy na górę Niebo. Qumran jest u stóp gór, w pustyni. Ruiny osiedla eseńczyków. Brunatne, grube piaski pomiędzy górami i morzem. Morze jest intensywnie niebieskie. I chyba najcudniejszy w świecie zachód słońca: wszystkie gamy koloru różowego, zdumiewające odmiany kolorów zielonych, wreszcie symfonia kolorów szarych. Wracaliśmy pieszo przez pustynię, gdyż zepsuł się autokar. Piasek sypki i lekki. Stopy zanurzają się po kostki.

25. VIII. W wolne przedpołudnie odwiedzam ks. St. Pietruszkę. Po południu drogą przez część doliny Cedronu, przez Getsemani, wspinamy się na dość stromy szczyt góry Oliwnej. Po drodze kościół w miejscu, w którym Chrystus płakał nad Jerozolimą. Śliczny widok na Miasto Święte. W kościele stół ołtarza przed oknem, przez które widać całą, piękną, białą Jerozolimę, wzruszającą Miasto. Wyżej bazylika w

miejscu, w którym Chrystus uczył apostołów „Ojciec nasz”. I wreszcie szczyt góry Oliwnej, miejsce wniebowstąpienia.

26. VIII. Rano opuściliśmy Jordanię. Jesteśmy w Izraelu. Najpierw Jaffa (Tel-Awiw), gdzie św. Piotr miał widzenie zwierząt, związanych prześcieradłem. Jaffę założył podobno jeden z synów Noego, Jafet. Izrael to głównie równiny.

27. VIII. Na górze Syjon. Jesteśmy w Wieczerniku. Oglądamy miejsce zaślubienia Matki Boskiej, grób Dawida. W Wieczerniku Chrystus ustanowił sakrament Eucharystii, tu została odprawiona pierwsza msza, tu było zesłanie Ducha Świętego. Potem zwiedzamy kibutz: wspólnota dochodów, laicka organizacja, praca fizyczna. Dzieci w żłóbku do dwóch lat, potem przy rodzicach i w ogródkach dziecięcych. Jedziemy do Ain-Karim, do miejsca urodzenia Jana Chrzciciela i nawiedzenia Elżbiety. Na dziedzińcu klasztoru franciszkanów „Magnificat” we wszystkich, językach świata, także po polsku. Oleandry i róże w ogródku Elżbiety wysmukłe tuje, drzewa oliwne. Przez piękne tereny jedziemy do Nazaret. Miasto na zboczach trzech gór w urzekającej kotlinie.

28. VIII. Pewne jest, że Chrystus mieszkał w Nazarecie. Pewne jest jedyne w mieście źródło, z którego brała wodę Święta Rodzina. Piłem tę wodę. Jest trochę słona, jak wszystkie wody Palestyny. W bazylice Zwiastowania znaleziono pod ruinami kościoła krzyżowców kościół bizantyjski, a pod nim ruiny domu żydowskiego, być może domu Świętej Rodziny. Oglądamy synagogę, w której Chrystus nauczał, dziś kościół obrządku melchickiego. Nie było kościelnego. Kościół otworzył nam jego dwunastoletni syn. Stał przed ołtarzem i opowiedział historię synagogi. Jak kiedyś dwunastoletni Chrystus, który nauczał w świątyni.

Pod klasztorem nazaretanek znajdują się ciekawe ruiny kościoła. Trudno ustalić, czy była to synagoga, czy kościół pierwszych chrześcijan. Obok tych ruin archeologowie natrafili na ruiny domu żydowskiego z grobem. Grób znakomicie zachowany, nawet zachował się kamień grobowy, zamykający wejście. Przypuszcza się, że właśnie tu był dom Józefa, który w tym grobie był pochowany. Właśnie Józef, jako potomek rodziny królewskiej, miał prawo do posiadania grobu we własnym domu. Być może tu był dom Świętej Rodziny.

29. VIII. Wyjazd nad jezioro Genezaret. 31 km w kierunku Tyberiady. Po drodze Kana Galilejska: dom Natanaela. Ustawiono tu stare, autentyczne stągwie na wodę. W podziemiach ślady bazyliki bizantyjskiej, może synagogi, gdyż mozaika zawiera napisy hebrajskie. Wioska mała. Wciąż widać górę Tabor. Jesteśmy w Tyberiadzie. Potem przejażdżka łodzią po jeziorze. Woda jeziora Genezaret jest jasnozielona z prześlicznymi błyskami słońca na drobnych falach. Idziemy na górę Błogosławieństw. Widok na całe jezioro Genezaret. Tu Chrystus powołał apostołów. Tu była Magdala, Kafarnaum, Dekapol, rozmnożenie chleba, uzdrowienie opętanego, uciszenie burzy na morzu, cudowny połów ryb. Palmy na brzegu, eukaliptusy, oleandry. Między Magdala a górą Błogosławieństw jest kościół na miejscu rozmnożenia chleba. Stąd pieszo poszliśmy do Kafarnaum. Przeszliśmy drogą, na której toczyła się dyskusja apostołów z Chrystusem na temat Najświętszego Sakramentu. A w Kafarnaum, w synagodze, Chrystus uczył o sakramencie Eucharystii. Msza wśród ruin kolumn o korynckich głowicach. I wciąż morze-jezioro o cudownie zielonym kolorze. Teraz, po południu burzliwe. Wysokie fale, może metrowe. Myślę o burzy na morzu, Rzeczywiście, jest burza. Nie ma deszczu. Są fale, wiatr. Morze jest ciemne, mętno-zielone, z daleka niebieskie. Ziemia przy morzu czarna. Na brzegu czarne skały. Czerń i brąz otaczające zieleń wody. Resztki domów w Kafarnaum są z czarnego kamienia. Wieczór nad jeziorem. Na tarasie hotelu czytamy wszystkie fragmenty Ewangelii, dotyczące Tyberiady, Kafarnaum i jeziora Genezaret.

30. VIII. Z Nazaret, do którego wróciliśmy rano z Tyberiady, pojechaliśmy na górę Tabor mijając Naim. Na szczycie góry Tabor śliczna bazylika.

31. VIII. Jesteśmy na górze Karmel. U stóp góry leży Haifa. Oglądamy też twierdzę krzyżowców, a właściwie zakonu joannitów. Jedziemy do Cezarei. Tu św. Piotr przyjął do Kościoła pierwszego poganina. Tu był więziony św. Paweł. Ruiny miasta, porośnięte ostami. Całe pole ostów. Morze piękne. Wsiadamy na statek „Philippos”, którym przyłynęliśmy do Palestyny. Żegnaj Ziemi Święta!

ZAKOŃCZENIE - DEDYKACJA

Oddaję Ci, Boże, tę książkę, a wraz z nią moją miłość oraz miłość tych wszystkich ludzi, którzy nie rozpoznali, że obdarowałeś ich miłością. Także tych, którzy nie podjęli tego daru i stali się ubożsi, a zarazem samotni. Może kierują miłość do kogoś, kto ich nie kocha. Nie następuje wtedy wymiana daru. Są samotni. Może kierują miłość do człowieka, który ich kocha. Są wtedy kochani. Opiekuj się, Boże, tą kochającą miłością, której brakuje utrwalenia w Twojej nieutralnej miłości. Opiekuj się, ponieważ nas kochasz nawet wtedy, gdy o tym nie wiemy lub gdy nie przyjmujemy daru Twojej miłości.

Boże, wypełniony miłością Trójcy Osób, jesteś nieskończenie szczęśliwy. Nasza miłość do Ciebie nie zwiększa, ani nie tworzy Twego szczęścia. To tylko my, kochani przez Ciebie, jesteśmy dopuszczeni do udziału w Twym szczęściu. I tracimy, gdy nie podejmiemy danej nam przez Ciebie Twojej do nas miłości. Nie zapewniamy nieskończonego trwania temu szczęściu, którym jest wzajemna miłość ludzi. Tracimy też, gdy nie podejmujemy miłości kochających nas osób. Jesteśmy ubożsi o dar ich osoby. Wtedy zupełnie samotna jest nasza miłość.

Ci, którzy nie są kochani, często odnajdują Ciebie, Boże. Odnajdują Cię w tym, że także nie zawsze jesteś kochany przez ludzi, mimo że obdarowujesz nas miłością. Sytuacja człowieka, po ludzku biorąc, jest może o tyle lepsza, że zawsze czeka na nas dar Twojej miłości. Ty nie zawsze otrzymujesz dar naszej miłości.

Zrozumiałem też, że ci, którzy przez nieudaną miłość ludzką odnajdują Ciebie lub do Ciebie wracają, nie są w sytuacji gorszej niż ci, którzy zawsze Cię kochali. To tylko znaczy, że szli do Ciebie inną drogą.

Jeżeli nasza miłość do człowieka może być ogromna, to jakże ogromna jest, Boże, Twoja miłość do nas! Jakże bardzo nas kochasz!